MEDIALNY ATAK NA DZIENNIKARZA

Kim pan jest, panie Rymanowski? – zastanawia się Piotr Semka



Czy niewyparzony język Sikorskiego wpakuje nas w wojnę z Rosją?

„ELEKTORAT ŁYKNIE WSZYSTKO" – FRAGMENT NOWEJ KSIĄŻKI PAWŁA LISICKIEGO I RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA



Ile powinni zarabiać polscy lekarze

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 47/656 17–23 LISTOPADA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

PREZYDENT KAROL NAWROCKI W WYWIADZIE DLA „DO RZECZY" O TUSKU, ZIOBRZE I ZEŁENSKIM:

Jestem inny

niż Andrzej Duda



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.



Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY TYGODNIKA „DO RZECZY"

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA TYGODNIKA „DO RZECZY"

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl aacf224baf

Jak Izrael podzielił MAGA



PAWEŁ LISICKI

Większość komentatorów dostrzegła, jakim przełomem dla Amerykanów było zwycięstwo w wyborach na burmistrza Nowego Jorku Zohrana Mamdaniego, muzułmanina i, w sensie ideologicznym, socjalisty.

Według Politico zwycięstwo demokratów w Nowym Jorku, Wirginii i New Jersey oraz w lokalnych wyborach w Pensylwanii i Georgii „stanowiło wyraźny sygnał, że narasta sprzeciw wobec polityki administracji Donalda Trumpa […]".

Sam prezydent Trump zwycięstwo Mamdaniego skomentował ironicznie: „Mówiłem, że nigdy nie będziemy mieć socjalisty wybranego na żadne stanowisko w naszym kraju. I miałem rację. Przeskoczyliśmy socjalistę i zamiast niego mamy komunistę". Podkreślał też, że porażka republikańskich kandydatów nie ma wielkiego znaczenia. Jest to typowy przykład robienia dobrej miny do złej gry. Otóż najważniejszym powodem takich wyników jest, sądzę, coraz ostrzejszy konflikt na zapleczu Trumpa, rozsadzający od środka ruch MAGA. Dotyczy on przede wszystkim dwóch spraw. Pierwszą, mniej ważną, jest kwestia wojen prowadzących przez USA. Sprawa druga, nieporównywalnie ważniejsza, dotyczy relacji z Izraelem. Nie są one bowiem czymś w ścisłym tego słowa znaczenia zewnętrznym, ale ze względu na wpływy lobby żydowskiego i znacznie chrześcijańskich syjonistów – jak najbardziej wewnętrznym.

Co do tej pierwszej sprawy to przypomnę przyrzeczenie obecnego prezydenta jeszcze z czasów kampanii, a mianowicie, że zakończy on prowadzone przez Stany Zjednoczone wojny. Sam prezydent USA wydaje się przekonany, że z tej obietnicy się wywiązał. Miesiąc temu, komentując wojnę na Ukrainie, mówił: „Myślę, że tego [zakończenia wojny Rosji z Ukrainą] też dokonamy". „Wiem, że nikt w historii nie zakończył ośmiu wojen w ciągu dziewięciu miesięcy. A ja zakończyłem osiem wojen". Problem w tym, że ze wskazywanych później przez Trumpa wojen do świadomości publicznej, także w USA, dotarły dwie, czyli właśnie konflikt na Ukrainie i na Bliskim Wschodzie.

Trudno nie zauważyć, że jeśli chodzi o konflikt na Ukrainie, Trump, mimo innej retoryki, robi dokładnie to samo, co jego poprzednik, a więc Joe Biden. Dostarcza broń Ukrainie i nakłada sankcje na Rosję – nic tu się nie zmieniło. Wprawdzie prezydent USA twierdzi, że teraz broń ta nie jest dawana, ale sprzedawana, tyle że w praktyce nie ma to wielkiego znaczenia, bo Ukraina i tak za dostawy broni płacić nie może. Prezydent USA mówił, że wojna na Ukrainie to wojna Bidena. Dziś jednak stała się ona wojną Trumpa.

Tym jednak, co dla amerykańskich wyborców było znacznie ważniejsze, jest wojna na Bliskim Wschodzie. Także tutaj Donald Trump chwalił się, że udało mu się doprowadzić do wiecznego pokoju – tyle że to nieprawda. Wojna w Gazie nadal jest prowadzona, tylko z mniejszą intensywnością. 12 listopada BBC podała, że Izrael masowo niszczy budynki w kontrolowanej przez siebie części Strefy Gazy. Od 10 października, od kiedy obowiązuje rozejm w wojnie Izraela z Hamasem, wyburzono co najmniej 1,5 tys. obiektów. Niemal codziennie pojawiają się informacje o kolejnych zabitych przez siły Izraela w Strefie Gazy Palestyńczykach.

Donald Trump zapowiedział, że USA nigdy nie zgodzą się na włączenie do Izraela Zachodniego Brzegu, zamieszkanego przez ponad 2 mln Arabów. Tyle że są to słowa. Nie ma tygodnia, a czasem i dnia bez doniesień o atakach żydowskich osadników na mieszkańców tego regionu. Im dłużej trwa ten konflikt, im bardziej brutalnie Beniamin Netanjahu rozprawia się z Arabami, tym wyższa jest polityczna cena, którą płaci sam Donald Trump. Po prostu wśród jego wyborców rośnie przekonanie, że główne hasło, z powodu którego wybrali Trumpa, a więc „America First", Ameryka na pierwszym miejscu, faktycznie zostało zastąpione przez inne – „Israel First". Gdyby nie poparcie polityczne (a także militarne i finansowe) Ameryki, Izrael nie mógłby systematycznie niszczyć Palestyńczyków.

Podczas kampanii wyborczej Donald Trump obiecał też swoim wyborcom, że jedną z jego pierwszych decyzji będzie ujawnienie tzw. akt Epsteina. Jeffrey Epstein, organizator orgii dla elit, człowiek najprawdopodobniej winny licznych przypadków pedofilii, w przedziwny sposób popełnił samobójstwo w najlepiej strzeżonym więzieniu w USA. Trump do tej pory nie tylko nie ujawnił akt, lecz także na jednej z konferencji prasowych ogłosił, że afera Epsteina jest zamknięta, a teraz ma inne sprawy na głowie. Nie trzeba być przesadnie podejrzliwym, by dostrzec dziwny związek nagłej zmiany stanowiska prezydenta, pogłosek o powiązaniach Epsteina z izraelskim wywiadem, informacji o ich bliskiej znajomości i bezwarunkowym poparciem Trumpa dla Netanjahu.

Wyniki ostatnich wyborów były zatem, wszystko na to wskazuje, symptomem narastającego kryzysu. Ruch MAGA przestał być jednością, a tym, co go najgłębiej dzieli, jest stosunek do polityki wobec Izraela. ©℗

eprasa.pl aacf224baf



TEMAT TYGODNIA

12 ROZMOWA
Z PREZYDENTEM KAROLEM NAWROCKIM
JESTEM INNY NIŻ ANDRZEJ DUDA
Chcę być prezydentem rozwagi

KRAJ

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
GONIĆ ZIOBRĘ!
Przykrywanie afer rządu

22 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
OPOZYCJA ZA KRATY

24 ŁUKASZ WARZECHA
KTO KOGO? WOJNA NA PRAWICY

26 ROZMOWA Z DR. ANDRZEJEM ANUSZEM
UCIERANIE KOALICJI

28 PIOTR SEMKA
KIM PAN JEST, PANIE RYMANOWSKI?

32 RADOSŁAW WOJTAS
ILE POWINNI ZARABIAĆ POLSCY LEKARZE

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
OPOWIEŚĆ O DWÓCH DUSZACH
Nowy film twórcy „Na Zachodzie bez zmian"

36 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BOHATEROWIE KSIĄG ZBÓJECKICH: GŁĘBOKIE CELE RZĄDU

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

42 JAN FIEDORCZUK
CHŁOPCY Z ZAPAŁKAMI
Czy niewyparzony język Sikorskiego wpakuje nas w wojnę z Rosją?

45 PAWEŁ LISICKI, RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
FRAGMENT NOWEJ KSIĄŻKI „ELEKTORAT ŁYKNIE WSZYSTKO"

48 FILIP MEMCHES
SWETER ŁAWROWA

50 ROBERT BOGDAŃSKI
POLSKA BEZ PRASY?

52 ROZMOWA Z PROF. STANISŁAWEM KARPIŃSKIM
ATEIŚCI SĄ JAK DZIECI WE MGLE

HISTORIA

54 MACIEJ SZYMANOWSKI
NIEWYGODNE PRZESŁANIE
Dziedzictwo kardynała Dominika Duki

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
ROSYJSKI TO WCIĄŻ LINGUA FRANCA
Kulturowe wpływy Moskwy



62 MICHAŁ KRUPA
OSTRZEŻENIE DLA REPUBLIKANÓW

64 TERESA STYLIŃSKA
BBC: HISTORIA PEWNEGO UPADKU

EKONOMIA

66 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM WOŁYŃCEM
WYŁĄCZĄ OGRZEWANIE?
System ciepłowniczy w sidłach kar i ETS

70 JACEK PRZYBYLSKI
OSTATNI TAKI LIST MĘDRCA Z OMAHA

74 JAKUB WOZINSKI
KAMIEŃ WIDZENIA Z PODGLĄDEM NA POLSKĘ

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (56), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl aacf224baf

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Anita Walczewska/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Miało nas nie być", Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" nr 46/2025

Z wielką satysfakcją przeczytałem artykuł Rafała A. Ziemkiewicza o Marszu Niepodległości. Dziękuję za przypomnienie historii tego wydarzenia i za podkreślenie, jak niesprawiedliwie bywa ono od lat przedstawiane w części mediów.

Dla mnie Marsz Niepodległości to nie jest „impreza jednego środowiska", ale prawdziwe święto polskiego ducha – manifestacja miłości do ojczyzny, szacunku dla historii i dumy z bycia Polakiem. Uczestniczę w nim od lat i za każdym razem czuję tę samą wzruszającą jedność – ludzi młodych i starszych, rodzin z dziećmi, kombatantów i studentów, którzy idą razem pod biało-czerwonymi barwami. Wbrew temu, co próbują wmówić niektórzy publicyści, nie ma w tym nienawiści – jest radość, wdzięczność i poczucie wspólnoty.

Życzyłbym sobie, żeby środowiska patriotyczne nie próbowały zawłaszczać Marszu Niepodległości, żeby pamiętały, że ostatecznie chodzi o to, byśmy tego dnia potrafili odłożyć partyjne spory i razem uczcili odzyskanie niepodległości. Bo Polska jest jedna.

Z poważaniem
Mateusz, Warszawa

„Prosto z krzaka", Radosław Wojtas, „DRz" nr 45/2025

Szanowna Redakcjo,
z ogromnym poruszeniem przeczytałam artykuł o dramatycznie niskich cenach skupu warzyw i owoców. Serce się kraje, kiedy człowiek widzi, jak rolnicy – ludzie ciężko pracujący od świtu do nocy, często całymi rodzinami – muszą rozdawać za darmo owoce swojej pracy, bo inaczej po prostu dołożyliby do interesu.

Jak to możliwe, że rolnik dostaje za paprykę 60 gr za kilogram, a ja w sklepie płacę 14,90 zł? Albo że w niemieckim dyskoncie jeden ogórek kosztuje 4 zł? Jeden! Tyle zapłaciłam niedawno. To przecież absurd! Ktoś musi na tej różnicy zarabiać krocie. Szkoda, że nie ten, kto uprawia ziemię, podlewa, nawozi, zbiera i wozi plony.

Mam wrażenie, że żyjemy w kraju kolonialnym. Polacy produkują żywność, a zyski z niej trafiają do pośredników, sieci handlowych i zagranicznych centrali. Nie może być tak, że w państwie, które szczyci się byciem rolniczym sercem Europy, bardziej opłaca się zostawić plony na polu, niż je sprzedać. To hańba i sygnał, że coś w tym systemie jest głęboko chore.



Czas wreszcie skończyć z tą kolonialną logiką, w której polski producent jest na samym dole łańcucha, a największe sieci dyktują ceny według własnego widzimisię. Jeśli państwo nie stanie po stronie rolników, to wkrótce nie będziemy mieli co jeść z własnych pól – wszystko przyjedzie z importu, a nasze gospodarstwa znikną. A pomysł samozbiorów uważam za świetny i wart promowania. Kto tylko może, niech kupuje bezpośrednio od rolnika.

Z wyrazami szacunku
i szczerego niepokoju
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

eprasa.pl aacf224baf



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

A czemu nie poliamoria?

Lena Müller, pani pastor ewangelicka z Berlina, publicznie ogłosiła na swoim koncie na Instagramie, że tego lata udzieliła „ślubu" czterem mężczyznom w ramach „związku poliamorycznego". W reakcji na tę deklarację ewangelicki biskup Berlina, Christian Stäblein, zdystansował się 7 listopada br. od błogosławieństwa, które w wielu komentarzach w sieci uznano jako zgodę Kościoła ewangelickiego na ceremonię zaślubin poliamorycznych. „Kościół Ewangelicki Berlina-Brandenburgii i Śląskich Górnych Łużyc (w skrócie EKBO) udziela ślubów wyłącznie parom, które zawarły już legalny związek małżeński. Oskarżenia o zgodę Kościoła ewangelickiego na poligamię w tym kontekście są bezpodstawne" – oświadczył biskup Stäblein.

Dalsza treść wyjaśnień ze strony Kościoła ewangelickiego jest jednak już niejasna. Kolejna ewangelicka proboszcz Christina-Maria Bammel zbagatelizowała całą sprawę, wyjaśniając w mediach, że „ceremonia była małym nabożeństwem, które odbyło się w ramach festiwalu ślubów organizowanego przez kościół regionalny. Czterej mężczyźni znali się od dawna, ale w tym roku połączyła ich poliamoria".

Pastorka Müller wyjaśniła gazecie „Neue Osnabrücker Zeitung", że mężczyźni prosili o błogosławieństwo dla swoich związków i że związek nie został zarejestrowany w księgach kościelnych, ponieważ wcześniej wymagany byłby ślub cywilny – co w tej sytuacji jest niemożliwe. „Poligamia jest w Niemczech przestępstwem".

Czyli nie ma sprawy, bo nie był to ślub, ale coś w rodzaju błogosławieństwa pastorki Leny Müller dla czterech osób, które w prywatnym życiu tworzą wieloosobową wspólnotę, w której wszyscy kochają wszystkich, choć formalnie, w świetle prawa RFN – jak można się domyślić – pozostają singlami. Biskup Berlina nie wspomniał o żadnym upomnieniu pastorki Leny – zwolenniczki poliamoryzmu – więc można przyjąć, że sprawy nie potraktowano jako naruszenia norm kościelnych.

Ale na tym się nie skończyło. Wiadomość o wyczynach pani pastor Müller wywołała burzę w sieci. I tym razem EKBO znów zabrał głos, ale tym razem w obronie pani pastor Leny Müller: „Jesteśmy zbulwersowani licznymi atakami i nienawiścią skierowaną pod adresem pastor Leny Müller. Sprzeciwiamy się tym atakom i potępiamy je z całą stanowczością". Kościół zaznaczył, że odrzuca nienawiść i zniesławienie, zastrzegając sobie prawo do podjęcia kroków prawnych. „Jesteśmy z tymi, którzy doświadczają wrogości". Raz jeszcze podkreślono, że „błogosławieństwo, o którym mowa, nie było ślubem kościelnym ani ceremonią zaślubin".

Trudno nie skojarzyć tej sprawy z zamieszaniem wokół błogosławieństw dla homopar, które dopuścił papież Franciszek. Pastorka Lena postanowiła pójść dalej i pobłogosławiła czterech mężczyzn, którzy widzą swoje szczęście w związku w szerszym gronie niż dwoje osób. Być może pani pastor doszła do wniosku: „Jeśli ktoś jest poliamorystą i poszukuje Boga oraz ma dobrą wolę, to kim ja jestem, by go osądzać?". Brzmi znajomo? ©℗

HOŁOWNIA ZŁOŻYŁ REZYGNACJĘ

Zgodnie z umową koalicyjną Szymon Hołownia podpisał w czwartek rezygnację z funkcji marszałka Sejmu. Jak podała Kancelaria Sejmu, jego decyzja o rezygnacji z urzędu wejdzie w życie we wtorek 18 listopada o godz. 8. Miejsce Hołowni ma zająć Włodzimierz Czarzasty z Lewicy. O godz. 8.30 ma on zwołać posiedzenie Prezydium Sejmu, które ogłosi termin zgłaszania kandydatur na marszałka Sejmu. Termin ten upłynie we wtorek o godz. 10.30. ***(jap)*** ©℗



FOT. MARCIN OBARA/PAP

KONIEC DŁUGIEGO PARALIŻU W USA

Prezydent Donald Trump podpisał w czwartek ustawę zapewniającą finansowanie administracji federalnej. Tym samym zakończył najdłuższy w historii Ameryki paraliż administracji. Według szacunków Biura Budżetowego Kongresu (CBO) „shutdown" kosztował gospodarkę USA aż 11 mld dol. Ucierpieli głównie pracownicy federalni, a także sektor prywatny i podróżni. Paraliż zakończono, bo republikanie zdobyli głosy kilku senatorów Partii Demokratycznej i jednego niezależnego. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl aacf224baf

dwaj panowie g

Obiecaliśmy ploteczki z przyjęcia u prezydenta Karola Tadeusza z okazji Święta Niepodległości. Oto one. Zaczęło się grubo, bo zaraz na wstępie natknęliśmy się na panią, która, choć członkiem rządu nie jest, to zgodnie ze zwyczajem tytułowana jest ministrem. Ale nie o tytulaturę tu chodzi. Otóż owa pani przybyła w towarzystwie partnera. Nie byłoby w tym oczywiście nic dziwnego, gdyby nie to, że ów partner nie jest mężem tej pani. Pani zaś nie jest stanu wolnego. Tajemnicą poliszynela jest to, że również partner owej pani pozostaje w związku małżeńskim. Nie, żebyśmy byli przesadnie pruderyjni, jednak przyznamy, że ta ostentacja nas trochę razi.

Zaraz po wkroczeniu do Sali Kolumnowej, gdzie odbywała się główna część przyjęcia, natknęliśmy się na płk. Pawła Szotę, czyli szefa Agencji Wywiadu. Był to dla nas jeszcze większy szok niż ujrzenie pani minister z partnerem. Dokładnie dzień wcześniej prezydent ujawnił bowiem, że premier Zły Donald z Sopotu wydał zakaz szefom służb rozmawiania z prezydentem. Wygląda na to, że zakaz dotyczył tylko spotkań w cztery oczy.

Przy okazji musimy powiedzieć, że płk Szota nas zaskakuje. Jego tusza wskazywałaby, że należy do tej części korpusu oficerskiego, która ma w pogardzie aktywność fizyczną. Inna sprawa, że w wywiadzie powinna liczyć się bardziej sprawność intelektualną. Ale okazuje się, że Szota nie tylko uchodzi za sprawnego analityka, lecz także nieźle gra w koszykówkę. Zupełnie jak Michał Rachoń.

To, co najważniejsze: prezydenckie niepodległościowe menu. Najbardziej do gustu przypadło nam foie gras, które oczywiście nie mogło się tak nazywać, oficjalnie więc nosiło swojską nazwę „pasztet z gęsich wątróbek". Ale trzeba przyznać, że również pierogi z nadzieniem dyniowo-rozmarynowo-imbirowym były zacne, podobnie jak duszona pierś gęsia. Mniej do gustu przypadło nam wino Mickiewicz, którego etykietę zdobiły gumofilce. Białe jeszcze było jakie takie, ale nad czerwonym muszą w winnicy jeszcze popracować.

Na imprezie u Karola Tadeusza spotkaliśmy też przedstawicieli Trybunału Konstytucyjnego na czele z prezesem Bogdanem, zwanym niekiedy Wielkim nie tylko ze względu na słuszną posturę. Choć musimy przyznać, że obecnie prezesa jest trochę mniej niż w najlepszych czasach. Zważywszy jednak na to, że niektórzy sędziowie TK nie mają wypłacanej pensji od sierpnia, nas to nie dziwi. Mimo



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

tego przyznamy, że przy stoliku, przy którym biesiadowali przedstawiciele trzeciej władzy, nastroje były dalekie od pesymizmu.

My tu gadu-gadu o elitach, a przecież najważniejsze było to, co działo się na marszu. Było licznie i godnie, a na stoiskach z wyrobami patriotycznymi można było nabyć nie tylko konfekcję w barwach narodowych, lecz także czapki „anty-UPA". Doceniamy, ale mimo wszystko chcielibyśmy zauważyć, że zanim ostatecznie zwalczony zostanie w Polsce banderyzm, jest pilniejsza groźba do zwalczenia. Nazywa się Koalicja Obywatelska.

Warszawa przygotowywała się na przyjazd patriotów już kilka dni wcześniej. Zwłaszcza władze miasta i ich spółki oraz PKP. Postanowili oni w przededniu Marszu Niepodległości zamienić miasto w piekło i zamknąć, co tylko się da: rozmaite linie tramwajowe, stację Warszawa Centralna tudzież rozmaite ulice. Nic z tego, przybyli z całego kraju marszowicze nie dali się zwieść. Co więcej, wykorzystali komunikacyjny armagedon do tego, co lubią najbardziej: trenowania chodzenia na długie dystanse. Na przykład z Warszawy Gdańskiej do centrum. Okazało się też, że bez trudu przechytrzają władzę, korzystając z metra. Niektórzy nawet bezczelnie się w tym metrze umawiali.

Wielkie emocje tu i ówdzie wzbudziła podana przez nas tydzień temu wiadomość o planowanym przez PiS zaostrzeniu relacji z Konfederacją Mentzena, gdyż z badań wyszło, że na konflikcie tracą obie partie, ale Konfa bardziej. Z tego, co słyszymy, nie wszystkim w PiS się ten pomysł podoba. Kłopot w tym, że nikt nie chce tego głośno powiedzieć. Widzicie, ze zdroworozsądkowym skrzydłem PiS jest tak, jak z konserwatywnym skrzydłem PO – wszyscy o nim słyszeli, ale nikt nie widział.

Ocieplenie nastąpiło za to między PiS a Koroną Brauna. To efekt głosowania w polskim Sejmie nad immunitetem Ziobry. Braunowcy zachowali się bowiem jak trzeba, to znaczy porządnie. W odróżnieniu od wielu konfederatów. I oto w rewanżu stał się cud: w europarlamencie PiS głosował przeciw uchyleniu immunitetu europosła Grzegorza Brauna. Co więcej, namówił do tego całą frakcję Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. A z kolei, żeby było śmieszniej, za odebraniem immunitetu Braunowi głosowała Alternatywa dla Niemiec. Z którą w jednej grupie w europarlamencie jest kilkoro eurodepów Konfederacji, m.in. niejaki Tyszka. Jak już przed laty śpiewał Jacek Kaczmarski, „jaja w kraju niewyjęte". I poza krajem też. ©℗

eprasa.pl aacf224baf



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Sędziowie Schrödingera

Skołowane polskie społeczeństwo nie odnotowało skali absurdu, którym jest wybuch lewicowo-liberalnego oburzenia po decyzji prezydenta RP o odmowie przyjęcia ślubowań od kilkudziesięciu nowych sędziów. Fakt ten oburzył ludzi, których głównym politycznym hasłem i legitymacją polityczną jest nieuznawanie KRS za KRS i sędziów przez niego rekomendowanych za sędziów. Opisując to ich językiem, prezydent odmówił zalegalizowania neosędziów, wybranych przez neo-KRS – więc zgodnie z logiką powinni gorąco jego decyzję wesprzeć. Tymczasem jak zwykle zanieśli się jazgotem, upierając się, że prezydent „nie ma prawa". Jest to całkowitą brednią, kompromitującą prawników, którzy ją kolportują. Pierwszym prezydentem RP, który odmówił przyjęcia ślubowania od kandydata na sędziego mimo rekomendacji KRS, był Aleksander Kwaśniewski, sprawa trafiła do Trybunału Konstytucyjnego, kierowanego wtedy przez Andrzeja Zolla, i ten jednoznacznie rozstrzygnął, że na gruncie konstytucji kreowanie sędziego jest WYŁĄCZNĄ prerogatywą prezydenta, który nie musi się w tej kwestii kierować niczyimi opiniami, rekomendacjami ani sprzeciwami.

Wróćmy jednak do absurdu, chyba już tylko jeden Bareja, no, może jeszcze Mrożek, byliby w stanie podołać opisaniu naszej „kartoflanej republiki". Za sprawą buntu sędziowskich warchołów, którzy jednak nie potrafią być w swym buncie konsekwentni, bo sami potrzebowali „neosędziów" do orzekania im rozwodów, odszkodowań czy uniewinnień, każdy właściwie polski sędzia jest „sędzią Schrödingera" – czyli jak sławny kot z fizycznego przykładu zarazem tym sędzią jest i nie jest. I nie jest to błąd rewolucji „wolnych" sądów, ale jej cel – bo w ten sposób kasta, która trzymała władzę nad sądownictwem do roku 2015, umyśliła sobie, jak zapanować nad kilkoma tysiącami ludzi, których wpuszczono do zawodu poza jej kontrolą. A mianowicie, że to ona będzie dowolnie decydować, którego z nich uznać, a którego nie. Karol Nawrocki właśnie wysadził ten plan w powietrze. ©℗



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Primum non nocere

Czytając najzawziętszych „naprawiaczy katolicyzmu", można się zastanawiać, co jeszcze robią w Kościele, skoro wydaje im się tak straszny. Pius XII mówił, że Kościołowi może być potrzebna krytyka, nie o samą krytykę zatem mi chodzi, ale o jej namiętną jednostronność. Trudno znaleźć jej granice. Czasem jedynie, w sytuacjach zupełnie ekstremalnych, „uzdrowiciele Kościoła" robią jakieś delikatne zastrzeżenia wobec swych liberalnych przyjaciół, ale bez najmniejszej solidarności z innymi katolikami, broniącymi wiary czy cywilizacji chrześcijańskiej.

David Lodge, który sam był liberalnym katolikiem, a w końcu został (cokolwiek by to miało znaczyć) „katolikiem agnostycznym", w jednej ze swych powieści napisał, że wielu przekonanych progresywistów nie porzuca otwarcie katolicyzmu „dlatego jedynie, iż posiadanie liberalnego światopoglądu daje więcej przyjemności, gdy pozostaje się w łonie Kościoła, niż gdy jest się poza nim". Patrząc na smutny upadek wielu gwiazd, można dodać, że daje nie tylko więcej przyjemności, lecz także w ogóle jakąś rolę w życiu. Dalej już zionie otchłań anonimowości, prawdziwe piekło w kulturze, w której, żeby istnieć, trzeba „zaistnieć".

Szczere wyznanie Lodge'a to chyba dobry trop, ale może jest coś jeszcze. Bruce Springsteen jest dość typową gwiazdą amerykańskiej estrady – sponsoring Partii Demokratycznej, poparcie dla rewolucji LGBT itd. A jednak! Choć w szkole się buntował, potem powtarzał: „Raz katolik – na zawsze katolik, choć mojej wiary nie praktykuję – przecież do niej należę". Tu chyba trzeba postawić kropkę. Musimy stale z „samonienawidzącymi się katolikami" polemizować, ale skupiajmy się na ich tezach, nie na osobach. Nie niszczmy „trzciny nadłamanej", raczej podtrzymujmy „knotek o nikłym płomyku" (Iz 42,3). W końcu przecież taka postawa to kwestia naszej wiary. ©℗

eprasa.pl aacf224baf

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA





PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O sędziach (włoskich)

We Włoszech sądownictwo stoi na głowie. Do Narodowego Stowarzyszenia Sędziów (ANM) należą wszyscy sędziowie i... prokuratorzy. To oni mają decydujący wpływ na to, kto wejdzie w skład Najwyższej Rady Sądownictwa (CSM), która decyduje o awansach. Naturalnie adwokatura narzeka, że prokuratorzy i sędziowie w jednym stoją domku, co – jak twierdzi – nie pozostaje bez wpływu na wyroki.

Co gorsza, w ANM, najzupełniej formalnie, działają frakcje polityczne, więc obsadzanie stanowisk nie ma nic wspólnego z kompetencjami, a wszystko z układem sił między ugrupowaniami. Nierzadko zapadają wyroki „zideologizowane". Wiele śledztw wdrażanych jest z powodów politycznych.

Potężna frakcja Sądownictwo Demokratyczne trzyma z lewicą i jest jej politycznym sojusznikiem. Dlatego adwokaci Berlusconiego praktycznie nie wychodzili z sali sądowej [mimo śmierci krezusa dalej toczy się absurdalny proces, w którym jest oskarżony o zlecenie mafijnych zamachów terrorystycznych – przyp. P.K.]. Dlatego przed każdymi wyborami prokuratura, informując media, wdraża śledztwa przeciwko kandydatom prawicy.

W marcu referendum rozstrzygnie o losach wielkiej reformy sądownictwa, zaproponowanej przez obecny rząd. Przewiduje ona, że panowie w togach nie będą mogli być raz sędziami, a raz prokuratorami, jak dotychczas. Mają też powstać osobne stowarzyszenia sędziów i prokuratorów, a o awansach ma rozstrzygać losowanie. Z sondaży wynika, że 56 proc. badanych tę reformę w referendum poprze.

Postępowcy wpadli w popłoch, że chory system runie i stracą politycznych sojuszników. Wraz z CSM gardłują, że rząd Meloni chce przejąć kontrolę nad sądownictwem i osiągnąć „pełnię władzy", jak Mussolini w 1923 r. Powiadają, że bronią niezależności sądów.

Jak ona wygląda obecnie? W latach 2017–2024 włoscy sędziowie wsadzili za kratki blisko 6 tys. niewinnych osób. Odszkodowania sięgnęły ćwierć miliarda euro. CSM wyciągnęła konsekwencje wobec dziewięciu sędziów, czyli 0,15 proc. odpowiedzialnych za ludzkie tragedie. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl aacf224baf



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

KASA, KASA, KASA

W jednym z ostatnich wywiadów Małgorzata Rozenek-Majdan zapowiedziała swoją internetową ekspansję – po Instagramie chciałaby podbić kolejne platformy, takie jak TikTok czy X. Wszystko po to, aby kontraktów reklamowych było jeszcze więcej. Przeprowadzający rozmowę Żurnalista zapytał, czy miliony obserwujących i polubień mogą odkleić człowieka od realnego świata. – To może mieć wpływ na młodych twórców. Powiem to, chociaż wiem na pewno, że będzie to wyrwane z kontekstu, ale nie liczba polubień i liczba followersów ma dla mnie znaczenie, tylko faktura, którą wystawiam w związku z tym danym kontem czy aktywnością na koniec miesiąca – przyznała celebrytka. Wyznała, że pieniądze mają dla niej większe znaczenie niż liczba obserwujących. Gdyby miała do wyboru 200 tys. obserwujących kontra 200 tys. zł, bez wahania wybrałaby to drugie. – Dopóki udaje mi się to łączyć, w takim sensie, że nie zwracam na to uwagi, ale „tu" się zgadza, to w ogóle nie myślę o polubieniach czy ilości obserwujących. Chociaż cieszę się na każdego – dodała. Jednocześnie Małgorzata Rozenek-Majdan przyznała, że w świecie show-biznesu dominuje „propaganda sukcesu", która ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. – Da się osiągnąć sukces finansowy, ale osiąga go dużo mniej osób, niż jest to komunikowane. Propaganda sukcesu jest takim typowym komunikatem, który jest wysyłany w świat. Ja jestem typem analitycznym, który się dowiaduje i sprawdza […]. Wiem, jak wyglądają stawki. Robię to nie z potrzeby plotkarskiej, tylko też po to, żeby wiedzieć, jak negocjować, rozmawiać o pieniądzach, gdzie są ciekawe budżety. Po to, żeby zrobić coś ciekawego, bo bardzo często za budżetem idzie fajny projekt. Trzy czwarte komunikatów dotyczących kasy – wiem, że są nieprawdziwe – oceniła. Gosia niczym najlepsza księgowa – faktura ma się zgadzać. Chapeau bas!



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

WIELKIE ROZCZAROWANIE

Ojciec aktorki Pauliny Holtz miał zaplanowane (wyczekane od półtora roku) badanie echa serca w stołecznym szpitalu na Banacha, umówione na dzień przed Świętem Niepodległości. Okazało się jednak, że placówka jest częściowo nieczynna, o czym nie poinformowano pacjentów. Aktorka znana z roli w serialu „Klan" wyraziła swoje oburzenie w mediach społecznościowych. „Pojechaliśmy dziś do szpitala na Banacha i się okazało, że szpital zrobił sobie wolne i nie ma nikogo. Osoba w ochronie powiedziała nam, że pacjenci po 300 km dzisiaj przyjeżdżali i odbijali się od drzwi, ponieważ nikt nie poinformował pacjentów, że sobie zrobili wolne i wszystkie ustalone badania, a często się czeka na nie rok czy półtora, dzisiaj się nie odbywają. Jestem w lekkim szoku. Moja pani dermatolożka zawsze mówiła, że naprawdę chodzi o ludzi, nie chodzi nawet o te pieniądze, chodzi o ludzi, czy myślą, czy umieją zarządzać tym, co robią" – wskazała aktorka.

Holtz podziękowała internautom za wsparcie i zapowiedziała, że skieruje oficjalne pismo ze skargą do Rzecznika Praw Pacjenta, którego to oznaczyła w instagramowej relacji. Portal Plotek skontaktował się ze szpitalem, aby zasięgnąć języka. „Osoba pracująca w placówce wyjaśniła, że izba przyjęć i oddziały funkcjonują normalnie, jednak poradnie specjalistyczne mają dziś dzień wolny. Z informacji nam przekazanych wynika, że data ta została wyznaczona jako odbiór wolnego za 1 listopada, który w tym roku przypadł w sobotę. To oznacza, że choć formalnie szpital działa, pacjenci zapisani na wizyty ambulatoryjne faktycznie mogli zastać zamknięte drzwi w związku z wydłużonym weekendem osób pracujących w placówce" – czytamy. To teraz zobaczymy, czy pretensje aktorki znaczą więcej niż zwykłego Polaka.

SŁONO ZA SŁODKIE

Rogale świętomarcińskie, kiedyś popularne głównie w Wielkopolsce, a dziś w całym kraju, to jagodzianki sezonu jesiennego. Koneserzy szukają tych najlepszych, a ceny zwalają z nóg. Związana z TVN restauratorka Magda Gessler oferuje ten przysmak w swojej warszawskiej cukierni Słodki Słony. Co roku jest drożej. Dwa lata temu za rogala trzeba było dać 29 zł, rok temu 35, a w tym… 39 zł za sztukę. Jak się człowiek dobrze postara, to może mieć za te pieniądze, nawet w centrum, dwudaniowy obiad. Chętnych jednak nie brakuje, bo lans na „rogala od Gesslerowej" to nadal coś. Córka gwiazdy, Lara Gessler, która pomaga matce w zarządzaniu popularną cukiernią, w przeszłości odniosła się do krytycznych komentarzy na temat cen oferowanych smakołyków. Wskazała, że przecież można kupić produkt tam, gdzie się chce, i za cenę, którą się akceptuje. – Dla tego samego powodu, dlaczego mąka, jajko, benzyna, wszystko jest droższe. Wszystko drożeje w kosmicznym tempie. No i efekt jest wszędzie taki sam. I w sklepach, i w cukierniach, i w restauracjach, wszędzie […]. Każdy może wybrać to, co mu pasuje. Na tym polega wolny rynek – mówiła w rozmowie z Plejadą. Smacznego rogala! ©℗

eprasa.pl aacf224baf



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, „Jeden naród, silna Polska”. Fatalnie to brzmi, prawda? Przepraszamy wszystkich, którzy poczuli się urażeni tymi słowami – wszak nie mogliście być gotowi na to, iż nasza rubryka rozpocznie się akurat w taki sposób. Byłoby nam jednak miło, gdyby ta intelektualna prowokacja ocierająca się o frywolność została nam wybaczona.

Otósh chcieliśmy wam pokazać, jak silnie negatywne wrażenia wywołuje hasło, które towarzyszyło tegorocznemu marszowi niepodległości (celowo z małej, iż nie honorujemy marszów nacjonalistów wielkimi literami), jak bardzo wykluczające, ksenofobiczne i w gruncie rzeczy, nie bójmy się tego słowa, fashystoffskie ono było.

„Jeden naród” miałoby chyba oznaczać, iż na świecie nie ma innych narodów poza tym jednym, wybranym – polskim. A „silna Polska” to Polska ze świata Karola Nawrockiego. Zauważcie, iż osoba wybrana na prezydenta jest silna fizycznie – czym chełpi się w mediach społecznościowych, nic zatem dziwnego, iż Polska, której ona przewodzi, też musi być silna – czy chce, czy nie chce.

Tymczasem nasza Polska byłaby inna – ciepła, empatycznie, troskliwie uśmiechnięta i ironicznie spoglądająca sponad opuszczonych na nos okularów. Miałaby jakieś lekkie zaburzenie osobowości, ale nie wstydziłaby się chodzić na terapię (chcemy tu zbudować pewną analogię do proszenia o pomoc UE w sprawach finansowych czy dotyczących praworządności), byłaby otwarta na każdego, każdego gotowa przeprosić i zupełnie nie byłaby uwikłana w rozmowy o swojej wyjątkowości. Nie miałaby



parcia na bycie za wszelką cenę osobą liderską w regionie, budowanie tych wszystkich CPK-ów i innych fabryk samochodów elektrycznych.

Rozmarzyliśmy się trochę, sądzimy też, iż może jak na hasło to byłoby trochę zbyt długie, iż gen Z zmęczyłoby się po pierwszym przecinku i zapomniało treści, no ale dobrze ilustruje to kierunek, w którym chcielibyśmy pójść, oraz cel, do którego mielibyśmy zamiar dążyć. Pewnie nie za rok, nie za dwa, ale za kilkanaście lat hasło skrócone do postaci: „Empatyczna Polska, niejednorodny etnicznie naród” ma szanse na realizację, na co mocno liczymy (nawet pomimo naszej dyskalkulii).

Widzieliśmy, iż w necie jest straszny hype na serial „Heweliusz”, a więc jako kolektyw kulturowo zaawansowany postanowiliśmy sami sprawdzić, o czym mowa, i powiemy wam, że jesteśmy rozczarowani i nawet trochę wpadliśmy w depresję.

Wyobraźcie sobie najntisowy styczeń w tym kraju – masakra. W tym serialu wszystko jest szare, aż musieliśmy dla detoksu wyjrzeć za okno – no ale mamy listopad i też jest szaro. Pod względem barw ten kraj zatrzymał się w latach 90. Przykre.

Niedawno pisaliśmy o uroczych zabiegach Netflixa na zaprowadzeniu daleko idącej równości przez różnorodność w serialu o Wiedźminie. No to w „Heweliuszu”, delikatnie rzecz ujmując, różnorodności nie ma. Jesteśmy trochę rozczarowani, bo serial ma bardzo dużą widownię poza granicami tego kraju i byłaby to świetna okazja, aby dobrze się zaprezentować Europie. Niestety, zaprzepaszczona. A wystarczyłoby nieco odwagi w castingu, może trochę w scenariuszu i byłoby dobrze. Szkoda. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Żurek ze słoika

Co to jest, Waldek? Co ty mi tu za słoiki przyniosłeś?
Z żurkiem, Donald.

Zwariowałeś? Będę jakiś żur ze słoika jadł? Mnie tu obiady od Gesslerowej przynoszą, nie jakieś słoiki...
Ale przecież pokazywałeś, że żurek jesz i że niezły, to pomyślałem...

Ty serio wierzysz w to, co polityk na filmiku pokazuje?
Nie każdemu bym uwierzył, ale tobie...

Nie wiem, jak ty w tym sądzie pracowałeś z takim podejściem. Zapamiętaj sobie: po żurku to ja mam zawsze odruch wymiotny. A na tym filmiku to naprawdę grzybowa była. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Czym to się różni od Putina? Niczym, oprócz wielkości terenu”.

JOANNA SZCZEPKOWSKA, *aktorka, na Facebooku o odmowie 46 nominacji sędziowskich przez Karola Nawrockiego*

eprasa.pl aacf224baf



Z dr. Karolem Nawrockim, prezydentem RP
rozmawia Karol Gac

Jestem inny niż Andrzej Duda

eprasa.pl aacf224baf



FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

KAROL GAC: Panie prezydencie, za panem pierwsze 100 dni prezydentury. Jest pan nimi usatysfakcjonowany?

KAROL NAWROCKI: Trudno mi oceniać siebie samego. Z całą pewnością było to intensywne 100 dni. Czuję, że wykonuję swoją pracę najlepiej, jak potrafię, i się nie oszczędzam. Myślę też, że są tego wymierne efekty, choć oczywiście powinni to ocenić Polacy. Jeśli spojrzymy na to, co się wydarzyło przez te 100 dni, to w sprawach krajowych mamy konkretne inicjatywy ustawodawcze dotyczące tańszego prądu, świadczeń emerytalnych, Centralnego Portu Komunikacyjnego czy polskich portów. To realizacja mojego Planu 21, a także dowód na to, że obietnice z kampanii są wyznacznikiem moich działań jako prezydenta. Podpisałem 70 ustaw, część złych rozwiązań prawnych zawetowałem.

Uznaję, że minione 100 dni to był również intensywny czas na arenie międzynarodowej. Myślę tu m.in. o wizycie w Stanach Zjednoczonych czy udziale w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ. W Waszyngtonie usłyszeliśmy od prezydenta Donalda Trumpa konkretną deklarację, że żołnierze amerykańscy pozostaną w Polsce. Udało się również ożywić relacje gospodarcze i otworzyć dla nich szerzej drzwi, które – mam nadzieję – zostaną wykorzystane przez ten albo kolejny rząd. Wspomnę również o próbie obudzenia Grupy Wyszehradzkiej, ściślejszej współpracy w ramach Inicjatywy Trójmorza, państw bałtyckich czy państw nordyckich. Myślę więc, że tych 100 dni było wypełnionych ciężką pracą.

To truizm, ale po 1 czerwca pana życie zmieniło się diametralnie. Zdążył się już pan, wraz z rodziną, zaadaptować do nowych warunków?

Zaadaptowaliśmy się bardzo dobrze i bardzo szybko. Nasze młodsze dzieci chodzą w Warszawie do szkół i są szczęśliwe. Żona jest pełna energii i z wielkim entuzjazmem wykonuje swoje obowiązki jako pierwsza dama.

A jest coś, czego panu brakuje osobiście? Tęskni pan za czymś? Jakkolwiek by patrzeć, jest pan teraz najważniejszą osobą w Polsce, wszędzie towarzyszy panu Służba Ochrony Państwa, a o prywatności może pan zapomnieć.

Ma pan w tym dużo racji. Jeśli faktycznie za czymś tęsknię, to za chwilą bycia wyłącznie z samym sobą w niektórych sytuacjach. Pewnym przełomem jest to, że jako prezydent właściwie nie zostaję ani na sekundę sam. Dla mnie treningi ze słuchawkami na uszach, w towarzystwie osób, które mnie nie rozpoznają, były naprawdę momentem wytchnienia. Tym, co lubiłem i czego być może mi brakuje, to być wśród Polaków jak zwykły Polak.

Jest jakiś cel, który pan sobie stawia w odniesieniu do pierwszej kadencji? Jest coś, na czym panu szczególnie zależy?

Ten cel jest zarysowany w inicjatywach ustawodawczych, będących wynikiem pogłębionej diagnozy. To jest cel, który uruchomi polski potencjał, uśpiony nieco przez ostatnie dwa lata. To oczywiście Polska dobrobytu. Choć brzmi to może jak hasło, to powinniśmy dużo więcej zrobić w zakresie zabezpieczenia dobrobytu Polaków, choćby młodzieży, rencistów czy emerytów. Kluczowa jest więc tu naprawa finansów publicznych. Do tego chcę mobilizować polski rząd. Zależy mi na ustabilizowaniu pozycji Polski na arenie międzynarodowej i zbudowaniu realnych sojuszy, tak jak ten ze Stanami Zjednoczonymi. Ponadto uważam, że w obliczu tego, co widzimy, celem jest realna obrona suwerenności Polski w zakresie presji, nie tylko ideologicznej, lecz także prawnej. Jestem zwolennikiem Polski w Unii Europejskiej, uważam jednak, że chociażby kwestie wymiaru sprawiedliwości, ustrojowe czy bezpieczeństwa są zarezerwowane wyłącznie dla polskiej konstytucji, dla polskiego prezydenta oraz polskiego rządu.

Jednak Unia Europejska się zmieniła. Wielu, którzy głosowali za przystąpieniem Polski do UE, dzisiaj twierdzi, że nie do takiej Unii wchodziliśmy, a suwerenność jest coraz bardziej ograniczana. Są również tacy, którzy wskazują, że sednem polityki suwerennościowej jest m.in. to, aby przynajmniej dopuścić różne scenariusze, w tym ten dotyczący wyjścia z UE.

Zgadzam się, że Unia Europejska zmieniła się diametralnie. Ja też widzę różne perspektywy i próby podważania zasad, na których Unia została zbudowana. Wchodziliśmy do Unii Europejskiej, która miała nam dać i dała szanse gospodarcze. Dała nam również możliwość uruchomienia naszego przedsiębiorczego potencjału, bo to Polacy budowali ten potencjał na arenie europejskiej.

eprasa.pl aacf224baf

Wchodziliśmy do Unii Europejskiej po to, aby móc korzystać ze strefy Schengen, i z tego korzystamy. Taki był cel naszej akcesji. Jednak celem nie było to, aby Unia Europejska dyktowała nam warunki naszego ustroju, naszej diety czy wychowania polskich dzieci. Widzę, jak bardzo Unia Europejska zmieniła się, odchodząc od pewnego fundamentu, na którym została postawiona. I rozumiem moją rolę jako prezydenta Polski nie jako tego, który kwestionuje obecność w Unii Europejskiej, ale przywódcy, który w oparciu o kraje regionu, naszą wrażliwość i emocje będzie budował silniejszą Polskę w Unii Europejskiej, słuchającą także tych krajów, które przestrzegały przed największymi kryzysami Unii. Gdyby liderzy Europy Zachodniej wsłuchiwali się w głos tych krajów i chociaż dopuszczali do otwartej dyskusji, to wielu kryzysów Unii Europejskiej by nie było. Być może nie byłoby nawet wojny na Ukrainie, bo nie byłoby Nord Stream 2 i nie byłoby pompowania miliardów euro do Federacji Rosyjskiej. Tylko nikt tego nie chciał słuchać.

Polska ma aspiracje, aby stać się liderem w Unii Europejskiej, a także liderem relacji transatlantyckich między Unią Europejską i Stanami Zjednoczonymi. Ja tak widzę swoją rolę – wyprowadzenia Unii Europejskiej z tego wirażu, na którym się obecnie znajduje, oraz obudzenia tych, którzy popełnili tak wiele błędów. Wszystko po to, aby Unia była silniejsza także dzięki naszemu zaangażowaniu i naszemu doświadczeniu.

Wróćmy jednak na krajowe podwórko. Relacje na linii prezydent – premier nigdy, a przynajmniej od bardzo dawna, nie były tak napięte. W przededniu 11 listopada, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej", premier Donald Tusk powiedział, że „ma wrażenie bliskie pewności, iż prezydent Nawrocki nie jest zainteresowany żadnymi relacjami z nim". Wcześniej szef rządu stwierdził, że „bardzo obficie zaczął pan korzystać z możliwości psucia, wpływania, blokowania". Jest pan zainteresowany relacjami z Donaldem Tuskiem czy raczej niekoniecznie? A może to premier – z pana perspektywy – nie jest zainteresowany relacjami z prezydentem?

Myślę, że w tych momentach, w których trzeba i w których się zgadzamy, mamy z premierem Donaldem Tuskiem odpowiednie relacje. Najlepszym tego przykładem był 10 września, który pokazał, że gdy jest zagrożenie dla Polski, to potrafimy porzucić swoje prywatne oceny i realizować racje państwa.

Oczywiście radzę sobie bez premiera Donalda Tuska z pełnieniem swojej funkcji, ale w takich rzeczach, które są ważne dla Polski, szczególnie w zakresie bezpieczeństwa, Polacy oczekują od nas relacji i dyskusji. Do tego oczywiście jestem gotowy. Jeśli jednak ma to polegać na tym, że środowisko pana premiera czy polski rząd będą oczekiwały, iż będę akceptował wszystko, co przyjdzie większości parlamentarnej do głowy, to chcę wyraźnie powiedzieć, że nie taka jest istota mojej roli w państwie. Zwłaszcza po tym, jak otrzymałem ponad 10,5 mln głosów. Nie tego oczekują ode mnie Polacy.

Oczywiście radzę sobie bez premiera Donalda Tuska z pełnieniem swojej funkcji, ale w takich rzeczach, które są ważne dla Polski, szczególnie w zakresie bezpieczeństwa, Polacy oczekują od nas relacji i dyskusji. Do tego oczywiście jestem gotowy

Przypominam też, jak wygląda mechanizm polskiej demokracji. Prezydent w Polsce nie jest wybierany przez Zgromadzenie Narodowe. Jest jedynym przedstawicielem władzy wykonawczej wybieranym w bezpośrednich wyborach. Te głosy były oddane na konkretnego kandydata. Już na samym początku mojej kadencji proponowałem premierowi Tuskowi, że jeśli pracują nad jakimś prawem, to w systemie, w którym żyjemy, wypadałoby to konsultować z prezydentem. Jeśli to nie jest szanowane, a decyzje premiera mają skłaniać mnie do bycia notariuszem większości parlamentarnej, to chcę wyraźnie powiedzieć, że nie jest to konstrukcja, na którą umawiałem się z Polakami. Umawiałem się za to na realizację ich oczekiwań i popieranego przez nich programu.

Nie mogę przy tej okazji nie zapytać o sprawę prof. Sławomira Cenckiewicza i jego dostępu do informacji niejawnych. Może za jego sprawą rząd wywiera na panu presję?

Sprawa prof. Cenckiewicza zaczęła się, zanim zostałem prezydentem Polski. Zdecydowałem się na współpracę z prof. Sławomirem Cenckiewiczem, znając te chybione zastrzeżenia względem niego. Jest to sprawa polityczna, a także próba przełożenia antypatii środowiska, dzisiaj większości parlamentarnej, na prof. Cenckiewicza. Zgodnie z decyzją sądu pan prof. Cenckiewicz ma poświadczenie bezpieczeństwa. Jest bardzo dobrym szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego i myślę, że za sprawą działania rządu ta sprawa straciła powagę. Znamy przypadki, w których rząd odbierał poświadczenia bezpieczeństwa w celu eliminowania swoich politycznych przeciwników. I to właśnie dotyka ministra Cenckiewicza, który ze swoim zespołem wykonuje obowiązki wobec Polski.

Powiedział pan przed chwilą, że w sytuacjach kryzysowych współpraca z rządem przebiega bez problemów, czego przykładem były drony w polskiej przestrzeni powietrznej. Ponadto mamy sytuację, w której szefowie służb zostali zatrzymani przez premiera, aby nie udzielali informacji prezydentowi Polski.

Pan premier musi wziąć na swoje sumienie to, co zrobił szefom służb i polskim oficerom. Nie zdarzyło się w III RP, aby najważniejsze osoby w służbach specjalnych odmówiły spotkania z prezydentem Polski. Widzimy przecież, jak to wygląda w innych resortach. Jeśli spojrzymy na Ministerstwo Obrony Narodowej, to jako zwierzchnik Sił Zbrojnych mam prawo spotkać się z generałami, a generałowie obowiązek, aby spotkać się ze mną, kiedy uznaję, że sprawy państwa tego wymagają. To jest nie do pomyślenia, żeby szef Sztabu Generalnego czy dowódca operacyjny rodzajów Sił Zbrojnych nie stawili się na spotkanie z prezydentem. I do takich spotkań doszło.

To pierwsza tego typu sytuacja po 1989 r., że szefowie służb nie stawili się na spotkanie z prezydentem, mimo że było to spotkanie planowane wcześniej. Nie pojawili się tylko dlatego, że zakazał im premier Tusk. Ze względu na komfort Po-

eprasa.pl aacf224baf

laków oraz na to, że ta informacja nie powinna przedostać się do opinii publicznej, nie mówiłem o tym. Chciałem to rozwiązać w inny sposób. Natomiast pojawiło się oświadczenie premiera w odniesieniu do nominacji oficerskich, które sprawiło, że sprawa stała się medialna. Nie mogłem już tego nie skomentować, ponieważ pan premier skłamał. Nie przedstawił całego obrazu sytuacji, a jednym z elementów mojej dyskusji z szefami służb miały być te nominacje, choć nie tylko, bo jest wiele niepokojących rzeczy, o których chciałem porozmawiać. Przypominam, że wciąż czekamy na rozstrzygnięcia sprawy nielegalnego finansowania kampanii wyborczej. Jest wiele pytań, które mam do szefów służb, a jednym z nich było także ustalenie cyklu nominacji. Skoro udaje się to robić z innymi resortami, to trudno było mi zakładać, że nie jest to możliwe z polskimi służbami. To jest szkodliwe dla państwa polskiego i nie powinno być przedmiotem debaty publicznej. Premier Donald Tusk zdecydował inaczej i to go obciąża. Podobnie jak obciąża to niestety także polskich oficerów służb. Ci oficerowie do końca życia będą nosić w swoim sumieniu, że nie stawili się na zaproszenie prezydenta Polski.

Do czasu naszej rozmowy zawetował pan 13 ustaw, choć jednocześnie podpisał ich pan kilka razy więcej. Trudno jednak nie dostrzec pewnej różnicy między panem a prezydentem Andrzejem Dudą. Czy to zarazem sygnał, jak będą wyglądały najbliższe dwa lata?

Panie redaktorze, weto to przede wszystkim element polskiego mechanizmu ustawodawczego. To nie jest nic zaskakującego ani nowego. Korzystanie z prawa weta przez prezydenta powinno być postrzegane jako jeden z kluczowych elementów funkcjonowania polskiego systemu demokratycznego.

Jeśli zaś chodzi o prezydenta Andrzeja Dudę, to był to mój prezydent. Szanuję prezydenta Dudę i uznaję, że to było dobre 10 lat prezydentury, której – nawiasem mówiąc – ci, którzy dzisiaj patrzą na mnie jako na kogoś bardziej radykalnego niż Andrzej Duda, i tak nie doceniali przez wiele lat, mówiąc, że wetuje ustawy i nie chce ich podpisywać. Widzimy, że mamy do czynienia ze środowiskiem politycznym, które nie doceniało wyciągniętej ręki Andrzeja Dudy i nie docenia też w wielu kwestiach mojej wyciągniętej ręki. Andrzej Duda i ja jesteśmy inni. Choć doskonale się rozumiemy, to jesteśmy innymi prezydentami. Dla mnie poczucie pewnej wspólnoty z prezydentem Lechem Kaczyńskim czy z prezydentem Andrzejem Dudą jest ważną rzeczą, ale jestem prezydentem, który nazywa się Karol Nawrocki.

Jedną z pana głośniejszych decyzji była ustawa o pomocy Ukraińcom, którą pan podpisał, co wywołało wiele reakcji, także emocjonalnych. Pojawiły się m.in. komentarze mówiące o rozczarowaniu, a nawet o zdradzie części wyborców. Co pan powie tej części wyborców, która czuła się wtedy rozczarowana?

W tych decyzjach trzeba zachować głęboko posuniętą rozwagę. Pierwszą ustawę zawetowałem, bo jasno deklarowałem, że „800+" powinno być wyłącznie dla Ukraińców, którzy pracują, a także że powinni oni korzystać z polskiej gościnności na zasadach, z jakich korzystają inne mniejszości narodowe. I taki jest oczywiście cel. Deklarowałem to w kampanii wyborczej. Przypomnę, że także to weto wywołało debatę publiczną, wskazywano, że prowadzi ono w sensie gospodarczym do trudnych rozwiązań pod względem funkcjonowania państwa. Nie zawahałem się jednak zawetować tej ustawy. Jednocześnie wyszedłem ze swoją inicjatywą, która ma penalizować symbole banderowskie, podobnie jak inne symbole systemów totalitarnych. Przypomnę też, że mój kontrkandydat w czasie kampanii wyborczej, Rafał Trzaskowski, deklarował, że „800+" miało być tylko dla pracujących Ukraińców.

W wyniku weta rząd się cofnął przy tej ustawie i przyjął znacznie lepsze regulacje. Przygotowano rozwiązania, które na ten moment nie są idealne, ale uwzględniają także potrzeby polskich przedsiębiorców, zatrudniających wielu Ukraińców. I dlatego tę drugą ustawę podpisałem. Ci, którzy mnie krytykowali, nie zdają sobie sprawy, do jakiego chaosu, także w ich codziennym życiu, mogłoby doprowadzić drugie weto, także w sytuacji, w której większość moich postulatów została przyjęta przez parlament.

Jest też druga kwestia. Jako prezydent narodu, który ma 20 mln Polaków poza granicami kraju, chcę również, aby moich rodaków mieszkających poza Polską traktowano poważnie. Oczywiście tych, którzy realizują się, płacą podatki, szanują wartości i dom, w którym przyszło im mieszkać. Nie chciałbym, by byli postawieni w analogicznej sytuacji zmiany zasad ich pobytu w danym państwie z tak krótkim wyprzedzeniem.

Podpisując ustawę, wyraźnie pan powiedział, że to ostatnia tego typu ustawa, którą pan podpisze, a także że daje pan czas rządowi na przygotowanie odpowiednich przepisów. Nie obawia się pan scenariusza, w którym rząd de facto nic nie zrobi i postawi pana pod ścianą za kilka miesięcy, kiedy czas obecnej ustawy będzie się kończył?

Chcę być prezydentem rozwagi, a nie prezydentem chaosu. Zawetowanie tej drugiej ustawy doprowadziłoby do społecznego chaosu. Myślę, że rząd przyjął ten sygnał i w przyszłym roku Ukraińcy (w kolejnym roku wojny, która – mam nadzieję – zakończy się jak najszybciej) powinni być traktowani tak jak inni cudzoziemcy w Polsce. Jest to sprawiedliwe, zgodne z naszymi relacjami międzynarodowymi. I Ukraińcy, i Białorusini, i inne narodowości powinni czuć się tak samo w Polsce. Nie wiem, co zrobi rząd, ale jeśli zechce doprowadzić nas do chaosu, to będę musiał podjąć ostateczną decyzję. Chyba już nieraz udowadniałem, że potrafię podjąć decyzję zgodnie z polską racją stanu, niezależnie od pewnych politycznych konsekwencji. Ten sygnał był jasny – musimy skończyć z nadprogramową pomocą, a wrócić do realiów, na które zasługują w Polsce, na równych zasadach, przedstawiciele różnych narodowości.

Nie wiem, czy da się pan namówić na odpowiedź, ale chciałem zapytać o tzw. ustawę łańcuchową i tę zakazującą hodowli zwierząt na futra. Obie ustawy wywołały dyskusje po prawej stronie sceny politycznej. Czy na ten moment skłania się pan bardziej do podpisu tych ustaw czy do ich zawetowania?

Nie dam się namówić, panie redaktorze (śmiech). Jak przyjdzie moment decyzji, to z całą pewnością się nią podzielę. Bardzo poważnie podchodzę do wszystkich ustaw, a w szczególności do tych, które interesują opinię publiczną. Wsłuchuję się w głosy zwolenników i przeciwników. Potem zaś, jak mówił śp. prezydent Lech Kaczyński, zostaję z tym dokumentem sam i muszę podjąć decyzję.

eprasa.pl aacf224baf

A co z ustawą budżetową, która lada moment trafi na pana biurko? Mamy katastrofę w finansach publicznych, o czym pan mówi, a część prawników wskazuje dodatkowo na jej niekonstytucyjność. Prezydent Andrzej Duda zdecydował się na podpisanie ostatniej ustawy budżetowej, ale w trybie następczym skierował ją do Trybunału Konstytucyjnego. Bierze pan te głosy pod uwagę i rozważa pan skierowanie ustawy budżetowej do TK, ale w trybie prewencyjnym?

Biorę wszystkie możliwości pod uwagę. Rzeczywiście, stan finansów publicznych jest straszny. Trudno się dziwić, skoro główną motywacją ministra finansów, jak sam mówi, jest zemsta, a nie dbanie o stan finansów publicznych. Przez tych kilka miesięcy zgłosiłem wiele spraw ważnych dla Polaków. Konsekwentnie uważam, że powinniśmy wydawać 5 proc. PKB na polską armię, docierają do mnie głosy o niedofinansowaniu polskiej nauki, powszechnie znane i dotkliwe są problemy związane ze służbą zdrowia. Wskazywałem rzeczy, które są ważne dla Polaków i które, mam nadzieję, ostatecznie zostaną uwzględnione w budżecie państwa w skali możliwej do realizacji. Jeśli tak się nie stanie i będzie to budżet, który wzbudzi moje obawy, to jestem gotowy podjąć każdą decyzję. Czekam na przyjęcie budżetu i przesłanie go do Kancelarii Prezydenta.

Ma pan jakiś plan, jak zatrzymać destrukcyjne działania rządu? Zdaję sobie sprawę z ograniczeń konstytucyjnych i prerogatyw prezydenta, jednak wielu pana wyborców zastanawia się, kiedy zatrzyma bezprawie rządu Donalda Tuska.

W błędzie są ci, którzy mówią, że nic nie zrobiłem. Skorzystałem ze swojego mechanizmu, który daje mi konstytucja, a więc zwołania Rady Gabinetowej poświęconej finansom publicznym. Mówiłem rządowi wprost, czego oczekują Polacy i w jakiej dramatycznej sytuacji jesteśmy, a także przedstawiłem społeczne oczekiwania. Kryzys wokół ochrony zdrowia, na który reaguję publicznie, jest oczywiście konsekwencją fatalnego stanu finansów publicznych i doprowadzenia do sytuacji, w której pacjenci onkologiczni nie mogą dostać się do szpitali. To być może także będzie przedmiotem rady gabinetowej, na którą zaproszę polski rząd.

Oddzielnym wątkiem jest chaos, by nie powiedzieć anarchia, w wymiarze sprawiedliwości. Rozmawiamy tuż po pana decyzji, by odmówić nominacji dla 46 sędziów. To mocny sygnał.

Oczywiście, że tak. Myślę, że na całą sprawę można spojrzeć z dwóch perspektyw: krótkoterminowej i długoterminowej. Jeśli chodzi o krótkoterminową perspektywę walki z dewastowaniem polskiego ustroju państwa przez ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka, to zwrócę uwagę, że najpierw padła jasna deklaracja 6 sierpnia, w której wzywałem sędziów do tego, aby szanowali porządek konstytucyjny Polski, a nie ulegali temu, o czym mówi minister, łamiąc konstytucję i cały ukształtowany system prawny. Najpierw były więc słowa, a teraz są czyny. Po rozporządzeniu ministra Żurka skierowałem wniosek do Trybunału Konstytucyjnego, a minister Zbigniew Bogucki skierował zawiadomienie do prokuratury, więc było to już realne działanie. Trybunał Konstytucyjny właśnie potwierdził niezgodność z Konstytucją RP tego rozporządzenia likwidującego losowy przydział spraw. W tym czasie powołałem kolejnych sędziów, korzystając ze swoich prerogatyw konstytucyjnych, pokazując, że sędziami są ci, których mianował prezydent Rzeczypospolitej. To trzy konkretne realizacje tego, co zapowiadałem 6 sierpnia. Teraz dałem kolejny mocny sygnał w tej perspektywie krótkoterminowej, że ci sędziowie, którzy łamią porządek konstytucyjny, w najbliższych pięciu latach nie mogą liczyć na awanse. Myślę, że jak na tak krótki czas, to tych sygnałów nie tylko oratorskich, lecz także konkretnych, twardych, prawnych, było na tyle dużo, że pan minister Żurek i wszyscy sędziowie Rzeczypospolitej powinni zrozumieć, że prezydent Polski nie pozwoli na dzielenie sędziów na neo- i paleosędziów.

W perspektywie długoterminowej zaproponuję rozwiązania ustawowe, nad którymi trwają już prace. To jest tak skomplikowana materia, że podchodzimy do tego w sposób bardzo szczegółowy i takie rozwiązania pojawią się najpóźniej na początku 2026 r. Kolejnym krokiem, jeśli nie zyskamy kompromisu i naprawy wymiaru sprawiedliwości oraz ustroju państwa, będzie zwrócenie się do Senatu z prośbą o referendum, aby to obywatele zdecydowali, bo to dla obywateli są sędziowie, oni nie są sami dla siebie. Nie można robić z sali sądowej sali sejmowej. Sędziowie nie są politykami, składają się na jeden



FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

z elementów polskiego systemu demokratycznego. Myślę więc, że korzystam z całej palety możliwości prezydenta.

Jak wobec tego patrzy pan na działania prokuratury i rządu w sprawie byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry? On sam mówi, że w Polsce nie ma szans na uczciwy proces.

Z całą pewnością minister Zbigniew Ziobro nie może liczyć na sprawiedliwy proces. Nie mamy w Polsce legalnie działającego prokuratora krajowego. Możemy założyć, że nawet jeśli swoją pracę wykonałaby nielegalnie działająca prokuratura, to nie mamy pewności, jaki skład będzie orzekał w sprawie Zbigniewa Ziobry. Działania rządzących spowodowały, że dzisiaj nie ma warunków, aby minister Ziobro został uczciwie osądzony czy żeby uczciwie poprowadzono postępowanie prokuratorskie. W związku z tym ta sprawa służy polskiemu rządowi do tego, aby odwracać uwagę opinii publicznej od najważniejszych kwestii, które dotyczą życia Polaków – służby zdrowia, stanu finansów publicznych, realizacji wielu ważnych dla Polski i dla naszego rozwoju projektów. Jest to oczywiście teatr polityczny.

Panie prezydencie, pytałem na początku o pana relacje z premierem Donaldem Tuskiem. Jak wyglądają

eprasa.pl aacf224baf



pana relacje z ministrem spraw zagranicznych Radosławem Sikorskim? Sytuacja, w której Polska nie ma ambasadorów w najważniejszych placówkach, nie jest optymalna. Jest jakaś szansa na kompromis? Widać go na horyzoncie czy raczej niekoniecznie?

Bardzo chciałbym osiągnąć kompromis w kwestii ambasadorów. Znam wielu ambasadorów jako dobrych, polskich dyplomatów. Niestety, są oni dzisiaj wzięci jako zakładnicy. Jednak widać też, że pomimo tego sporu, o który pan pyta, udaje się prowadzić politykę międzynarodową z dużymi sukcesami. To, co działo się w Stanach Zjednoczonych, nie wymagało zaangażowania kierownika placówki. Próbujemy dialogu z ministrem Radosławem Sikorskim na temat rozwiązania tej sprawy. Nie wiem, do jakiego momentu ten dialog nas doprowadzi, ale podejmujemy próby. Przypominam, że ta sprawa jest nierozstrzygnięta już od kilku lat, więc tutaj pośpiech jest niewskazany, celem jest konstytucyjna i ustawowa sprawiedliwość. Być może do niej dojdziemy, pozostając w dialogu.

Przejdźmy do polityki zagranicznej. Pierwszą podróż odbył pan do Waszyngtonu, gdzie spotkał się pan w Białym Domu z prezydentem USA Donaldem Trumpem. Zresztą prezydent Stanów Zjednoczonych przyjął pana w Białym Domu jeszcze podczas kampanii wyborczej, co było w zasadzie bezprecedensowe. Jak pan patrzy na obecne relacje polsko-amerykańskie, a także swoje, już osobiste, z Donaldem Trumpem?

To są z całą pewnością bardzo dobre relacje. Stany Zjednoczone są naszym głównym sojusznikiem od dekad, niezależnie od zmieniających się prezydentów – czy to w Polsce, czy w USA. Cieszy mnie osobista relacja z prezydentem Donaldem Trumpem, bo patrzę na nią przez pryzmat relacji polsko-amerykańskich i tego, jak na tym może skorzystać nasz kraj. Mamy blisko 10 tys. żołnierzy amerykańskich w Polsce, bardzo bliską współpracę naszego biznesu i gospodarek, a do tego wiele inwestycji amerykańskich oraz możliwości dla polskich przedsiębiorców. To są kluczowe relacje i dla bezpieczeństwa, i dla gospodarki. Cieszę się, że jestem tym politykiem, który potrafi zadbać o relacje między naszymi państwami. Patrzę na nie z wielkim optymizmem, a także z pewną trwogą, ponieważ otwarte okno dla naszych doskonałych relacji to okno, na które czekają teraz polscy przedsiębiorcy. Powinno ono zostać wykorzystane, a widzimy pewien rodzaj niechęci czy zazdrości, że te relacje prowadzi prezydent Polski. Myślę, że taka małostkowość nie może się przekładać na polski sukces gospodarczy czy wojskowy.

Dla równowagi chciałbym zapytać o pana spojrzenie na Chiny. Pekin uważnie obserwuje to, co dzieje się w UE i w Polsce. We wrześniu spotkał się pan z ministrem spraw zagranicznych Chin. Planuje pan podróż zagraniczną do Pekinu?

Jeśli chodzi o Chiny, to rzeczywiście miałem bardzo dobre, konstruktywne spotkanie z ministrem spraw zagranicznych Chin. Otrzymałem wtedy zaproszenie do przewodniczącego Xi Jinpinga i sądzę, że do takiej wizyty dojdzie. Polska ma oficjalne dyplomatyczne relacje z Chinami, a te relacje, które są obowiązujące dla głowy państwa, będą realizowane na arenie międzynarodowej.

Panie prezydencie, moje ostatnie pytanie dotyczy relacji z Ukrainą. W mediach pojawiły się informacje, że Ukraina dąży do tego, by złożył pan wizytę w Kijowie. Pan otwarcie mówi o tym, co panu nie odpowiada w naszych relacjach z Ukrainą. Jaki jest pana komentarz w tym temacie? Odwiedzi pan Kijów?

Przede wszystkim zapraszam prezydenta Wołodymyra Zełenskiego do Polski. Myślę, że to będzie doskonała okazja, aby odwiedził milion Ukraińców w Polsce i spotkał się z nimi, jak również podziękował za wielkie wsparcie, którego Polska udziela Ukrainie od 2022 r. Nasze relacje muszą być symetryczne, więc liczę, że prezydent Zełenski – po tym wszystkim dobrym, co Polacy i Polska dali Ukraińcom i Ukrainie – jest gotowy do tego, aby wsłuchać się także w nasz głos.

Moje podejście do relacji z Ukrainą jest takie samo jak do innych naszych partnerów. Liczę na symetrię naszych relacji i do tej symetrii powinniśmy wrócić. Polska wspierała i wspiera pod względem finansowym, wojskowym czy logistycznym Ukrainę. Taki jest nasz długofalowy, strategiczny interes. Natomiast te relacje nie mogą odbijać się negatywnie na Polakach. I to jest jedyna rzecz, której oczekuję od prezydenta Wołodymyra Zełenskiego – żeby patrzył na nasze relacje w sposób symetryczny. Mam nadzieję, że będzie moim gościem w Warszawie. Zapraszam prezydenta Zełenskiego, aby spotkał się z Ukraińcami, którzy są w Polsce, podziękował Polakom i aby przywiózł dobre informacje w sprawie ekshumacji na Wołyniu, na które czekamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf



Gonić Ziobrę!



Rafał A. Ziemkiewicz

Jeśli stan zdrowia byłego ministra sprawiedliwości jest rzeczywiście taki, jak można wnosić z różnych poufnych informacji, to grozi to gwałtownym przeskokiem nastrojów społecznych i wykreowaniem PiS-owskiego „szeryfa" na męczennika



Wyciągnięcie z szuflady aktu oskarżenia przeciwko Zbigniewowi Ziobrze oraz wiele innych „rozliczeniowych" działań – m.in. oskarżenie Dariusza Mateckiego i Michała Wosia, polowanie na Daniela Obajtka – to dość czytelna operacja socjotechniczna. Jak w starej piosence Agnieszki Osieckiej, „nie o to chodzi, by złowić króliczka, ale by gonić go". Akty oskarżenia oparte są na zarzutach tak słabych, a w wielu wypadkach po prostu absurdalnych, że trudno wyobrazić sobie sąd, nawet spośród tych kierowanych przez „zaufanych prezesów" ministra Waldemara Żurka, który odważyłby się je przyjąć. Napisano i powiedziano o tym wystarczająco wiele, by nie wdawać się tutaj w prawnicze szczegóły.

Napomknijmy, że nawet najwierniejsza z wiernych Donaldowi Tuskowi prokuratorów, Ewa Wrzosek, zmuszona była publicznie przyznać, że „przy zakupie systemu Pegasus nie zostały złamane żadne przepisy" – tym samym de facto przyznając, że Michał Woś oskarżony został o czyn niebędący przestępstwem. Z kolei zarzut, jakoby rozdysponowanie środków z Funduszu Sprawiedliwości rozmaitym podmiotom stanowiło jakieś nadużycie, kompromituje to, iż wiele z tych środków wypłacanych było i jest nadal za rządów Tuska i jego ministrów. Zresztą zgodnie z prawem takie oskarżenie powinno być poprzedzone konkretnymi zarzutami wobec odbiorców grantów, gdzie i w jaki sposób zużyli je niezgodnie z przeznaczeniem – ale powołany do tego przez Adama Bodnara zespół przez dwa lata nie zdołał, jak dotąd, wskazać ani jednego takiego przypadku.

Podobnie w wypadku innych zarzutów – innowacyjne pojęcie „osiągnięcia korzyści politycznej" utożsamionej z „korzyścią osobistą", wiodące ku oskarżeniu o „przewłaszczenie funduszy publicznych" z artykułów penalizujących ich „przywłaszczenie" (!), to szczyty propagandowej ekwilibrystyki. Do tego mamy zarzut o kierowanie ministerstwem jako kierowanie „zorganizowaną grupą przestępczą" oraz ewidentne nadużywanie wniosków aresztowych i środków zapobiegawczych jako narzędzi osobistej zemsty polityków na politykach.

UNIJNA „LICENCJA NA ZABIJANIE"

Logicznie mamy więc dwie możliwości – albo tak spreparowane akty

eprasa.pl aacf224baf



Poseł PiS Dariusz Matecki (na dole, pierwszy od prawej) to jeden z obiektów operacji socjotechnicznej rządu Donalda Tuska FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

oskarżenia trafią, już bez zachowywania żadnych pozorów, do sędziów wiernych partii i osobiście ministrowi, po czym nastąpi skazanie w pokazowym procesie wzorowanym na sądowych farsach z czasów Bolesława Bieruta i Józefa Stalina, albo też cała sprawa jest grą pozorów, wielką inscenizacją, mającą posłużyć wyprodukowaniu i bieżącemu agregowaniu newsa „rozliczenia trwają i zbliżają się do oczekiwanego sukcesu", który za kilka miesięcy zostanie zapomniany, podobnie jak kolejne „rewolucje legislacyjne", „załatwienie Polsce zwolnienia z relokacji migrantów" i inne niezliczone wzmożenia Tuska.

Pomimo niemal otwarcie udzielanej Tuskowi przez przywódców Unii Europejskiej „licencji na zabijanie" – to znaczy, na dowolne łamanie prawa i podstawowych zasad, byle za tę cenę utrzymał Polskę pod kontrolą rodzącego się „państwa europejskiego" – ten pierwszy wariant wydaje się politycznie ryzykowny. Proces z natury rzeczy musiałby być publicznie transmitowany, a kontrola liberalno-lewicowej „klasy panującej" nad mediami, mimo starań o objęcie Internetu cenzurą i prób zastraszania za „fake newsy", wydaje się obecnie raczej słabnąć, niż umacniać, czego dowodem jest choćby ujawnienie skandalicznej manipulacji BBC podczas relacjonowania „szturmu na Kapitol" przed pięciu laty.

Gdyby Zbigniew Ziobro poprosił o azyl nie na Węgrzech, a w USA, uderzyłoby to w reżim Donalda Tuska

Ogłaszaniu „26 zarzutów" wobec Ziobry (charakterystyczne, że w dyskursie propagandowym władzy sama ich liczba i liczba stron aktu oskarżenia przedstawiane są jako „dowód" – literalnie wedle wskazania klasyka o „przechodzeniu ilości w jakość") towarzyszyło wiele niedwuznacznie formułowanych sygnałów mających byłego ministra zastraszyć i skłonić do pozostania za granicą. Przede wszystkim na samą publikację wybrano moment, kiedy wiadomo było, że Ziobry nie będzie w kraju. Jednocześnie postraszono go „przeciekami", że nawet z formalnie obowiązującym immunitetem zostanie aresztowany natychmiast po postawieniu nogi na polskiej ziemi, że takie polecenia zostały już służbom wydane, że jest także wyznaczony sędzia (tu padło konkretne nazwisko jednego z dyspozycyjnych wobec partii sędziowskich aktywistów) do „klepnięcia" zarzutów o „zorganizowaną grupę przestępczą" i tym samym aresztu. Prokuratura ogłosiła też, że nie przyjmuje do wiadomości choroby Ziobry, bo ma własnego biegłego, który już, w jakiś sobie znany sposób, bez badania pacjenta orzekł, że można go osadzić w więzieniu.

To wszystko (a był jeszcze „przeciek z Brukseli", jakoby Tusk dostał tam zgodę na wyrzucenie ze stanu sędziowskiego tysięcy osób i aresztowanie setek działaczy opozycji, plus oczywiście masowe przebieranie nogami przez polityków PO i ich internetowych trolli rajcujących się wizjami oczekiwanego konania Ziobry w celi) miało – jak sądzę – postawić Ziobrę przed decyzją heroiczną – przekonać, że jeśli wróci, to żurkowcy wykończą go, jak śp. Barbarę Skrzypek. Czy taki scenariusz rzeczywiście jest przygotowany, trudno powiedzieć – bez wątpienia wszystkie te zabiegi zwiększyły prawdopodobieństwo, że Ziobro pozostanie na Węgrzech. A to właśnie – jak sądzę – jest dla Tuska scenariusz optymalny. Z jego punktu widzenia najkorzystniejsze jest bowiem, by ujadanie na Ziobrę można było przeciągać w nieskończoność, bez możliwości zweryfikowania rzucanych na niego i na cały PiS oskarżeń.

CO TUSK MOŻE ZYSKAĆ

Polityczne zyski wydają się tu oczywiste. Po pierwsze, Tusk po raz kolejny cementuje nienawiścią do PiS swoje zaplecze, dostarczając mu tak bardzo upragnionego przez żelazny elektorat poczucia, że ich wódz jest „sprawczy". Po drugie, emocje związane z Ziobrą skutecznie przykrywają kolejne wtopy rządu. Nie przebiła się przez nie do opinii publicznej informacja, że rząd kończy „mrożenie cen energii", co razem z podwyżką „opłaty mocowej" musi zaowocować dramatycznym wzrostem rachunków; nie przebiła się także

eprasa.pl aacf224baf

informacja o ostatecznym wstrzymaniu kolejnej strategicznej inwestycji – budowy terminalu kontenerowego w Świnoujściu, nie znalazła też dalszego ciągu kwestia stosunków łączących polityków i urzędników obecnego rządu z Dawtoną, nie znalazło się w mediach, poza tymi „prawicowymi", miejsce na rozważenie odkrytych związków Waldemara Żurka z rosyjskim szpiegiem Pablem Rubcowem oraz jego patronowania karierze sędziego zdrajcy Tomasza Szmydta. Nawet tak bolesne dla Polaków kwestie bankructwa służby zdrowia, odwoływania zabiegów i przyjęć na oddziałach onkologicznych czy tragikomicznej decyzji szczecińskiego szpitala o ogłoszeniu zbiórki publicznej na zakup nowego tomografu w miejsce zepsutego rezonowały w mediosferze stosunkowo słabo.

Po trzecie, z powyższych tematów, dla szerokiej publiczności istotnych, ciężar debaty publicznej przepchnięty został na temat, który jej za bardzo nie interesuje. „Rozliczenia" są kluczowe dla grupy zapalonych zwolenników władzy, ale w hierarchii spraw interesujących przeciętnego wyborcę zajmują w badaniach miejsce przedostatnie – za mniej ważne uważa on tylko „związki partnerskie". Dla przeciętnego Polaka jest to wojna mafii, która go nie dotyczy – kiedyś PiS-owcy ścigali PO-wców, teraz PO-wcy PiS-owców, a gdy po kolejnej zmianie władzy PiS-owcy będą wsadzać do więzienia Żurka, a choćby i samego Tuska, Polacy będą równie nieskłonni do demonstrowania oburzenia z tego powodu, jak obecnie z powodu bezprawia, którego ofiarą pada Ziobro. Dla „prostych Polaków", jak to swego czasu określał oficjalny język PiS, wszyscy politycy są warci więzienia, tylko nie o wszystkich wiadomo, co konkretnie przekręcili – Tusk w swej propagandzie odwołuje się do tego stereotypu skutecznie, ale pewnie wie, że może on zadziałać w obie strony.

Po czwarte, akty oskarżenia zepchnęły PiS do politycznej defensywy. Wszyscy jego politycy i liderzy opinii zmuszeni zostali wykorzystywać swą obecność w przestrzeni publicznej do tłumaczenia, że to nieprawda, że bezprawie, że bezpodstawne itd., w związku z czym nie mają przestrzeni na punktowanie kolejnych katastrof zarządzania. Dodatkowym zyskiem jest dla Tuska wbicie kolejnego klinu pomiędzy PiS a Konfederację, której niejasne dla przeciętnego odbiorcy mediów głosowanie w sprawie immunitetu, a także wypowiedzi niektórych działaczy, wchodzących spontanicznie w rolę „pożytecznych idiotów" uwiarygadniających narrację o „złodziejstwie PiS" pozwoliły Tuskowi używać argumentu, że w sprawie Ziobry „nawet posłowie Konfederacji nie mieli wątpliwości".

Uczynienie tuskowego inkwizytora Romana Giertycha twarzą kampanii judzenia na Ziobrę budzi tylko pusty śmiech

CYNIZM I BEZCZELNOŚĆ PREMIERA

Ale oprócz oczywistych zysków są i ryzyka. Jednym z nich, już wspomnianym, jest to, że Ziobro może jednak do Polski przyjechać. Jeśli jego stan zdrowia jest rzeczywiście taki, jak można wnosić z różnych poufnych informacji, to grozi to gwałtownym przeskokiem nastrojów społecznych i wykreowaniem PiS-owskiego „szeryfa" na męczennika. Wykonawcy woli Tuska będą musieli albo pozwolić, by media zalały zdjęcia wychudzonego więźnia, podłączonego na łożu boleści do rurek i sond, albo Ziobrę na wniosek lekarzy wypuścić – w obu wypadkach obróci się to przeciwko nim. Może też się zdarzyć, że Ziobro zaszachuje Tuska, pozostając za granicą. Sama gotowość stawienia się na przesłuchanie w Brukseli lub w Budapeszcie czy też złożenie zeznań w sposób zdalny są stosunkowo łatwe do odbicia. Ale co, gdyby Ziobro udał się na leczenie do USA (przy jego chorobie jest to całkowicie uzasadnione) i tam, a nie w Budapeszcie poprosił o azyl? Orzeczenie sądu amerykańskiego, a nie węgierskiego, że były minister nie może liczyć na uczciwy proces w kraju rządzonym przez pupila Komisji Europejskiej i dominującej w strukturach unijnych Europejskiej Partii Ludowej, mogłoby całą misternie uknutą przez Tuska, Żurka i prawdopodobnie Romana Giertycha intrygę obrócić przeciwko nim. A przecież uczciwy sąd musiałby tak właśnie orzec – wystarczy zapoznać się choćby z przesłankami przedstawionymi przez prof. Ryszarda Piotrowskiego. Można też domniemywać, że administracja Donalda Trumpa dostrzegłaby swój interes w uzyskaniu takiego argumentu, zarazem bijącego mocno we wrogi jej unijny establishment i potwierdzającego w całej rozciągłości oskarżenia, które rzucił unijnym przywódcom w oczy wiceprezydent J.D. Vance podczas sławnego wystąpienia w Monachium.

„Mała, radosna wojenka" rozpętana przez Tuska i jego ludzi, zapewne w poczuciu bezpieczeństwa, może się więc okazać przysłowiowym chodzeniem po kruchym lodzie. Premier wierzy zapewne, że pozostanie ona, po staremu, rozegrana w „bańkach", w których żyją żelazne elektoraty – ale nie ma gwarancji, że tym razem nie stanie się inaczej. W takim wypadku bieżące zyski, które obiecuje sobie władza po „gonieniu" Ziobry, mogą nie zrekompensować strat.

W przeciwnym razie pozostanie nam po wszystkim tylko pusty śmiech, który budzi uczynienie tuskowego inkwizytora Romana Giertycha – tego samego Giertycha, który uciekł przed odpowiedzialnością za wyprowadzenie 92 mln zł ze spółki Polnord, mdlejąc podczas aresztowania i kolejnych prób stawiania zarzutów, a potem nieskończoną liczbę razy odmawiał stawienia się na przesłuchaniu w prokuraturze, by ostatecznie przez cztery lata ukrywać się za granicą, do czasu, aż Tusk obdarował go miejscem na liście kandydatów KO do Sejmu i tym samym immunitetem – twarzą kampanii judzenia na Ziobrę. Były minister sprawiedliwości przedstawiany jest przez niego jako „miękka faja" i „tchórz", ukrywający się przed PO-wską sprawiedliwością za granicą, tym samym przyznając, że jest winny. Akurat ten człowiek – mam na myśli: w tej akurat roli – trudno powiedzieć, czy jest przejawem skrajnego już cynizmu i rozbezczelnienia Tuska czy raczej znakiem, że sprawy wymykają mu się spod kontroli i sam nie bardzo potrafi zapanować nad machiną hejtu, którą uruchamia i nadaje jej wciąż większe i większe obroty, by utrzymać się przy władzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf



Prawdziwa Chata z Piernika - jedyna taka w Polsce! Trzymetrowa, zbudowana z prawdziwego piernika, ozdobiona kolorowym lukrem, pachnąca przyprawami. Od 1 grudnia czekać będzie w Sali Tarasowej, zmienionej w Świąteczną Krainę!

Balon Świętego Mikołaja - podczas II Świętokrzyskiego Jarmarku Bożonarodzeniowego to właśnie balon, a nie sanie z reniferami, stanie się symbolem Świąt. 6 grudnia - przy sprzyjającej pogodzie - balon umożliwi podziwianie jarmarku i panoramy Kielc z lotu ptaka.

Karuzela Wiedeńska - klasyczna, świąteczna atrakcja dla najmłodszych, która zagwarantuje dzieciom mnóstwo radości, zabawy i niezapomnianych wrażeń.

Zagroda ze zwierzętami - alpaki, osiołek, kucyk i owieczki przybliżą mieszkańców szopki bożonarodzeniowej, oferując wyjątkowe spotkanie dla całej rodziny.

Stoiska z rękodziełem i regionalnymi przysmakami - w ofercie wystawców znajdą się m.in. ręcznie malowane bombki, ręcznie robiona biżuteria, wyroby szydełkowe, drewniane ozdoby i zabawki, dekoracje świąteczne, stroiki, naturalne kosmetyki, miody, konfitury, sery długodojrzewające, kołacze, pierniki, miody pitne i nalewki.

Stoiska Kół Gospodyń Wiejskich - lokalne gospodynie będą częstować gości m.in. bigosem, kapustą z grochem, chlebem ze smalcem, pierogami i domowym ciastem.

Koncert Kabaretu Otto – w sobotę o godz. 18.00 scena Jarmarku wypełni się utworami ze świątecznej płyty Kabaretu Otto.

Spektakl Świetlny - spektakularne pokazy w wykonaniu Grupy Amatum i Bytomskiego Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznej LEO CORDE rozświetlą wieczory ogniem i światłem.

Zabawa Choinkowa i spotkanie ze Św. Mikołajem - skoczne tańce, wesołe piosenki i bajkowe animacje zapewnią wyjątkowe, świąteczne przeżycia dla najmłodszych.

URZĄD MARSZAŁKOWSKI
WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO

WOJEWÓDZKI DOM KULTURY
IM. JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
W KIELCACH

SZCZEGÓŁOWY PROGRAM JARMARKU DOSTĘPNY NA STRONIE: **WWW.WDK-KIELCE.PL**

eprasa.pl/aci224baf

Opozycja za kraty



Posłowie (od lewej) Dariusz Matecki, Mariusz Gosek i Marcin Romanowski na posiedzeniu Sejmu, 23 lipca 2024 r.
FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Zanim w ferworze rozliczeń rząd Donalda Tuska sięgnął po Zbigniewa Ziobrę, zajął się jego bliskimi współpracownikami

Podchodzę do tego z pełnym spokojem. Mamy miliardowe afery. Prokuratura pracuje pełną parą. Dziękuję zespołowi śledczemu [Zespół Śledczy nr 2 do zbadania prawidłowości zarządzania i wydatkowania środków z tzw. Funduszu Sprawiedliwości – przyp. red.] za kawał dobrej roboty. Czeka nas naprawdę dużo roboty. Przywrócimy państwo prawa, rozliczymy wszystkich tych, którzy łamali prawo – zapowiedział minister sprawiedliwości, prokurator generalny Waldemar Żurek po sejmowym głosowaniu nad uchyleniem immunitetu Zbigniewowi Ziobrze. W wypowiedź polityka dla mediów na korytarzu w Sejmie wtrącił się poseł PiS Janusz Kowalski. – Za dwa lata Trybunał Stanu, bezwzględny Trybunał Stanu. Jest pan draniem, tyle panu powiem – zapowiedział. – No widzicie państwo właśnie, jak wygląda przywracanie praworządności. Nie jest to lekka praca, ale my jesteśmy wytrwali – odparł Żurek do kamer. Powołany do rządu podczas lipcowej rekonstrukcji minister sprawiedliwości wydaje się mocno zdeterminowany do przeprowadzenia rozliczeń tak medialnie i mocno, jak tylko się da.

Zanim jednak zapadła decyzja o uchyleniu immunitetu Ziobrze, prokuratura zajęła się bliskimi współpracownikami byłego szefa MS. Proces rozpoczął Adam Bodnar. Na pierwszy ogień poszedł Marcin Romanowski, który dziś przebywa w Budapeszcie na podstawie azylu politycznego udzielonego przez Viktora Orbána. W lipcu 2024 r. Sejm uchylił posłowi PiS immunitet, a prokuratura sformułowała zarzuty dotyczące 11 przestępstw, za co grozi mu do 15 lat więzienia. Miał wyrządzić ponad 111 mln zł szkody w mieniu Skarbu Państwa w zakresie sprawowania nadzoru nad Funduszem Sprawiedliwości. Zatrzymanie polityka okazało się jednak nieskuteczne, ponieważ skompromitowano się pominięciem innego, przysługującego wtedy Romanowskiemu immunitetu – Rady Europy – który odebrano mu dopiero później. W tym czasie parlamentarzysta zdążył wyjechać na Węgry. Do dziś zarzuty nie zostały Romanowskiemu przedstawione w sposób skuteczny. „Jedenaście zarzutów dla Romanowskiego to dla śledczych za mało. Prokuratura stawia kolejne" – ogłosiły w lutym tego roku media. Wtedy to Adam Bodnar skierował do Sejmu kolejny wniosek o uchylenie immunitetu. Chodzi o kolejnych osiem czynów – dwa z nich są związane z przekroczeniem uprawnień i niedopełnieniem obowiązków przez Romanowskiego jako ówczesnego pełnomocnika do spraw Funduszu Sprawiedliwości, a także wiceministra sprawiedliwości. Z nieoficjalnych ustaleń „Do Rzeczy" wynika, że w razie przegranych przez partię Fidesz premiera Orbána przyszłorocznych wyborów parlamentarnych Marcin Romanowski może chcieć szukać azylu w Stanach Zjednoczonych.

ARESZT WYDOBYWCZY?

Chociaż Romanowski był umocowany w strukturach rządowych, to równie duży (o ile nie większy) entuzjazm zwolenników rządu Donalda Tuska wywołało postawienie zarzutów innemu politykowi z otoczenia Zbigniewa Ziobry, posłowi ze Szczecina Dariuszowi Mateckiemu. – Są to zarówno zarzuty związane ze sprzeniewierzeniem pieniędzy pochodzących z Funduszu Sprawiedliwości, jak i zarzuty związane z praniem brudnych pieniędzy oraz fikcyjnym zatrudnieniem w strukturach Lasów Państwowych – poinformował podczas konferencji prasowej w marcu rzecznik Prokuratury Krajowej Przemysław Nowak. Polityk PiS złożył wyjaśnienia, ale nie przyznał się do stawianych mu zarzutów. – Po zakończeniu czynności prokurator uznał, że zachodzi konieczność izolacji podejrzanego, a więc zastosowania środka tymczasowego aresztu – przekazał Nowak.

Według prokuratury materiał dowodowy dostarczył podstaw do podejrzenia popełnienia przez posła sześciu przestępstw, które zagrożone są karą do 10 lat pozbawienia wolności. Matecki miał uczestniczyć w ustawianiu konkursów na dotacje z Funduszu Sprawiedliwości. Zarzucono mu wyprowadzanie środków publicznych do powiązanych z nim organizacji – stowarzyszenia Fidei Defensor i Stowarzyszenia Przyjaciół Zdrowia.

Poseł trafił do aresztu tymczasowego, który opuścił po półtora miesiąca – po wpłaceniu przez jego rodzinę kaucji w wysokości 500 tys. zł. – Chciałem podziękować w szczególności posłowi Goskowi, wszystkim ludziom, którzy tutaj

eprasa.pl aacf224baf

byli przez te dwa miesiące – powiedział po opuszczeniu celi w Radomiu. Ocenił, że był to „areszt wydobywczy", a on był „więźniem politycznym". – Z powodu politycznej zemsty doprowadzono do śmierci Barbary Skrzypek, ojca Marcina Romanowskiego, którego nielegalnie zatrzymano – wyliczał. Dariusz Matecki wskazał też, że w tym samym areszcie w czasach PRL przetrzymywani byli opozycjoniści. – Ten sam prokurator za pierwszego rządu PO przetrzymywał Macieja Dobrowolskiego 40 miesięcy, m.in. w Radomiu. Wtedy wrogiem publicznym byli kibice – powiedział poseł. Polityk nie miał wątpliwości, że celem wsadzenia go za kraty było wydobycie zeznań obciążających byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę. – Czułem, że jeżeli skłamię i powiem coś na niego, to ten areszt się zakończy. [...]. To jest mój polityczny autorytet, człowiek, który wszystko robił dla dobra Polski i pokonał mafie VAT-owskie. Nie zeznałem na ciebie nic złego – dodał, zwracając się do Ziobry.

Matecki zauważył też, że rządzący – Donald Tusk, Adam Bodnar i Roman Giertych – chcieli wykluczyć go z życia publicznego ze względu na ogromne zasięgi w mediach społecznościowych. – Adam Bodnar nie ma nic wspólnego z Rzecznikiem Praw Obywatelskich, to jest rzeźnik praw obywatelskich, dąży do likwidacji opozycji w Polsce – powiedział poseł po opuszczeniu aresztu. Na koniec polityk PiS podkreślił, że nie chciał uciekać przed wymiarem sprawiedliwości do USA czy na Węgry, ale rozumie Marcina Romanowskiego. – Jestem dumny, że współpracowałem ze stowarzyszeniem Fidei Defensor, które ścigało chrystianofobię – podsumował.

Dopiero 30 października Prokuratura Krajowa skierowała do Sądu Okręgowego w Szczecinie akt oskarżenia przeciwko ośmiu osobom, m.in. przeciwko posłowi Mateckiemu. Oskarżony został także prezes stowarzyszeń Fidei Defensor i Przyjaciół Zdrowia Adam S. oraz były prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Zdrowia Mateusz W., który podczas rządów PiS pełnił także funkcję wojewody zachodniopomorskiego. „Akt oskarżenia dotyczy tzw. wątku szczecińskiego, obejmującego nieprawidłowości przy organizacji trzech konkursów Funduszu Sprawiedliwości, które od początku były przeprowadzane w sposób zapewniający przyznanie wielomilionowych dotacji dwóm z góry wskazanym stowarzyszeniom: Stowarzyszeniu Fidei Defensor oraz Stowarzyszeniu Przyjaciół Zdrowia" – podano w komunikacie.

OSKARŻENIE ZA PEGASUSA

Od sierpnia 2024 r. trwa sprawa Michała Wosia, który podobnie jak Romanowski był wiceministrem sprawiedliwości. Prokurator krajowy przedstawił mu zarzut przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków, polegających na przekazaniu 25 mln zł ze środków Funduszu Sprawiedliwości na zakup oprogramowania Pegasus dla Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Wobec polityka zastosowano środek zapobiegawczy w postaci dozoru policji i zobowiązano go do stawiennictwa dwa razy w miesiącu w odpowiedniej komendzie policji oraz do zawiadamiania organu dozorującego o zamierzonym wyjeździe i terminie powrotu. Michał Woś dostał zakaz kontaktowania się z kilkunastoma świadkami i osobami podejrzanymi.

Poseł poinformował, że złożył bardzo obszerne stanowisko, jednak zarzuty postawiono mu „nieskutecznie". – Poinformowałem, że [...] nie uznaję działania przez organ nieuprawniony, wobec czego nie ma statusu podejrzanego. Prokuratorzy uważają inaczej, ale to jest ich prawo, ja swoje prawo też zachowuję. Nie składałem wyjaśnień zgodnie z Kodeksem postępowania karnego, ale złożyłem bardzo obszerne stanowisko – to samo, co mówiłem na komisji immunitetowej w Sejmie i co mówiłem z mównicy sejmowej – powiedział Woś dziennikarzom po wyjściu z prokuratury. – Epatowanie opinii publicznej jest wyłącznie na cele użytku politycznego – dodał.

W przypadku Michała Wosia na akt oskarżenia trzeba było czekać ponad rok. Prokurator skierował dokument do sądu miesiąc temu. – Ten akt oskarżenia jest bardzo obszerny – zawarty jest na 248 stronach. Prokurator w uzasadnieniu odniósł się bardzo szczegółowo, wskazał przede wszystkim na dowody, które uzyskał w toku prowadzonego postępowania, i każdy z tych dowodów został przez prokuratora oceniony, a jego ocena pozwoliła na przyjęcie określonego stanu faktycznego i skierowanie aktu oskarżenia – poinformowała rzecznik Prokuratora Generalnego Anna Adamiak. Prokurator Adamiak podała również, że „prokurator zawnioskował o przesłuchanie 33 świadków i wnioskował, aby sąd, oceniając te sprawę, zapoznał się z 522 dowodami pozyskanymi w tej sprawie".

Były zastępca Zbigniewa Ziobry przekonuje, że „Pegasus służył walce z przestępczością, więc alergiczna reakcja na taki sprzęt ludzi pokroju Tuska, Żurka, Nowaka, Giertycha czy Grodzkiego nie dziwi". Woś opublikował obszerny wpis, w którym wskazuje m.in., że „dofinansowanie dla CBA było w pełni legalne" oraz że „nieprawdą jest, że CBA może być finansowane »wyłącznie« z budżetu państwa". „Nie zakupiłem systemu Pegasus, choć chętnie bym to zrobił, aby skuteczniej łapać przestępców. Udzieliłem legalnego dofinansowania dla Centralnego Biura Antykorupcyjnego, które zakupiło system używany do łapania bandziorów przez kilkanaście państw Unii Europejskiej. Gdybym dziś miał ponownie podjąć decyzję o dofinansowaniu sprzętu dla CBA, zrobiłbym to ponownie, tym bardziej wiedząc, jak bardzo tej służby boją się działacze PO" – przekonuje poseł.

DWANAŚCIE GROSZY DLA TUSKA

Michał Woś twierdzi, że nie spodziewa się sprawiedliwego procesu, bo „właśnie po to Żurek zmienił rozporządzenie – aby sędziów wskazywać palcem, a nie losować". Wobec byłego wiceministra zastosowano jeszcze dalej idące środki. Rzecznik Prokuratury Krajowej, prok. Przemysław Nowak, przekazał, że zdecydowano „o zabezpieczeniu majątkowym na mieniu podejrzanego Michała Wosia poprzez obciążenie nieruchomości hipoteką przymusową, zajęcie wierzytelności z rachunków bankowych oraz zajęcie ruchomości w postaci samochodu". „»Prezent« na zakończenie śledztwa. Czegoś takiego, jako obrońca, jeszcze nie widziałem" – komentował w rozmowie z „Super Expressem" pełnomocnik polityka, mecenas Adam Gomoła.

Sam Woś mówi: „Przez półtora roku nie widziano potrzeby robienia żadnych poręczeń majątkowych ani zabezpieczania majątku. A teraz nagle zrobiono to po dyspozycji politycznej Tuska. Nie jestem milionerem, więc tego majątku za dużo nie zajmą. Wpisem do hipoteki zabezpieczono dom, samochód i zajęto moje rachunki. Na tych ostatnich zostawiłem całe 12 gr, niech sobie to Żurek z Tuskiem wezmą".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf

Kto kogo?



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Łukasz Warzecha

Lider PiS nie jest w stanie ani politycznie, ani psychologicznie pogodzić się z istnieniem znaczącej siły po stronie sceny politycznej, którą przywykł uznawać za własną dziedzinę. To utrudnia porozumienie między jego ugrupowaniem a Konfederacją

11 listopada Jarosław Kaczyński poszedł w Marszu Niepodległości. Marsz od lat organizowany jest przez Stowarzyszenie Marsz Niepodległości, powiązane politycznie z Ruchem Narodowym. Czy oznacza to, że pomiędzy PiS i jego prezesem a politykami Konfederacji, przynajmniej ich częścią, zawarte zostało choćby chwilowe zawieszenie broni? Bynajmniej. Można by nawet postawić tezę, że będzie przeciwnie: udział w marszu, który na prezesie PiS wymusiły okoliczności, jeszcze mocniej zachęci go do atakowania Konfederacji, której liderzy nie będą mu dłużni.

Marsz Niepodległości pozostaje imprezą gromadzącą ludzi niezaangażowanych na co dzień w politykę, zbierających się spontanicznie. Członkowie organizacji politycznych stanowią w nim zdecydowaną mniejszość. To nigdy nie udało się PiS. Prawo i Sprawiedliwość nie było w stanie zorganizować nawet jednorazowego wydarzenia – o cyklicznym nie mówiąc – w którym tak przytłaczającą część uczestników stanowiliby ludzie niepowiązani z partią. Owszem, zdarzały się masowe demonstracje, ale zawsze opierały się na zorganizowanych grupach uczestników: członkach związków zawodowych, przedstawicielach branż, członkach Klubów „Gazety Polskiej" czy działaczach samego PiS. W dodatku te o największych rozmiarach nie miały nigdy charakteru pozytywnego – zawsze były skierowane przeciwko przeciwnikom politycznym i ich pomysłom. Negatywny punkt odniesienia zawsze stanowiły Platforma Obywatelska lub Koalicja Obywatelska.

JAK PIĘŚĆ DO NOSA

Były to zatem bez wyjątku wydarzenia negatywne, podczas gdy Marsz Niepodległości nie jest skierowany przeciwko nikomu, a powtarza się co roku od 15 lat. Jednocześnie jest całkowicie poza kontrolą Jarosława Kaczyńskiego, który w ubiegłym tygodniu był na nim tylko niewiele znaczącym gościem. Nie znajdował się w centrum uwagi, nikt nie czekał na jego wystąpienie. Był jedynie tolerowany.

Kaczyński nie mógł jednak w marszu nie pójść, bo tym samym oddawałby pole organizatorom wydarzenia oraz prezydentowi Karolowi Nawrockiemu. To na tym ostatnim koncentrowała się uwaga i to on złapał z tłumem chemię.

Przed Marszem Niepodległości Kaczyńskiego nie zaatakował jednak ani Sławomir Mentzen, ani Krzysztof Bosak, ale były szef Kancelarii Prezydenta Andrzeja Dudy, Marcin Mastalerek, mówiąc w jednym z programów, że prezes PiS pasuje do marszu jak pięść do nosa. Było w tym dużo racji, wziąwszy pod uwagę, że przez lata Kaczyński demonstracyjnie się od Marszu Niepodległości separował, wyjeżdżając do Krakowa. W 2020 r. zaś, na początku pandemii, podlegająca rządowi PiS policja przeprowadziła prowokacje wobec uczestników zgromadzenia, zachowując się momentami nawet gorzej niż podczas rządów PO.

Trudno nie widzieć udziału Kaczyńskiego w tegorocznym marszu w kontekście coraz ostrzejszej rywalizacji pomiędzy PiS a Konfederacją lub może Konfederacjami, bo jest przecież także ta Brauna.

O ile Jarosław Kaczyński wielokrotnie skrajnie krytycznie wypowiadał się na temat Sławomira Mentzena – ostatnio nawiązując do jego przypadłości w postaci zespołu Aspergera – o tyle był znacznie bardziej wstrzemięźliwy w ocenach Grzegorza Brauna i jego formacji, choć

eprasa.pl aacf224baf

w IX kadencji Sejmu, zwłaszcza w czasie pandemii, PiS do Brauna nastawiony był otwarcie wrogo.

Najważniejszym dla PiS w ostatnim czasie głosowaniem sejmowym było to dotyczące wniosków prokuratury o uchylenie immunitetu Zbigniewowi Ziobrze. A dokładnie – było to 27 głosowań. Dwadzieścia sześć dotyczyło poszczególnych punktów wniosków prokuratury i postawienia w związku z nimi zarzutów. Ostatni dotyczył zatrzymania i złożenia wniosku o areszt tymczasowy. W tym ostatnim punkcie PiS, Konfederacja i KKP głosowały wspólnie przeciwko – i tutaj raczej zaskoczenia nie ma.

Inaczej wyglądało to jednak w przypadku poszczególnych zarzutów. Klub Konfederacji w kolejnych 26 głosowaniach różnie się dzielił. Część w niektórych punktach była za uchyleniem immunitetu, podczas gdy część się wstrzymywała. Były punkty, gdzie całość klubu była za możliwością postawienia zarzutów, były takie, gdzie była przeciwko. Tymczasem koło Konfederacji Korony Polskiej we wszystkich głosowaniach konsekwentnie opowiadało się przeciwko uchyleniu immunitetu, czyli głosowało identycznie jak klub PiS. Czy była to kwestia przekonań czy też przemyślanej taktyki politycznej, wskazującej na możliwość podjęcia ostrożnej współpracy, być może przeciwko Konfederacji – trudno powiedzieć na podstawie jednej kwestii. Było to jednak znamienne.

Najnowszy rozdział konfliktu, zwłaszcza pomiędzy liderem Nowej Nadziei a kierownictwem PiS, rozpoczęła wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego z końca października: „Racjonalni ludzie, jako tako wychowani, nierzucający całkowicie nieprawdziwych oskarżeń, mogą ze sobą rozmawiać. Ale jeżeli ktoś cierpi na jakieś niedostatki, to powinien najpierw się doprowadzić do dobrego stanu, a dopiero później przejść do polityki" – powiedział prezes PiS, komentując zachowania Sławomira Mentzena. Ten ostatni, nieco sprowokowany w Polsat News przez prowadzącego rozmowę Marcina Fijołka, zgodził się z sugestią tego ostatniego, że ta wypowiedź dotyczyła zespołu Aspergera, na który cierpi przywódca Nowej Nadziei. Faktycznie zresztą trudno było ją rozumieć inaczej. „Jarosław Kaczyński jest nie tylko kłamcą, ale i chamem. I wykorzystuje moją chorobę do uderzania we mnie" – oznajmił zatem Sławomir Mentzen, otwierając w ten sposób kolejny akt wojny na umownej prawicy.

W tym epizodzie pojawia się kilka istotnych wątków.

Po pierwsze – coraz bardziej asertywne czy nawet agresywne retoryczne ataki lidera Nowej Nadziei na PiS zaczynają wywoływać problemy wewnątrz jego własnego ugrupowania. Według moich informacji niektórzy działacze nie rozumieją celu takiej strategii, ponieważ za naczelny cel w tej chwili uważają pozbycie się rządu Donalda Tuska, a nie rywalizację z PiS. Poczynania Sławomira Mentzena można zrozumieć, widząc je jako część zaplanowanej na dłużej batalii o przygotowanie gruntu pod koalicję z PiS – ale PiS bez Jarosława Kaczyńskiego. Tyle że sam Mentzen tego nie wyjaśnia, nawet wewnątrz swojej organizacji, a to wywołuje napięcia.

Po drugie – zwłaszcza poza kamerami politycy zarówno PiS, jak i Konfederacji starają się podchodzić do rosnącego napięcia spokojnie, stwierdzając, że do wyborów i rozmów o ewentualnym przymierzu pozostało jeszcze dużo czasu i do tego momentu sytuacja może się zmienić. To racja, jednak nawet przy bardzo pragmatycznym podejściu do polityki istnieją progi retorycznej wojny, po których przekroczeniu porozumienie staje się albo bardzo trudne, albo zgoła niemożliwe.

Po trzecie – choć spór, a momentami karczemna awantura angażują głównie Kaczyńskiego i Mentzena, podczas gdy Krzysztof Bosak traktowany jest łagodniej, to nadzieje na wbicie trwałego klina między Ruch Narodowy a Nową Nadzieję przynajmniej na razie pozostaną płonne. Nawet jeśli pomiędzy oboma skrzydłami Konfederacji pojawiają się uszczypliwości i zakulisowe niesnaski, to są one właśnie zakulisowe.

Po czwarte – za kolejnymi uderzeniami Kaczyńskiego w Mentzena i odwrotnie stoi konkretna rachuba. Sławomir Mentzen nie ufa Kaczyńskiemu i ma po temu wszelkie powody, znając jego polityczną historię. Przepustką do rządzenia dla Konfederacji musi prawdopodobnie być przymierze z PiS, jednak najlepiej, aby było to już PiS bez Kaczyńskiego, za to choćby z Przemysławem Czarnkiem. Mentzen wykorzystuje ewidentną słabość linii, którą swojej partii narzucił Jarosław Kaczyński. Odmowa dokonania rozliczenia z ośmioma latami rządów, trwanie przy przekonaniu, że w ich trakcie nie działo się nic złego, oraz brak zdolności do znaczącego odświeżenia wizerunku PiS sprowadziły to ugrupowanie w sondażach trwale poniżej 30 proc. Oficjalny cel przekroczenia progu 40-procentowego, postawiony przez Kaczyńskiego, wydaje się dzisiaj całkowicie poza zasięgiem. Nie widać jednak, aby w PiS ta sytuacja wywołała najdrobniejszą refleksję.

PRZYSZŁOŚĆ JEST DZIŚ

Jednocześnie Jarosław Kaczyński nie jest w stanie ani politycznie, ani psychologicznie pogodzić się z istnieniem znaczącej siły po stronie sceny politycznej, którą przywykł uznawać za własną dziedzinę. Ba, siły, której przewodzą, z jego punktu widzenia, jacyś „gówniarze", doskonale poruszający się w świecie nowych mediów – dla lidera PiS niedostępnego. Im starszy jest Kaczyński – dziś mający 76 lat – tym mniej elastyczny w swoich działaniach się wydaje. Przez lata nie stworzył mechanizmu uporządkowanej sukcesji we własnej partii; dzisiaj, widząc dynamiczność nowego prezydenta i czując na plecach oddech konfederatów, może mieć uzasadnioną obawę, że jego polityczne dziedzictwo nie przetrwa jego odejścia z polityki.

Dla konfliktu między Jarosławem Kaczyńskim a Sławomirem Mentzenem symboliczne jest to, jak odnajdują się w świecie galopującej technologii. Konto Kaczyńskiego pojawiło się na X dopiero w grudniu ubiegłego roku. Do dzisiaj ma niespełna 160 tys. obserwujących, co jak na lidera największej partii opozycyjnej jest bardzo marnym wynikiem (Mateusz Morawiecki – 773 tys., Donald Tusk – 2,1 mln). Jest tak zapewne dlatego, że wpisy są nieautentyczne, sztuczne. Na pierwszy rzut oka widać, że pisze je ktoś inny, a w świecie nowych mediów taka sztuczność słabo się sprzedaje.

Sławomir Mentzen na X ma ponad 760 tys. obserwujących, choć w innych mediach, takich jak TikTok, liczby są znacznie większe. Niedawno pokazał zdjęcie, na którym stoi obok cybertrucka, czyli futurystycznego, terenowego pojazdu elektrycznego marki Tesla. Podpis był krótki: „Przyszłość jest dziś". Mentzen miał chyba na myśli nie tylko samochód, który testował.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf



W tegorocznym Marszu Niepodległości wzięli udział prezydent RP, a także liderzy PiS, Konfederacji i Korony

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Z dr. Andrzejem Anuszem, politologiem i historykiem

rozmawia Ryszard Gromadzki

Ucieranie koalicji

RYSZARD GROMADZKI: Tegoroczny Marsz Niepodległości można by potraktować jako manifestację jedności prawicy. W wydarzeniu wzięli udział liderzy PiS, Konfederacji, Korony i prezydent RP. Ale to złudne wrażenie, bo od tygodni na prawicy ma miejsce wyniszczający konflikt. Czy nie przekreśli on szans na prawicową koalicję po kolejnych wyborach?

DR ANDRZEJ ANUSZ: Rzeczywiście mamy do czynienia z ostrym konfliktem, przede wszystkim na linii Prawo i Sprawiedliwość – Konfederacja. Jarosław Kaczyński i Sławomir Mentzen, a także inni politycy obydwu ugrupowań używają wobec siebie bardzo ostrych słów. Jednak mimo to traktuję całą tę sytuację jako „ucieranie się" środowisk prawicowych w kontekście utworzenia przyszłej koalicji rządowej. W mojej ocenie to jest prawicowa „wojna na górze", ale wciąż bez konsekwencji w postaci przekreślenia perspektywy ewentualnej koalicji. Z punktu widzenia konserwatywnego elektoratu byłoby dużo gorzej, gdyby taka koalicja została sklecona byle jak, a później funkcjonowała bardzo źle, a być może szybko rozpadłaby się z hukiem, jak miało to miejsce w przypadku koalicji PiS z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin. Ostry spór, który ma miejsce pomiędzy PiS a Konfederacją, traktuję jako swego rodzaju profilaktykę ze strony Konfederacji. Wśród prawicowych polityków od ponad 20 lat krąży pewien dowcip o Jarosławie Kaczyńskim. To opowieść o skorpionie i żabie. Skorpion błaga żabę, żeby pomogła mu przedostać się na drugi brzeg rzeki. Żaba odmawia, bo boi się skorpiona. Ale ten zapewnia, że jej nie ukąsi, bo poszliby razem na dno. Żaba zgadza się pomóc. Kiedy skorpion jest już uratowany, blisko brzegu wbija w żabę szczypce. Na pytanie: „Dlaczego mi to robisz?" skorpion odpowiada: „Bo taką mam naturę". Politycy Konfederacji doskonale wiedzą, jak od lat funkcjonuje na scenie politycznej Jarosław Kaczyński, dlatego starają się zawczasu uodpornić, dając Kaczyńskiemu sygnał, że musi zmienić swoją naturę.

Czy stary skorpion jest w stanie zmienić naturę? Dziś ani Jarosław Kaczyński, ani PiS nie mają już w rękach atutów, które pozwoliły im samodzielnie rządzić Polską przez osiem lat. „Złota era PiS" raczej jest nie do powtórzenia.

Postawię sprawę kategorycznie. Nie widzę żadnych szans na powrót samodzielnych rządów Prawa i Sprawiedliwości. Powtórzenie sytuacji z 2015 r., kiedy PiS zdobył premię dzięki ordynacji D'Hondta, czy z 2019 r., kiedy formacja prezesa Kaczyńskiego z najwyższym trudem wywalczyła większość w Sejmie, po udanej kadencji, sukcesach w polityce społecznej, możliwościach, które miała jako partia władzy, nie wchodzi w rachubę. Dobitnie pokazuje to sposób, w jaki Karol Nawrocki wygrał wybory prezydenckie.

To truizm, ale bez głosów twardej prawicy Karol Nawrocki nie zostałby prezydentem.

Dokładnie tak. Mówiąc obrazowo, jeszcze prezydent Duda był prezydentem „PiS-owskim" w sensie elektoratu, który zdecydował o jego wyborze. Karol Nawrocki jest już zdecydowanie mniej „PiS-owski" z racji tego, że udział wyborców tej partii w jego zwycięstwie był wyraźnie mniejszy. Wracając do pytania, które postawił pan na początku naszej rozmowy, rozgrywkę, którą obserwujemy dziś

eprasa.pl aacf224baf

na prawicy, uważam za przygotowanie gruntu pod przyszłą koalicję PiS, Konfederacji i być może Korony Grzegorza Brauna, która może odegrać kluczową rolę, gdyby PiS i Konfederacji zabrakło głosów. Trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jeden, nowy element. W przypowieści, którą przytoczyłem, obok skorpiona i żaby pojawił się krokodyl. Tym krokodylem jest Karol Nawrocki. To tworzy nową jakościowo sytuację. Moim zdaniem prezydent Nawrocki w naturalny sposób może zostać patronem nowej prawicowej koalicji.

Prezydent wydaje się być gotowy do przyjęcia takiej roli. Pierwsze tygodnie jego kadencji cechuje zdrowy dystans do Prawa i Sprawiedliwości.

Z całą pewnością Karol Nawrocki zdaje sobie sprawę, jaki elektorat zapewnił mu zwycięstwo wyborcze, dlatego nie pozwoli sobie przypisać zarówno etykietki „PiS-owskiego", jak i „konfederackiego prezydenta". Będzie starał się zająć miejsce ponad toczącym się sporem obydwu partii. Pierwsze tygodnie prezydentury wskazują, że Nawrocki bardzo dobrze radzi sobie z tym wyzwaniem. Ta „pozapartyjność" prezydenta procentuje w jego dobrych sondażach, pozwala też budować mu kapitał polityczny, który w momencie tworzenia ewentualnej prawicowej koalicji rządzącej może mieć fundamentalne znaczenie. W tym kontekście rola prezydenta Nawrockiego jest nie do przecenienia. W bardzo spolaryzowanym społeczeństwie prezydent stał się punktem odniesienia dla wyborców konserwatywnych, przestał nim być Jarosław Kaczyński. W sposób symboliczny było to widoczne podczas Marszu Niepodległości. To w istotny sposób określa przyszłość polskiej polityki. Pamiętajmy, że Karol Nawrocki ma przed sobą prawie całą pięcioletnią kadencję. W niedawnym, szeroko komentowanym badaniu opinii publicznej aż dwie trzecie ankietowanych wskazały, że po kolejnych wyborach spodziewa się, że władzę przejmie koalicja PiS i Konfederacji. Przekonanie o zwycięstwie w wyborach zawsze jest istotnym elementem wszystkich planowanych i toczących się kampanii politycznych. Wiara w sukces zawsze je napędza.

Wygląda na, że prawicowy elektorat jest dużo mądrzejszy niż uwikłane „w wojnę na górze" partyjne wierchuszki. Tak zwane doły chcą szerokiej konserwatywnej koalicji, bo tylko taka może odsunąć od władzy obóz Donalda Tuska.

Zgadzam się. Badania opinii publicznej wskazują, że większość elektoratu PiS oczekuje takiej koalicji. Wśród wyborców Konfederacji odsetek jej zwolenników jest mniejszy, ale też bardzo wysoki. Liderzy polityczni obydwu tych środowisk muszą mieć tego świadomość. To „obywatelska szczepionka" na pogląd forsowany przez część polityków PiS, według którego Mentzen jest gotowy pod pewnymi warunkami zawrzeć koalicję z Tuskiem. Moim zdaniem jest to bardzo mało prawdopodobne, bo jego wyborcy, o czym doskonale wie, na taką koalicję się nie zgadzają.

W czasie Marszu Niepodległości Sławomir Mentzen dał sobie zrobić wymowne zdjęcie. Pozuje na nim z płonącą racą na tle transparentu z napisem: „Polska dziś się upomina: zwrócić Tuska do Berlina"...

Jak powiedziałem wcześniej, napięcia, które są dziś między PiS a Konfederacją, traktuję jako formę zabezpieczenia się, szczególnie ze strony Konfederacji wobec „Kaczyńskiego skorpiona". Twarda retoryka ze strony Konfederatów już dwa lata przed wyborami moim zdaniem ma na celu „oswojenie" Kaczyńskiego z tą sytuacją, spowodowanie, żeby musiał zmienić swoją „naturę polityczną". Spodziewam się, że gorąca faza konfliktu pomiędzy PiS a Konfederacją jeszcze trochę potrwa, ale z czasem powinien się on wyciszyć. Dużą rolę ma tu do odegrania prezydent Nawrocki.

Powołanie społecznej komisji konstytucyjnej, którą zapowiada głowa państwa, to platforma programowa, która powinna skupić zarówno polityków PiS, jak i Konfederacji. Byłoby to naturalnym miejscem ścierania się poglądów obydwu tych środowisk w kluczowych sprawach ustrojowych.

Czy polską prawicę będzie stać na to, żeby wyjść z oparów partyjniactwa i zainwestować w system prezydencki?

Polski system polityczny i usytuowanie prezydenta jest swoistą hybrydą, której rodowód sięga 1990 r. Kiedy było wiadomo, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż Lech Wałęsa zostanie prezydentem, Bronisław Geremek i ówczesna Unia Demokratyczna bardzo mocno sprzeciwiali się zwiększeniu prerogatyw prezydenta. Przypomnę w tym miejscu „małą konstytucję" z 1992 r. Niewątpliwie z bardzo silnym mandatem społecznym prezydenta w Polsce dzięki wyborom powszechnym nie idzie w parze siła polityczna. To poważny deficyt naszego ustroju politycznego. Jak wiemy z historii, często doraźne rozwiązania, przyjmowane pod konkretne osoby, stają się później normą przez długie lata. Podczas uchwalania konstytucji w 1997 r. Sejm, wskutek brzemiennych w skutki błędów partii prawicowych w wyborach 1993 r., pozbawiony był 30 proc. reprezentacji politycznej społeczeństwa. W efekcie Zgromadzenie Narodowe uchwalające ustawę zasadniczą zdominowane było przez ugrupowania lewicowe i liberalne. Skutkowało to utrzymaniem w konstytucji małych uprawnień prezydenta, nieodpowiadających jego sile pochodzącej z wyboru powszechnego. To się za nami ciągnie. Dlatego uważam, że dyskusja o nowej konstytucji mogłaby być elementem spajającym przyszłą prawicową koalicję. Przypomnę, że w związku z debatą wokół obywatelskiego projektu konstytucji, przygotowanego przez Solidarność, konkurencyjnego wobec tego, który trafił w 1997 r. do Zgromadzenia Narodowego, powstała z czasem Akcja Wyborcza „Solidarność".

Według jednego z sondaży, opublikowanych w ostatnich dniach, na pytanie o zwiększenie uprawnień prezydenta ponad 30 proc. ankietowanych odpowiedziało twierdząco. Może warto kuć żelazo póki gorące?

Już w Konstytucji 3 maja zapisano, że ustawa zasadnicza powinna być odnawiana co 25 lat. Konstytucja z 1997 r. za chwilę będzie miała 30 lat. Oczywiście większość konstytucyjna w Zgromadzeniu Narodowym to bardzo duże wyzwanie polityczne. Ale moim zdaniem nie jest to cel nie do zrealizowania. Naturalnie wymaga on żmudnego procesu przygotowań, współpracy różnych środowisk w celu wypracowania kompromisu. Kierunek tego kompromisu wydaje się dość jednoznaczny – to znaczy zwiększenie uprawnień prezydenta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Andrzej Anusz
– politolog i historyk, członek Zarządu Instytutu Piłsudskiego Poświęconego Badaniu Najnowszej Historii Polski.

eprasa.pl aacf224baf

Kim pan jest, panie Rymanowski?



Piotr Semka

Cała kariera medialna Rymanowskiego to balansowanie między utrzymaniem się w tzw. mediach głównego nurtu przy jednoczesnym staraniu o to, aby nie robić rzeczy, które mogły przynieść mu niesławę. Najbardziej przygnębiająca w tym czasie była słabo ukrywana wściekłość i niechęć, jaką żywili do niego dziennikarze obozu liberalnego, nieustannie marzący o homogeniczności rynku medialnego

Wielka burza medialna, którą wywołał Bogdan Rymanowski, przeprowadzając wywiad z prof. Grażyną Cichosz, wywołała dyskusję nad tym, czym jest warsztat dziennikarski. I kolejne pytanie: Czy można wyłączyć pewne osoby i pewne tematy z debaty publicznej?

Nietrudno było zauważyć, że bardzo szybko debata ta w wykonaniu najważniejszych mediów liberalnych zamieniła się w swoisty sąd nad znanym dziennikarzem.

Aby zrozumieć emocje, które wywołał Rymanowski – zdawałoby się wyjątkowo stonowany i unikający kontrowersji człowiek mediów – warto przyjrzeć się dokładnie jego karierze. Przypomnieć kolejne zakręty w jego dziennikarskiej drodze. A jest ona, nawet jak na polskie warunki, wyjątkowo ciekawa i unikalna.

CHŁOPIEC DO BICIA

Czy jeden wywiad może ściągnąć na osobę, która go przeprowadza, tak wielką liczbę gromów?

Awanturę zaczął agresywny artykuł w „Newsweeku", który odsądzał publicystę od czci i wiary. Wielki tytuł na okładce grzmiał: „Brednie u Rymanowskiego". Ten próbował się bronić, przypominając na portalu X, że po pierwsze: „wolność słowa jest albo jej nie ma", a po drugie: „każdy zasługuje na wysłuchanie. Żadni »policjanci myśli« nie mogą dyktować dziennikarzowi, kogo może, a kogo nie może zapraszać, i wreszcie po trzecie, że wierzy w zdolność swoich widzów do samodzielnego myślenia i wyciągania wniosków.

Tych parę prostych prawd jeszcze mocniej rozjuszyło jego oskarżycieli. „Rymanowski wkurzył się na tę okładkę Newsweeka mocno", „Wokół Rymanowskiego nadal burza. A on tajemniczo zapowiada »ciąg dalszy«", „Rymanowski podbija serca zwolenników teorii spiskowych". „Rymanowski kompromituje się dalej. Kliki i kasa ważniejsze niż prawda?" – te tytuły miały poniżyć dziennikarza Polsatu i Radia Zet.

Zwracała uwagę szerokość frontu antyrymanowskiego. Wielką trójkę oskarżycieli znanego dziennikarza stanowiły tygodniki „Newsweek" i „Polityka" oraz „Gazeta Wyborcza". Ale temat wyraźnie podniecił też portale Gazeta.pl, Onet, Na temat i OKO.press. A cała wrzawa trwała aż trzy tygodnie. Zaczęła się ok. 25 października i przyciągała uwagę salonu aż do połowy listopada.



eprasa.pl aacf224baf



FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Bogdan Rymanowski przeprowadza rocznie ok. 300–400 wywiadów. Być może rzeczywiście powinien skupić się na polityce i nie poruszać stosunkowo nowego dla siebie tematu – czy dzisiejsza masowo produkowana żywność niesie ze sobą zagrożenia dla zdrowia przeciętnego konsumenta? Odkąd Rymanowski równolegle do prowadzenia wywiadów w Polsacie i Radiu Zet dołączył do swojej oferty medialnej także prywatny podcast na YouTube, to kwestia klikalności i tym samym wymóg pewnej sensacyjności zaczęły odgrywać rolę w wyborze jego rozmówców.

Ale w wypadku żadnego innego dziennikarza jeden jedyny wywiad nie pociągnął za sobą takiej lawiny pouczeń, reprymend i aroganckich ataków ad personam. Ta pewna dziwność całej sytuacji skłoniła wielu obserwatorów naszego życia medialnego do snucia hipotez o „drugim dnie" sporu. W tej sytuacji warto przypomnieć całą dziennikarską drogę przybysza z Krakowa, który tak dobrze dał sobie radę na warszawskim rynku medialnym.

WIELKI NIEMOWA

Urodził się w 1967 r. w Nowej Hucie. W momencie wprowadzania stanu wojennego miał 14 lat. A w tym wieku takie „pokoleniowe" przeżycia oddziałują mocno na poglądy. Podkrakowska dzielnica związana z Hutą im. Lenina była wówczas jednym z bastionów solidarnościowego oporu przeciw rządom ekipy gen. Jaruzelskiego. Każda solidarnościowa rocznica kończyła się walką na kamienie z ZOMO. To tutaj 13 października 1983 r. zginął starszy o pięć lat od Rymanowskiego Bogdan Włosik, zastrzelony przez oficera SB.

Nic dziwnego, że w latach 80. chłopak z takiej „bojowej" dzielnicy zaczął działać w podziemnej Federacji Młodzieży Walczącej. Swoje pierwsze dziennikarskie teksty pisał do dwóch „federacyjnych" pisemek. Ale te nowohuckie korzenie w naturalny sposób wywoływały pewną dwoistość środowiskową. Z jednej strony zawsze chciał, aby zaakceptowali go ludzie tworzący media z krakowskiego hermetycznego światka, a z drugiej strony jego nowohuckie pochodzenie siłą rzeczy wyczulało go na „krakówkową" elitarność i zadzieranie nosa. I ten rys jego upartej i pracowitej drogi na medialne salony będzie mu towarzyszył przez wszystkie kolejne lata.

Nie był dzieckiem utytułowanych krakowskich rodów i musiał zawsze nadrabiać dodatkową pracowitością, a także rozwagą w stosunkach z tymi, którzy mediami zarządzali. Długo szukałem jakiegokolwiek tekstu na temat jego podziemnego epizodu i znalazłem dosłownie parę zdań w artykule wspomnieniowym o Federacji Młodzieży Walczącej w „Rzeczpospolitej" w 2009 r. „Nie byliśmy potulnymi barankami. Podejmowaliśmy walkę [...]. Można powiedzieć, że byliśmy takim zbrojnym ramieniem opozycji – śmieje się Rymanowski, w FMW mający pseudonim Karol Ski. – Sam jestem dzieckiem Nowej Huty. U nas każdego 13. były manifestacje, które kończyły się ganianiem z ZOMO po całej dzielnicy [...]. Jak przyznaje, miał sporo szczęścia w porównaniu z kolegami którzy byli wyrzucani ze szkół czy bici na komisariatach. – Raz w 1987 r., w czasie akcji ulotkowej na rynku głównym w Krakowie, złapałem ogon. Zostałem zapakowany do suki i spędziłem 48 godzin na dołku w milicyjnym areszcie. Dostałem też kolegium w wysokości 9,0 tys. zł, którego nie zapłaciłem".

To bardzo charakterystyczne, że tylko raz Rymanowski dał się namówić na „kombatanckie" wspomnienia. Nigdy nie epatował swoją przeszłością ani nie czynił z tego jakiegokolwiek powodu do chwały. Być może dlatego, że w przyszłości przyjdzie mu pracować w mediach, którego twórcy lub czołowe postacie w czasach stanu wojennego popierali raczej stronę, która wysyłała na takich młodych „nowohutasów" bataliony ZOMO z długimi pałkami.

NOWY WSPANIAŁY MEDIALNY ŚWIAT

W 1990 r. Rymanowski ma 23 lata. To idealny wiek na rozpoczęcie kariery dziennikarskiej. Rynek medialny jest wówczas wstrząsany zmianami. W defensywie są żurnaliści z dawnej reżimowej prasy, a nowi twórcy mediów chętnie stawiają na młode pokolenie, które o wiele łatwiej jest w stanie dostosować się do stylu nowej epoki. To czas, gdy Rymanowski zaczyna praktykować w lokalnym „państwowym" Radiu Kraków, którego szefem – przypomnijmy – był wówczas Bronisław Wildstein, który dopiero co wrócił z emigracji lat 80. we Francji. Równocześnie Rymanowski współpracuje

eprasa.pl aacf224baf

z katolickim Radiem Mariackim, które organizuje słynny potem ks. Kazimierz Sowa. Wtedy to zdarza się zabawny epizod, który będzie potem w żartach przypominany jeszcze długo. Gdy w 1991 r. do Krakowa przybywa papież Jan Paweł II, Rymanowski ma stanowisko komentatorskie na wieży kościoła Mariackiego na krakowskim rynku. Gdy papieski papamobile wjeżdża na najważniejszy plac Krakowa, Rymanowski w ferworze komentuje: „U moich stóp widzę Jana Pawła II".

Żartów z tego lapsusu było wtedy w Krakowie podobno co niemiara. Rymanowski był wtedy osobą pryncypialną. Pod Wawelem opowiadano wtedy sobie, że gdy po obaleniu rządu Jana Olszewskiego w czerwcu 1992 r. przyszedł do Rymanowskiego, do radiowego studia, Jan Rokita, to Rymanowski – osobiście zniesmaczony rolą Rokity w „nocy teczek" – unikał, jak mógł, podania mu ręki. Ale młody dziennikarz, choć ściśle związany z grodem Kraka, dobrze wie, że najatrakcyjniejszym kąskiem w medialnym torcie jest telewizja. I tu zaczyna się paroletni okres, gdy zdarzyło mi się pracować z bohaterem tego tekstu. Wiosną 1994 r. prezesurę TVP obejmuje Wiesław Walendziak. Jego sztandarowym magazynem publicystycznym staje się program „Puls dnia". Ktoś z krakowskich przyjaciół z kręgów dawnej opozycji poleca mu właśnie Rymanowskiego.

Przez kolejne trzy lata istnienia „Pulsu dnia" Rymanowski dojeżdża z Krakowa na rozmowy na żywo z politykami. „Puls dnia" dokonał rewolucji w stylu prowadzenia takich rozmów. Wcześniej było zasadą, że dziennikarz miał przygotowaną listę pytań (w niektórych wypadkach pytania znał też zapraszany gość) i niewolniczo trzymał się takiego kwestionariusza. W sztandarowym programie Walendziaka wypracowano zupełnie inną technikę. Prowadzący musiał skupiać uwagę na tym, co gość mówi, i na bieżąco być w stanie zmienić dramaturgię rozmowy, jeśli zauważył w odpowiedziach polityka jakiś punkt zaczepienia do pociągnięcia go za język.

Ta nowa technika spowodowała, że program odniósł ogromny sukces. A Rymanowski nauczył się właśnie tu, że jeśli tylko usłyszy się coś, co da się „pociągnąć" w kolejnej części programu, to warto machnąć ręką na pieczołowicie przygotowane wcześniej pytania. Ten styl oprócz niego reprezentowali wówczas inni prowadzący, którzy tam stawiali pierwsze kroki w telewizji: Marcin Wrona, Jacek Łęski czy Adam Pawłowicz.

Z tych trzech lat wspólnej pracy w „Pulsie dnia" utkwiło mi w pamięci niesłychanie solidne przygotowywanie się do wywiadów przez Rymanowskiego, a także jego przywiązanie do Krakowa. Przyjeżdżał dosłownie na dwa dni i zaraz wracał do swojej rodziny w Krakowie. Kursował na trasie Dworzec Centralny – plac Powstańców i nigdy nie zostawał na weekendy. W charakterze anegdoty mogę opowiedzieć, że gdy kiedyś, już półtora roku po rozpoczęciu swojej warszawskiej przygody, z jakiegoś powodu znaleźliśmy się na warszawskim placu Trzech Krzyży, to najzupełniej serio Rymanowski pytał mnie, czy stąd daleko jest do Dworca Centralnego. Dla mnie, który w 1991 r. przeprowadził się do Warszawy, największą ambicją było jak najdokładniejsze i jak najszybsze poznanie stolicy, taka dezynwoltura wobec znajomości topografii Warszawy była szokująca.

W 1996 r. postkomuniści razem z PSL dorywają się do władzy nad TVP i pierwszą decyzją nowego prezesa ludowca Ryszarda Miazka jest likwidacja „Pulsu dnia". I wtedy Rymanowski nie idzie razem z większością dziennikarzy z ekipy „pampersów" do dziennika „Życie" Tomasza Wołka, ale trafia do świeżo wówczas powstałego TVN. I tu doskonale przydaje mu się warsztat zdobyty w „Pulsie dnia". Staje się prowadzącym programu „Kropka nad i", w którym zdobywa uznanie oszczędnym, ale rzeczowym sposobem zadawania pytań.

TVN jest oczywiście wówczas wyraźnie lewicowo-liberalny. Ale w tamtych czasach jeszcze jego szefowie mają na tyle rozumu, by nie ulegać wasalizacji ze strony postkomunistów, którzy właśnie doszli do władzy. W TVN ścieżki Rymanowskiego zaczynają krzyżować się z ambicjami Tomasza Lisa, który chce być absolutnym numerem jeden w stacji. Lis, który jest egotykiem, zaczyna kopać pod Rymanowskim dołki. Ale ten potrafi sobie dawać z tym radę i koniec końców przetrzymuje epokę Lisa.

Gdy na przełomie lat 2003 i 2004 zaczyna się mówić o ewentualnym starcie gwiazdy TVN w wyborach prezydenckich, Lis pozwala sobie na słynną już potem dość buńczuczną odpowiedź na pytanie o szanse prezydenckie: „Szok, muszę to przemyśleć". Ta niebaczna wypowiedź Lisa skłania kierownictwo TVN do pozbycia się zbyt już egotycznego gwiazdora i do wyrzucenia go ze stacji. Rymanowski dzięki temu zyskuje szansę na zastąpienie Lisa w roli prowadzącego sztandarowy dziennik TVN „Fakty", a Lis poprzysięgnie sobie zemstę na Rymanowskim, którego aż do dziś krytykuje i postponuje.

MIĘDZY DWOMA BIEGUNAMI

Rymanowski potrafi jednak zachować na przełomie wieków XX i XXI pewien balans między zbudowaniem sobie silnej pozycji w TVN a przyłączaniem się do dwóch kolejnych inicjatyw, które tworzyć mają konserwatywne media. Pierwsza inicjatywa to audycje katolickiej sieci rozgłośni diecezjalnych Radio Plus, w której prowadzi audycję „Twarzą w twarz" i nadzoruje magazyn reporterski „W samo południe". Tutaj nasze ścieżki znów się zbiegły na parę lat i – co ciekawe – Rymanowski mityguje wówczas dość hurraprawicowe nastroje części zespołu, stając często po stronie części dziennikarzy z dawnego diecezjalnego warszawskiego Radia Rodzina, którzy krzywią się na zbyt dużą dawkę polityki w katolickim radiu.

W latach 2000–2001 Rymanowski angażuje się ponownie w kolejną próbę stworzenia tym razem konserwatywnej telewizji Puls, która potem zmienia nazwę na Telewizję Familijną. Prowadzi główny magazyn informacyjny „Wydarzenia", a także kieruje redakcją tego dziennika. Gdy w 2003 r. jeden z głównych inwestorów stacji – firma Prokom Ryszarda Krauzego – wobec wygranej postkomunistów wycofuje się z finansowania tej telewizji, stacja upada. A Rymanowski wraca do TVN, w którym spędzi aż 17 lat. I znów potrafi na tyle zgrabnie serfować, aby z jednej strony nie wejść w konflikt z szefami, a z drugiej strony nie kojarzyć się z coraz bardziej wtedy propagandowym tonem w stacji Mariusza Waltera. Znów pomaga mu warsztat „zadawacza pytań". Poza tym prezentowanie umiaru nie jest trudne, gdy ma się obok siebie tak zadzierżystych, proplatformerskich medialnych wojowników jak Katarzyna Kolenda-Zalewska, Justyna Pochanke czy Monika Olejnik.

eprasa.pl aacf224baf

Trudno nie odnieść wrażenia, że atak na Bogdana Rymanowskiego to swoista zemsta za rozmowę na antenie Polsatu z Donaldem Tuskiem krótko przed wyborami prezydenckimi. Była to największa medialna porażka Donalda Tuska w całej jego długiej przecież karierze politycznej

Ale krytycy Rymanowskiego po prawej stronie mitygują zachwyty nad krakowskim dziennikarzem, wskazując, że różnica między Rymanowskim a innymi twarzami TVN polega jedynie na tonowaniu nastrojów przy jednoczesnym akceptowaniu agendy tematów i linii interpretowania rzeczywistości stacji z ulicy Wiertniczej. Widzów z prawej strony irytuje to szczególnie w czasie, gdy TVN wyraźnie przejmuje rolę obrońcy ekipy Tuska po katastrofie smoleńskiej. Ale Rymanowski zmaga się z jeszcze jednym problemem. Owszem, jego poprzedni adwersarz, Tomasz Lis, wskutek własnej megalomanii wyleciał ze stacji, ale rychło pojawia się kolejny niechętny Rymanowskiemu dziennikarz. To Kamil Durczok, który przybył do Warszawy z ośrodka regionalnego, tyle że nie z Krakowa, ale z Katowic.

Durczok to swoista kompilacja wszystkich cech, które są Rymanowskiemu obce. Arogancki parweniusz przymilny wobec tych na górze stacji i brutalny wobec tych, którzy mu podlegają. Zachowujący się wobec dziennikarek niemal jak dziedzic uważający wszystkie spodniczki za swoją potencjalną własność. Jak napisał portal Wirtualna Polska w lutym 2006 r., Rymanowski miał zapowiedzieć przełożonym, że nie będzie pracować razem z Durczokiem w jednym programie. Była to reakcja na pogłoski, że Durczok ma zostać szefem „Faktów". Przy czym Durczok miał korzystać wtedy ponoć z cichego wsparcia Donalda Tuska.

Szefowie stacji dochodzą do wniosku, że w jednym programie jest za mało miejsca zarówno dla Durczoka, jak i Rymanowskiego, i rozwiązują problem, obiecując temu drugiemu własny program publicystyczny. I rzeczywiście, Rymanowski 23 kwietnia 2006 r. inauguruje program „Kawa na ławę". I tu znów szefów TVN nie zawodzi słuch medialny. Niegdysiejszy nowohucianin doskonale pasuje do debaty polityków z różnych frakcji, w umiejętny sposób przyjmując rolę kierującego ruchem.

W 2018 r. Rymanowski przechodzi do Polsatu, ściągnięty tam przez ówczesną szefową pionu informacji i publicystyki stacji – Dorotę Gawryluk. I znów Rymanowski ma szczęście, bo właściciel Polsatu, Zygmunt Solorz, potrzebuje kogoś, do kogo chętnie przychodzić będą politycy będącego wówczas u władzy PiS. A Solorzowi zależy, by z PiS żyć dobrze, bo losy iluś jego inwestycji zależą od życzliwej postawy rządzącej prawicy.

Gdy w 2023 r. do władzy wraca Platforma, a Polsat wyraźnie zaczyna znów dostosowywać się do linii propagandowej otoczenia Donalda Tuska, Rymanowski woli znów nie stawiać wszystkiego na jedną kartę. Chce mieć dodatkowy „backup", czyli zabezpieczenie na wypadek, jeśli ktoś będzie chciał go z dnia na dzień zwolnić. Jak zawsze ma doskonały słuch medialny i postanawia spieniężyć swój kapitał popularności przez stworzenie własnego kanału na YouTube, który w krótkim czasie zdobywa imponującą liczbę 300 tys. subskrybentów. Ale to właśnie ten sukces ściąga na Rymanowskiego niechętną uwagę liberalnych mediów. A słynna już rozmowa z prof. Grażyną Cichosz staje się pretekstem do całej kampanii odsądzania Rymanowskiego od czci i wiary.

Trudno nie odnieść wrażenia, że jest to swoista zemsta za rozmowę na antenie Polsatu z Donaldem Tuskiem krótko przed niedawnymi wyborami prezydenckimi. Była to największa medialna porażka Donalda Tuska w całej jego długiej przecież karierze politycznej. Nie dość, że premier, chcąc uwiarygodnić insynuacje wobec Karola Nawrockiego, wdał się w przedstawianie jako autorytet „niejakiego Murańskiego, aktora i zawodnika MMA", to jeszcze okazał się bezradny wobec stawianego stanowczo, ale rzeczowo pytania: „Czy Karol Nawrocki został kiedykolwiek skazany za jakiekolwiek przestępcze czyny". Gdyby Rymanowski nie postawił w tym momencie tak zdecydowanie tego prostego pytania, być może wynik wyborów byłby inny. Ale cała sprawa pokazała jeszcze jedną rzecz. Wystarczyło, że w kluczowym momencie kampanii dziennikarz ważnej stacji zachował się jak najbardziej profesjonalnie, by cały rzekomy kunszt medialny Tuska uwidocznił swoją utajoną słabość. Słabość ukrywaną dzięki udzielaniu wywiadów tylko tym pracownikom mediów, o których lider Platformy wiedział, że będą traktować go według taryfy ulgowej.

35 LAT BALANSOWANIA NA LINIE

Cała kariera medialna Rymanowskiego to balansowanie między utrzymaniem się w tzw. mediach głównego nurtu przy jednoczesnym staraniu o to, aby nie robić rzeczy, które mogły przynieść mu niesławę. Ta gra wychodziła Rymanowskiemu raz gorzej, raz lepiej. Ale najbardziej przygnębiające w tym czasie były słabo ukrywana wściekłość i niechęć, którą żywili do niego dziennikarze obozu liberalnego, nieustannie marzący o homogeniczności rynku medialnego.

Najlepiej ilustruje to cytat z Edwarda Miszczaka – przez długie lata wpływowego decydenta w TVN, który pytany o ocenę Rymanowskiego w 2023 r. mówił z wyraźną irytacją: „Z Bogdanem Rymanowskim mam jedno ulotne, a może mocne skojarzenie. Do dziś z tym walczę, nawet jak go widzę w TVN24. Mówię: »Chłopie, znowu ci ta prawica wyłazi oczami. Możesz to opanować?«".

To bardzo charakterystyczny cytat. Miszczak, będący jednym z głównych osób decydujących o linii TVN, nie widział przechylenia politycznego Piotra Kraśki, Moniki Olejnik czy Anity Werner. Oni kojarzyli mu się z absolutną bezstronnością. Jednego, jedynego Rymanowskiego wiecznie posądzał o „ukrytą prawicowość".

Dziś ambitny dziennikarz z Krakowa zyskał wreszcie znacznie trwalsze podstawy swojego bytu zawodowego niż humory decydentów z TVN czy Polsatu. Według ostatnich obliczeń stoi za nim 550 tys. subskrybentów jego kanału. Można wreszcie odetchnąć, po prawie trzech dekadach medialnego tańca na linie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf

SOR-y, taki mamy system



Radosław Wojtas

Z jednej strony zapaść finansowa NFZ i przekładane świadczenia, z drugiej – kilkusettysięczne pensje lekarzy pracujących w publicznych szpitalach. Czy pomysł wprowadzenia limitów pensji dla lekarzy coś zmieni, a może to tylko polityczna zasłona dymna skrywająca prawdziwe problemy całego systemu?

Minimum 14 mld zł (to informacje oficjalne), a być może o kilka miliardów złotych więcej (to szacunki nieoficjalne, te bardziej pesymistyczne mówią nawet o kilkunastu miliardach) zabraknie Narodowemu Funduszowi Zdrowia w 2025 r. Prognozy na kolejne lata są jeszcze bardziej dramatyczne – w przyszłym roku deficyt szacuje się na ponad 23 mld zł, i są to raczej ostrożne wyliczenia. Naczelna Izba Lekarska alarmuje, że szpitale w całej Polsce odmawiają przyjmowania pacjentów, przekładają leczenie na przyszły rok, a niektóre z nich miały zacząć limitować... świadczenia nielimitowane. – Skoro NFZ od kilku miesięcy nie płaci, to szpitale same zaczęły nakładać limity. Nie są w stanie dłużej kredytować leczenia – powiedział w rozmowie z TVN24 Jakub Kosikowski, lekarz, rzecznik Naczelnej Izby Lekarskiej. – Mamy w tej chwili zgłoszenia od kilkudziesięciu szpitali. Co do onkologii, to na szczęście zdecydowana mniejszość. Było kilka takich przypadków, że pacjenci zostali poproszeni o zgłoszenie się do innych szpitali. Tłumaczone jest to różnie: brakiem personelu, brakiem mocy przerobowych – powiedział.

„Kosikowski podkreślił, że większość ograniczeń jest wprowadzana »na gębę«. Jako przykład podał zakaz przyjmowania nowych pacjentów do leczenia w programie lekowym reumatoidalnego zapalenia stawów. – Pacjenci słyszą, że do nowego roku nie zaczną leczenia, bo nie ma za co ich leczyć. Mówimy o nowych pacjentach – dodał rzecznik NIL" – podaje TVN24. W zależności od województwa i kondycji finansowej konkretnych szpitali – niektóre mają poduszki finansowe, ich bilans od lat jest na plusie, inne, zwłaszcza powiatowe, toną w długach – przesuwane są procedury planowe, m.in. w kardiologii, kardiochirurgii, ortopedii i urologii.

Na tym tle rozgorzała dyskusja o zarobkach lekarzy. Pojawiła się propozycja, by nie tylko wyhamować wzrost wynagrodzeń tej grupy zawodowej, nieproporcjonalny do inflacji i do przedstawicieli innych zawodów, a w niektórych przypadkach irracjonalnie wysoki, lecz także by ustalić sufit dla wynagrodzeń medyków zatrudnionych na kontraktach. Zaproponowany przez resort zdrowia limit na poziomie do 48 tys. zł brutto miesięcznie wywołał sprzeciw środowiska lekarskiego, które twierdzi, że to nie rozwiąże problemu zapaści systemu ochrony zdrowia w Polsce. „48 tysięcy netto na umowie o pracę to godne wynagrodzenie. 48 tysięcy brutto na kontrakcie to niegodne wynagrodzenie dla świetnych specjalistów. Nie wyobrażam sobie, żeby transplantolog przeszczepiał narządy czy kardiochirurg operował serce za taką kwotę" – napisał na X reumatolog Bartosz Fiałek.

KREZUSI W KITLACH

Nie trzeba być jednak wziętym transplantologiem, by w polskich szpitalach zarabiać niebotyczne pieniądze. Niedawno poseł PiS Janusz Cieszyński upublicznił wynagrodzenie wypłacane przez szpital w Koninie jednemu z kardiologów. Lekarz ten za wykonywanie zabiegów ablacji zaburzeń rytmu serca od stycznia do czerwca br. wystawił faktury na łączną kwotę 1 284 294,32 zł. „Wszyscy mówią o tym, że szpital w Koninie wstrzymał przyjmowanie pacjentów, bo nie ma pieniędzy. Nie ma ich na leczenie, ale za to ma na płacenie ponad 200 tys. miesięcznie lekarzowi. Bardzo cenię wiedzę tego specjalisty, ale to są stawki z kosmosu" – napisał Cieszyński.

Skąd taka kwota? W 2021 r. szpital podpisał z lekarzem umowę, na podstawie której kardiolog otrzymuje 10 proc. od wartości każdego wykonanego przez niego zabiegu ablacji. Dyrektor Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Koninie Krystyna Brzezińska w rozmowie z Agnieszką Gozdyrą komentowała, że umowa jest... korzystna dla szpitala. „Jeżeli weźmiemy pod uwagę rachunek ekonomiczny, to dla szpitala zostaje duża część i jest to procedura pod względem ekonomicznym dla nas zyskowna" – mówiła. I dodawała, że w innych procedurach udział wynagrodzenia dla lekarza jest na podobnym poziomie, a że akurat zabieg ablacji jest przez NFZ wyceniony wysoko, bo na 30–90 tys. zł, to lekarz mający umiejętności i uprawnienia do jego wykonywania zarabia dużo. „A moim zdaniem takie stawki są absolutnie niemoralne – komentowała na X Gozdyra. – Lekarze studiują na państwowych

eprasa.pl aacf224baf



FOT. ADOBE STOCK

uczelniach, wykonują procedury w publicznych szpitalach, pracują na szpitalnym sprzęcie i to są publiczne pieniądze. Oczywiście mowa tu o niewielkim procencie wszystkich lekarzy. Większość zarabia znacznie, znacznie mniej. Czy talent, wiedza, ciężka praca powinny być doceniane? TAK! Ale to, co widzimy na poniższej tabelce, to chciwość".

Bulwersujca jest także sytuacja Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego im. Ludwika Perzyny w Kaliszu. Placówka, która tonie w długach, wypłaca kilku lekarzom gigantyczne pensje. „Pielęgniarki skarżą się, że poprzedni dyrektor na nich oszczędzał, a windował wypłaty dla niektórych lekarzy. Czterech z nich zarabia rocznie w szpitalu [w sumie] 10 mln zł. Potwierdza to obecny dyrektor. – Taka chora sytuacja wciąż trwa – mówi jedna z pielęgniarek" – pisze Wyborcza.pl.

Nie wymogami rzadkich umiejętności i uprawnień, a trudnymi warunkami pracy tłumaczone są sięgające nawet ponad 200 tys. zł miesięcznie wynagrodzenia lekarzy pracujących na szpitalnych oddziałach ratunkowych.

Ogłoszenie o pracę dla lekarzy medycyny ratunkowej Wojewódzkiego Szpitala w Bielsku-Białej wyszło poza portale zajmujące się rekrutacją pracowników i lotem błyskawicy obiegło media społecznościowe. Wrażenie na internautach zrobiło zaproponowane wynagrodzenie: do 108 tys. zł brutto miesięcznie, od 260 do 450 zł brutto za godzinę pracy (w zależności od formy zatrudnienia). A do tego mieszkanie służbowe, gdyby chętny musiał się przeprowadzić.

Dużo? Co bardziej operatywni lekarze potrafią wyciągnąć więcej, nawet po ponad 200 tys. zł brutto miesięcznie. – Powstała grupa lekarzy, która jeździ od szpitala do szpitala, pracuje na dwóch, trzech, czasem czterech SOR-ach – mówi „Gazecie Wyborczej" „osoba zarządzająca w jednym ze stołecznych szpitali, w którym działa oddział ratunkowy", która używa nawet określenia: „działania poniekąd mafijne". Widełki wynagrodzenia za 24-godzinny dyżur na stołecznym SOR to od 5 do ponad 6 tys. zł brutto. Niektórzy lekarze potrafią wziąć po 20 dyżurów w miesiącu. – Nikt nie jest samobójcą. Lekarze z SOR-ów doskonale wiedzą, jak ustawić dyżury, żeby najpierw mieć ciężki, potem łatwiejszy, a potem średni. Poza obsługą rzadkich, nieoczekiwanych zdarzeń o dużej skali SOR-y w gruncie rzeczy są dość przewidywalne i lekarzowi łatwo jest oszacować, kiedy i w którym szpitalu uda mu się przespać dwie, a kiedy cztery godziny na dyżurze – mówi rozmówca „GW". I wspomina lekarza, który przyjeżdżał do Warszawy ze wschodu Polski, „wyrabiał dziesięć dyżurów z rzędu, bez żadnej przerwy, w różnych szpitalach, a potem wracał do siebie i poświęcał się swoim pasjom".

LEKARZU, CO MASZ W GARAŻU?

W 2007 r. Ludwik Dorn błysnął bon motem: „Pokaż, lekarzu, co masz w garażu", który był odpowiedzią na strajk i postulaty płacowe lekarzy. Zarzucano mu wówczas, że próbuje przekierować uwagę opinii publicznej na – w domyśle zbyt wysokie – zarobki lekarzy, by ukryć nieudolność polityków, którzy od lat nie potrafią poradzić sobie z chorobą drążącą cały system ochrony zdrowia. Teraz, gdy pojawiają się postulaty mające ograniczyć wzrost wynagrodzeń lekarzy, sięga się po podobne argumenty. „Zamiast strategii – likwidacja jednej trzeciej szpitali. To plan ministerstwa na poprawę zdrowia Polaków. Zamiast szczuć na lekarzy, weźcie się do roboty" – tym hasłem na bannerze ustawionym przed Ministerstwem Zdrowia odpowiedzieli lekarze. „To wyraźny sygnał środowiska lekarskiego, że w obliczu narastających problemów systemowych i eskalującej retoryki antylekarskiej potrzebny jest realny dialog i konkretne działania ze strony rządu" – czytamy w komunikacie Naczelnej Izby Lekarskiej.

1,3 mln zł

TYLE W ZAOKRĄGLENIU ZAPŁACIŁ SZPITAL W KONINIE JEDNEMU Z KARDIOLOGÓW ZA PÓŁ ROKU PRACY

Ograniczanie lekarskich pensji nie naprawi chorego systemu, ale z pewnością nikomu (z wyjątkiem lekarzy) nie przysłuży się odwracanie wzroku od patologii w obszarze wynagrodzeń. „Trend wzrostu wynagrodzeń trwa od kilku lat i był wzmacniany m.in. ustawą z 8 czerwca 2017 r. o najniższym wynagrodzeniu zasadniczym w ochronie zdrowia; to ta, która uregulowała minimalne płace dla zawodów medycznych. Według publicznych wypowiedzi Ministerstwa Zdrowia i danych środowiskowych skumulowany wzrost wynagrodzeń od 2022 r. przekroczył 44 proc., przy inflacji rzędu kilkunastu procent w tym okresie. To istotna poprawa bazy płacowej w całym sektorze, obejmująca nie tylko lekarzy, lecz także pielęgniarki, ratowników i diagnostów" – mówi w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" dr Łukasz Więch, lekarz, specjalista zdrowia publicznego. Na pytanie-sugestię, że już może wystarczy, odpowiada: „Moim zdaniem przyszedł czas, żeby zastanowić się nad zatrzymaniem tej tendencji. Po pierwsze dlatego, że cel tej ustawy został spełniony – pracownicy ochrony zdrowia zarabiają dziś godnie. A po drugie, w systemie ochrony zdrowia nie ma już na to pieniędzy". Mimo coraz większego budżetu NFZ. W ostatniej dekadzie roczne wydatki na NFZ wzrosły o 128 mld zł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf



Opowieść o dwóch duszach

Popularność filmu Netflixa „Ballada o drobnym karciarzu" sprawiła, że na księgarskie półki wróciła świetna powieść pod tym samym tytułem FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

„Ballada o drobnym karciarzu" – film Edwarda Bergera jest intrygujący, powieść Lawrence'a Osborne'a – znakomita

Streaming w służbie dobrej lektury: oto popularność filmu Netflixa „Ballada o drobnym karciarzu" sprawiła, że na księgarskie półki wróciła świetna powieść pod tym samym tytułem. Gdy trafiła tam pierwszy raz, w roku 2016 (dwa lata po światowej premierze), przeszła trochę bez echa. Cóż z tego, że na okładce można było przeczytać: „nowa powieść jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnych" – nie takie zachęty się czytało.

Lawrence Osborne był i pozostaje w Polsce stosunkowo nieznany, nad czym wypada ubolewać. Jest to bowiem pisarz nietuzinkowy oraz niezależny w najlepszym sensie tego słowa: nie goni za łatwymi pochwałami, nie wpisuje się w modne tematy i kreowane przez establishment trendy. Nie wszystkie z jego książek znam, ale po tych kilku, które przeczytałem, śmiem uważać, że gdy w wywiadzie dla „Wyborczej" (z marca 2016 r.) komentował długie milczenie po debiucie słowami: „Pisałem powieści i opowiadania cały czas, ale nie sądziłem, że są wystarczająco dobre, żeby je wydawać", to mówił prawdę, a nie kokietował.

Lawrence Osborne jest pisarzem staromodnym, to znaczy bardziej z tradycji literackiej, która dziś jest martwa. Bo mało kto czyta dziś Grahama Greene'a, Josepha Conrada czy André Malaraux? A w każdym razie jeśli czyta, to chwali się tym najwyżej znajomym, bo w tzw. współczesnym dyskursie kulturowym i kulturalnym pisarzy takich uważa się za wrogów – a w najlepszym razie za postacie godne jedynie szybkiego zapomnienia. Snując te porównania do klasyków, nie mam na myśli literackiego pokrewieństwa, nie chodzi o to, że Osborne pisze czy stara się pisać, jak wspomniani autorzy. Ale o to, że podobnie jak oni uważa, że literatura jest po coś i że można z jej pomocą uchwycić to, co nieuchwytne: kształt świata i sekrety ludzkiej duszy. Takie podejście jest zaś we współczesnej literaturze herezją.

LORD W KASYNIE

Oznacza to także, że powieść „Ballada o drobnym karciarzu" niezbyt nadaje się do adaptacji filmowej, niemniej wersja Netflixa to film ciekawy i wart uwagi. Trud napisania scenariusza wziął na siebie Rowan Joffé (syn reżysera Rolanda Joffé, tego od „Misji" i „Pól śmierci"). Do reżyserii zabrał się natomiast niemiecki reżyser Edward Berger, twórca m.in. filmów „Na Zachodzie bez zmian" czy „Konklawe". Rolę główną otrzymał Colin Farrell. A skoro już jesteśmy przy liście płac, to koniecznie wymienić trzeba Jamesa Frienda, czyli autora zdjęć. Jego praca jest fantastyczna, to on wykreował kolorowe, pełne tandetnego przepychu piekło Makau, w którym rozgrywa się walka o duszę lorda Doyle'a.

Pan Doyle jest doskonale znany bywalcom i pracownikom kasyn w Makau, grywa bowiem często, wysoko i… zwykle przegrywa. W chwili, gdy go poznajemy,

eprasa.pl aacf224baf

desperacko pożąda tej jednej wielkiej wygranej, która pozwoli mu odwrócić pechową passę. Przydałoby się, zwłaszcza że na opłacenie czeka rachunek hotelowy, a sam Doyle gra już na kredyt. Co gorsza, coraz trudniej mu znaleźć kogokolwiek, kto dalszego kredytu zechce mu udzielić. Najwyraźniej jego szykowne szczęśliwe rękawiczki z Saville Row, w których zasiada do stołu gry, przestały mu przynosić szczęście. Świat dookoła robi się coraz bardziej pusty, lord Doyle cuchnie desperacją. No i wszyscy wiedzą, jak kończą się takie historie. Jedno z takich zakończeń widzimy na ekranie, gdy inny pechowy karciarz rzuca się z okna hotelu. A może został wyrzucony?

Na pozór najważniejsza decyzja obsadowa nie trzyma się kupy: Colin Farrell jako brytyjski arystokrata? Niczego nie ujmując jego aktorskim zdolnościom, urok ma przecież raczej plebejski i m.in. dlatego tak bardzo wydawał się być na swoim miejscu, gdy zachwyci widzów i krytyków rolą w „Duchach Inisherin”. Jednak nie, wszystko się zgadza: lord Doyle jest lordem fałszywym. Naprawdę nazywa się Brendan Reilly, a w Makau ukrywa się przez klientami, których okradł – z Anglii wyjechał z małą fortuną, po której nie zostało już ani śladu.

DROGA W JEDNĄ STRONĘ?

Czy nękają go wyrzuty sumienia? Trudno powiedzieć, może jego zbolała twarz to jedynie efekt braku szczęścia w bakaracie. Na pewno jednak nie zapomnieli o nim ci, których okradł. Jego śladem podąża Cynthia Blithe, prywatna detektyw, która ma dla Doyle’a ofertę nie do odrzucenia: albo zwróci ukradzione pieniądze, albo zostanie deportowany i stanie w Anglii przed sądem. Pannę Blithe gra Tilda Swinton i jest to robota godna oscarowej nominacji. Niemodna, uparta i mało atrakcyjna wygląda jak uosobienie cnoty, o której pisał Zbigniew Herbert w jednym z wierszy o Panu Cogito.

W mikroświecie fałszywego lorda Doyle’a pojawi się także druga kobieta. To Dao Ming, zatrudniona w jednym z kasyn, gdzie decyduje o tym, którym graczom przyznać kredyt (w tej roli Fala Chen, gwiazda telewizji i kina z Hongkongu). To właśnie ona była „opiekunką” klienta, który zakończył żywot samobójczym skokiem. Rozdarta Dao Ming z jednej strony nie chce, by nagabujący ją lord Doyle skończył w ten sam sposób, z drugiej zaś widzi w nim coś, co sprawia, że nie może po prostu go odtrącić. Jak mówi, ujrzała w nim udręczoną duszę. Czego nie dopowiedziała? Że i jej dusza jest podobnie udręczona. W odpowiedniej chwili dowiemy się z jakich powodów.

Dalej rzecz muszę opisywać ostrożnie, bo cały urok tej historii oparty jest na niedopowiedzeniach i niepewności. Pojawia się tu dalekowschodni trop religijny, pytanie o buddyjską wersję piekła, w którym cierpi się poprzez nienasycenie: żadna ilość jadła i napoju nie jest w stanie ugasić głodu i pragnienia. Pojawia się jak najbardziej chrześcijańskie pytanie o drogę ku odkupieniu – czy jest możliwe? W jaki sposób? Część recenzentów szuka kluczy do „Ballady o drobnym karciarzu” w porównaniach do „Gracza” Dostojewskiego, widząc w powieści Osborne’a historię uzależnienia. Szukają w złym miejscu. Oczywiście Doyle jest hazardzistą, ale nie o otchłań uzależnienia chodzi w tej przypowieści. Główny temat to los owych dwóch zagubionych, udręczonych dusz, fałszywego lorda Doyle’a i pięknej Dao Ming. Jedno i drugie porzuciło świat cnoty, dobra i prawdy dla blichtru wielkich pieniędzy. Czy można z tej drogi zawrócić? Czy pójdą razem na dno czy też może zdołają sobie nawzajem jakoś pomóc? Klimatem film Bergera przypomina świetny, a niedoceniany w Polsce film „In Bruges” Martina McDonagha, zatopiony koszmarnym przekładem tytułu (znamy ten obraz jako „Najpierw strzelaj, potem zwiedzaj”). McDonagh świetnie mylił tropy – zdawało się, że kręci czarną komedię kryminalną w duchu Guya Ritchiego, tymczasem dał nam opowieść rozgrywającą się w czyśćcu (którym jest tytułowa Brugia). Osborne i Berger niby mówią o hazardzie, a tak naprawdę pytają o granicę, za którą dusza jest już nie do uratowania. (W „In Bruges”, swoją drogą, także główną rolę zagrał Colin Farrell).



REŻ. EDWARD BERGER
„BALLADA O DROBNYM KARCIARZU”
2025



Dao Ming (w tej roli Fala Chen) to kobieta zatrudniona w jednym z kasyn, gdzie decyduje o tym, którym graczom przyznać kredyt

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ISTNIEĆ, CZYLI CIERPIEĆ

Zarówno w powieści, jak i w wywiadach podczas jej promowania Lawrence Osborne podkreślał, że interesują go bohaterowie, którzy są nieszczęśliwi, gdy wygrywają, którzy zdają się odczuwać istnienie jedynie wówczas, gdy los od nich się odwraca: oto prawdziwi hazardziści. „Doświadczenie zagubienia mnie interesuje. Zmiany w zachowaniu, mroczne elementy ludzkiej natury, które wydostają się na powierzchnię – wyłanianie się nieprzewidywalnego” – mówił pisarz w cytowanym już wcześniej wywiadzie. Film jest intrygujący i przepięknie opowiedziany obrazami. Powieść jest dużo gęstsza, wciągająca, do smakowania powoli, bo niemal każdy akapit to majstersztyk.

W dziejach fałszywego lorda Doyle’a widzę też nawiązanie do słynnej powieści „Lord Jim” Josepha Conrada. Jim także był lordem fałszywym, ukrywającym swe prawdziwe nazwisko. I jak fałszywy lord Doyle pozostał na Dalekim Wschodzie, szukając sposobu na odzyskanie czegoś, co utracił bezpowrotnie. Doyle również będzie miał okazję, by wreszcie postąpić jak trzeba – i tak jak u Conrada chwila ta nie przyniesie mu wyzwolenia, odkupienia czy ukojenia, tylko do wszystkich tragedii świata dołoży kolejną. Pozostanie piekło kasyn Makau i ich „specyficzny, krzykliwy przepych. Są jak z koszmaru, ale nie takiego, z którego budzisz się zlany zimnym potem – raczej takiego, na którym niemal dobrze się bawisz” – mówi Lawrence Osborne. Oczywiście nie sądzę, by miał na myśli jedynie świat hazardu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf



Krzysztof Masłoń

Głębokie cele rządu

Odnieść można wrażenie, że działaniom resortu edukacji pod przywództwem nieocenionej Barbary Nowackiej wciąż brakuje stanowczości. Tak jakby w jakże chwalebnym dziele rewolucjonizowania polskiej oświaty obawiano się postawić kropki nad i, zwlekając z wydaniem rozporządzeń, które raz na zawsze wygoniłyby ze szkół wszelkie szkodliwe „izmy", z nacjonalizmem na czele, od wielu pokoleń zatruwające umysły młodzieży. I tak np. choć skutecznie przewietrzone zostały spisy lektur, wciąż bezwstydnie figurują na nich utwory ewidentnie szkodliwe, jak „Dziady" Adama Mickiewicza. Ze szczególnym uwzględnieniem trzeciej części tego literackiego potworka, nie dość tego, że królującego na lekcjach polskiego, to na dodatek wystawianego w teatrach, choć nadaje się on jedynie do ekshumacji, co z właściwą sobie klasą i znawstwem tematu uczyniła lat temu parę we Wrocławiu Monika Strzępka, ale niestety podobnie świetnych twórców jak ona czy Maja Kleczewska, która zdemaskowała w Krakowie prawdziwe oblicze „arcydramatu" (ha, ha) Mickiewicza, mamy nie za wielu, trudno więc liczyć na to, że scena pomoże polonistom w jedynie słusznym rozprawieniu się z powstałym prawie 200 lat temu sztuczydłem.

Już przedmowa do III części „Dziadów" musi budzić zaniepokojenie. Bo i cóż to ma znaczyć takie niewydarzone proroctwo skierowane „do litościwych narodów europejskich, które płakały nad Polską jak niedołężne niewiasty Jeruzalemu nad Chrystusem". Że oto „naród nasz przemawiać tylko będzie słowami Zbawiciela: »Córki Jerozolimskie, nie płaczcie nade mną, ale nad samymi sobą«". Czyli w państwach naszej tak wspaniale zjednoczonej Europy, i to w takich jak Niemcy, obywatele mają bić się w piersi i łzy ronić – nad sobą? A któż jak nie Niemcy z takim entuzjazmem witali uchodźców z Polski po powstaniu listopadowym? Ten sam Mickiewicz w końcu napisał o tym, że „prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie".

Ale w III części „Dziadów" przemyca się zupełnie inne treści. Bo i co tam podśpiewał niejaki Jankowski?

Mówcie, jeśli wola czyja,
Jezus Maryja.
Nim uwierzę, że nam sprzyja
Jezus Maryja,
Niech wprzód łotrów powybija
Jezus Maryja.

Pewnie, że poeta mógł mieć na myśli Rosjan, ale czy ich popleczników, to już nie jest pewne. A w ogóle przesiąknięte są „Dziady" religianctwem. Na pozór niby ten cały Konrad wadzi się z Bogiem, ale a to jakiś klecha ma widzenia, to znów pojawiają się znikąd jacyś aniołowie, no jeden wielki cyrk. Ale w przypisach możemy się doczytać np.: „Wyznania, które się odłączyły od Kościoła katolickiego, są protegowane szczególniej w Rosji; naprzód stąd, iż zwolennicy tych wyznań z łatwością przechodzą na wiarę grecką za przykładem niemieckich księżniczek i książąt; potem, że pastorowie są najlepszą podporą despotyzmu, wmawiając ludowi ślepe posłuszeństwo dla władzy świeckiej, nawet w rzeczach sumnienia, w których katolicy odwołują się do decyzji Kościoła".

Katolików to należy opiłowywać i pani minister Nowacka z pewnością podziela tę spopularyzowaną przez Sławomira Nitrasa opinię. Na co więc czeka?

Z „Dziadów" coś tam można uratować, choć i tak najbardziej przydatna w nowej polskiej szkole powinna być ich, stosunkowo najmniej znana, część I z otwierającymi ją słowami Dziewicy: „Świeco niedobra! Właśnie pora była zgasnąć!". Przeważają jednak w III części „Dziadów" fragmenty absolutnie nienadające się do popularyzacji w Polsce podnoszącej się z upadku po PiS-owskiej zapaści. Jak historia Cichowskiego, który lata całe przesiedział w więzieniu, a że nie znaleziono jego winy, został w końcu wypuszczony, tyle że nie był już w stanie powrócić do normalnego życia. Mistrz ceremonii rzecz tę tak objaśnia:

Któż tu mówi o winach – są inne przyczyny:
Kto długo był w więzieniu, widział, słyszał wiele –
A rząd ma swe widoki, ma głębokie cele,
Które musi ukrywać. – To jest rzecz rządowa –
Tajniki polityczne – myśl gabinetowa.
To się tak wszędzie dzieje – są tajniki stanu –
Ale Pan z Litwy – a! a! – to jest dziwne Panu.
Panowie ze wsi, to tak chcecie o cesarstwie
Wiedzieć wszystko, jak gdyby o swym gospodarstwie.

No tak, ta wsiowa Polska nie rozeznaje się w polityce, a otaczającego ją świata nie rozumie, ale Mickiewicz, sam niewydarzony szlachetka, miał słabość do gminu. Zadaje także poeta retoryczne raczej pytania w rodzaju: „A wiesz ty, co to będzie z Polską za lat dwieście?". No tego to nikt wtedy w naszej ojczyźnie nie wiedział, ponieważ Tuska to i Mickiewicz, i żaden inny wieszcz by nie wymyślił. Ale, ale, a o kim to autor III części „Dziadów" pisał, że „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie"?

Doprawdy, pora na zdecydowane działania. Koniec z dziaderstwem, także literackim. Doktor z III części „Dziadów", wprawdzie postać negatywna, całkiem do rzeczy prawił:

Właśnie powiedziałem
Jaśnie Panu, że młodzież zarażają szałem,
Ucząc ich głupstw: na przykład starożytne dzieje!
Któż nie widzi, że młodzież od tego szaleje.

Bo i pewnie, a cóż dopiero od poezji smoleńskiej. No, tę już na szczęście Barbara Nowacka wypaliła siarką i żelazem, ale:

... po co zawsze prawić
o republikanach,
Zawsze o Ateńczykach, Spartanach, Rzymianach...

A o uśmiechniętej Polsce nie łaska?

Na koniec zaś pozwolę sobie zadedykować minister Nowackiej znamienne słowa pewnej damy z „Salonu Warszawskiego" (sceny III części „Dziadów"):

Macie robić lekturę? – przepraszam – choć umiem
Po polsku, ale polskich wierszy nie rozumiem. ©℗

eprasa.pl aacf224baf

REPUBLIKA

Jak pobudka, tylko z nami! Zapraszamy do Republiki na pierwszy program śniadaniowy w Polsce. Styl życia, zdrowie, kultura, sztuka, edukacja, ciekawostki, aktywność fizyczna, historia, rodzina, prognoza pogody i kącik kulinarny. **Zapraszają Anna Popek i Rafał Patyra.**



Od poniedziałku do piątku

5:30

sobota i niedziela

7:05

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl aacf224baf



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

sky SHOWTIME

Czasy? Się zmieniają



★★★★★★

MINISERIAL
GLINA. NOWY ROZDZIAŁ
POLSKA 2025

wyst. Maciej Stuhr, Jacek Braciak, Nela Maciejewska

Trzeci sezon „Gliny", 17 lat po drugim. Czy warto było czekać? W sporej części recenzji, które czytałem, nostalgia bierze górę nad faktami. Te zaś są następujące: nawet Władysław Pasikowski nie uratuje produkcji, która ma kiepski scenariusz. A Maciej Stuhr nie ma charyzmy Jerzego Radziwiłowicza. Zamach na tego ostatniego (Gajewski) napędza akcję. Ale nie zamach z finału drugiego sezonu. Okazuje się, że przetrwał, służył dalej i spokojnie przeszedł na emeryturę. Dlaczego znów więc do niego strzelać? Wrogów narobił sobie wielu, a poza tym „na mieście już zapomniano, że nie wolno strzelać do glin".

Siłą rzeczy główne skrzypce gra zatem teraz Banaś (Maciej Stuhr), któremu pomaga jak za dawnych lat Jóźwiak (czyli Braciak). Banaś zdążył w czasie między sezonami poślubić córkę Gajewskiego, mieć z nią córkę i się rozstać, teraz więc to on może być tak lubianą przez kryminał figurą: samotnie popijającym twardzielem o złotym, ale złamanym sercu. Duet Stuhr – Braciak dostaje nową partnerkę (aspirant Tamarę Rudnik, którą gra Nela Maciejewska), której dopisano głupiutką politycznie poprawną przeszłość: wychowała się we Francji, na przedmieściach, gdzie wszyscy Arabowie byli mili, sympatyczni i dobrze wykształceni, a przemoc była sprawą białych.

Krótka seria (sześć odcinków) rozpada się na dwie części: w pierwszej straszą źli Rosjanie i Białorusini oraz wyborcy Konfederacji (których karykaturalnym symbolem jest były żołnierz zwolniony z armii za wpisy w Internecie), w drugiej pojawia się ulubiony bohater negatywny tygodnia „Nie" i TVN, czyli wstrętny klecha. Młody (ale w sumie już dość stary) Stuhr wygłasza z miną pełną przejęcia bzdury o milionach Polaków nienawidzących homoseksualistów. Bardzo słabe – przerażająco słabe – są tym razem dialogi: sztuczne, szeleszczące papierem. Bohaterowie nie rozmawiają, tylko wygłaszają opinie, zagadki kryminalne okazują się przekombinowane. Nie potrzebowaliśmy tego powrotu, tak jak nie potrzebujemy nowej serii „Ekstradycji" (swoją drogą świetnie napisanej), bo czasy się zmieniły. Inaczej się dziś pisze, inaczej opowiada i nowe pokolenie twórców seriali wspięło się na poziom niedostępny Pasikowskiemu i scenarzyście „Gliny", Maciejowi Maciejewskiemu. ©℗

GRA TYGODNIA: „FARMING SIMULATOR 25: HIGHLANDS FISHING EXPANSION"

★★★★★★

Duży dodatek do i tak wypchanej zawartością podstawki (w której do dyspozycji dostajemy trzy zróżnicowane mapy w Ameryce Północnej, Azji Wschodniej i Europie Środkowej, ponad 400 maszyn rolniczych od ponad 150 marek) przynosi kilka nowości. To po pierwsze nowa mapa – miasteczko Kinlaig, inspirowane Szkocją. Po drugie – nowe maszyny. Po trzecie – nowe uprawy i zwierzęta. W tym – ryby. I to te ostatnie są najciekawszą nowością. Nie tylko jako kolejna opcja hodowlana, lecz także sposób na relaks z wędką po całym tygodniu ciężkiej orki. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** ***symulator***
- ***Platforma:*** ***PS5, XSX, PC***
- ***Producent; wydawca PL:*** ***GIANTS Software; Cenega***

eprasa.pl aacf224baf

Pleciugi z Oslo

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. DAG JOHAN HAUGERUD
„MIŁOŚĆ" („KJÆRLIGHET")
NORWEGIA 2024

wyst. Andrea Bræin Hovig, Tayo Cittadella Jacobsen, Marte Engebrigtsen

Dag Johann Haugerud nazywa swoje kino „utopijnym", ponieważ lekceważy ono społeczne normy i konwenanse. Z aprobatą opowiada o ludziach będących kowalami własnego losu. Poddanie się presji otoczenia tudzież instytucji ograniczających wolność jednostki to prosty przepis na klęskę. Każdy ma prawo decydować, co zrobić ze swoim życiem. Wybór jest nieograniczony. Jesteś hedonistą? Nie ma sprawy, lecz altruizm może okazać się źródłem jeszcze większej satysfakcji. Samotność ci służy? W porządku, ale skoro nadarza się sposobność współtworzenia rodziny „patchworkowej", to warto spróbować i tego. Aplikacje randkowe są ostatnim krzykiem mody. Czemu jednak nie zdać się na przypadek lub sugestie koleżanki rajfurki?

Podobieństwo narracji Haugeruda do fabuł Érica Rohmera jest uderzające, nawet po uwzględnieniu kulturowych różnic między współczesną Skandynawią a niegdysiejszą Francją. Jako więzień stereotypów wolę jednak galijską finezję od nordyckiej dosadności i słowną szermierkę od gadulstwa. Bohaterowie „Miłości" – poza tym, że kochają swoją pracę – są prostodusznie wylewni. Bez oporów zwierzają się kolegom z pracy i przygodnym znajomym. Obstawiam, że prawdziwi mieszkańcy Oslo mogą mieć problem z identyfikowaniem się z tak skrojonymi postaciami. Tak to już jest: gdy za kamerą stanie pisarz, obraz przegrywa ze słowem. Norweska stolica nawet w letniej porze nie grzeszy urodą (chyba że jest się fanem ascetycznej architektury). Ale czy to wystarczający powód, by kręcić filmy przegadane? Myślę, że wątpię.

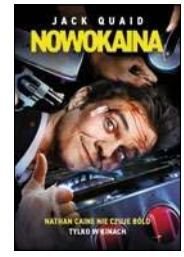
Podobnie rzecz ma się z humorem. Polskiego widza dywagacje o erotycznych podtekstach rzeźb zdobiących publiczne gmachy czy metafizycznych właściwościach skał raczej rozbawią. Norwescy protagoniści chyba traktują je serio. Zainteresowanych informuję, że „Miłość" to środkowa część tryptyku. „Seks" jakoś nas ominął, nagrodzone w Berlinie „Sny o miłości" lada moment zadebiutują w kinach. Moralitety, w których heteroseksualni mężczyźni odgrywają role drugo- i trzeciorzędne, plenią się obficie. ©℗

Wiesław Chełminiak

ŁOMOT W KAPSZTADZIE

SKYSHOWTIME

Zakochany bankier. Brzmi to pysznie, lecz jeśli czekacie na wyrafinowaną komedię, to porzućcie wszelką nadzieję. „Nowokaina" jest akcyjniakiem z podgrupy „uczciwy cherlak w garniaku masakruje zbirów spędzających każdą wolną chwilę w siłowni". Nathan ma wiele zalet i jedną wadę: zdumiewającą (jak na 30-latka) naiwność. Gdy bank zostanie splądrowany przez bandę przebierańców, bez wahania ruszy w pościg, żeby ocalić uprowadzoną podwładną. Jest bowiem odporny na ból, lecz nie na wdzięki niewieście. Quaid junior potwierdza, że nadaje się do tańca i do różańca. Kapsztad z powodzeniem udaje San Diego. Szkoda tylko, że w ferworze aranżowania scen tortur i mordobicia uznano, że jeden powielany po wielekroć pomysł może zastąpić scenariusz. ©℗



★★★☆☆☆

REŻ. DAN BERK, ROBERT OLSEN
„NOWOKAINA"
USA/KANADA/RPA 2025

wyst. Jack Quaid, Amber Midthunder, Ray Nicholson



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Obraz matki



FOT. PAWEŁ MURZYN/CKR W ZAKOPANEM

GDZIE?
Centrum Kultury Rodzimej w willi Czerwony Dwór w Zakopanem
KIEDY?
do 17 stycznia 2026 r.

Macierzyństwo jest tematem IV edycji ogólnopolskiego konkursu na malarstwo na szkle i rzeźbę w drewnie ogłoszonego przez Centrum Kultury Rodzimej w willi Czerwony Dwór w Zakopanem. Jego – konkursu – patronką jest Ewelina Pęksowa (1923–2015), najbardziej znana zakopiańska malarka na szkle, ambasadorka tej formy sztuki. Estetyka ludowa – niewymagana, choć autorzy znacznej części prac zdecydowali się ją zachować. Nic dziwnego, skoro przeważają twórcy z Podhala.

Na pokonkursowej wystawie prezentowana jest ponad setka prac. Wbrew współczesnym trendom ukazują piękno macierzyństwa. Celem konkursu i wystawy jest bowiem m.in. popularyzacja tradycyjnego modelu rodziny. Nie brakuje prac nawiązujących do tradycji chrześcijańskich przedstawień Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Są też prace odwołujące się do osobistych doświadczeń. A organizatorzy podkreślają znaczenie społeczne tego przedsięwzięcia. W dobie odwrotu od tradycyjnego modelu rodziny tym bardziej potrzebnego. ©℗

eprasa.pl aacf224baf

MOJA PÓŁKA

Platan Mariana Dąbrowskiego



KRZYSZTOF MASŁOŃ

Podtytuł książki mówi właściwie wszystko o jej zawartości: To „Opowieść o Marianie Dąbrowskim, twórcy największego koncernu medialnego II RP". Założycielu i szefie legendy polskiej prasy, „Ilustrowanego Kuriera Codziennego", na który przed wojną psioczono bez opamiętania, ale czytali go wszyscy, a kto w nim nie publikował – ten się nie liczył.

„Marian Dąbrowski – mówiąc dzisiejszym językiem – powiada autor książki, Piotr Legutko, nawiasem mówiąc eksnaczelny »Czasu Krakowskiego« i »Dziennika Polskiego« – był trendsetterem. Sprowadzał na polski rynek wszelkie medialne nowinki, chciał być nowoczesny, zawsze przed konkurencją. Choć pracował w branży Gutenberga, był jednocześnie wielkim fanem radia, założycielem i prezesem pierwszego w Krakowie Radioklubu, a także pionierem telegrafii fotograficznej, czyli przesyłania zdjęć za pomocą fal radiowych. W tym celu na dachu Pałacu Prasy umieścił antenę, dzięki której do redakcji błyskawicznie docierały zdjęcia, zamieszczane później w pismach koncernu". A „na frontonie pałacu – czytamy obok – zamontowano pierwszą w kraju tablicę świetlną, na której ukazywały się najnowsze informacje z kraju i ze świata. W epoce przedtelewizyjnej, gdy radio było luksusem, ludzie łaknący newsów gromadzili się w Krakowie właśnie u zbiegu Starowiślnej i Wielopola. Po wojnie tablicy już nie było, za to tradycja przetrwała, bo w witrynie pałacu wystawiano aktualne wydania krakowskich gazet, zażarte spory toczyli tam fani lokalnych rozgrywek piłkarskich. Jakie czasy, taki portal. I takie spory".

Ale sportem interesował się i sam Dąbrowski, nawet bardzo. Jeszcze jako gimnazjalista odnosił sukcesy w organizowanych przez Sokoła zawodach kościuszkowskich. Później uwielbiał szybką jazdę samochodem, propagował turystykę, zawsze zwracając uwagę na wychowawczą rolę sportu. Ale i sprawy kultury były mu bliskie. To on ufundował teatr Bagatela, hojnie wspomógł budowę nowoczesnego gmachu dla Muzeum Narodowego w Krakowie, przyczynił się do podjęcia prac badawczych na Kopcu Krakusa, zainicjował konkurs szopek krakowskich. Zresztą przykładał rękę do wszystkiego, co sensownego i wartościowego działo się pod Wawelem. Radnym miasta Krakowa był wybitnym, czego nie da się powiedzieć o jego działalności poselskiej, na Wiejskiej bowiem niespecjalnie się wysilał, choć w Sejmie zasiadał przez parę kadencji, dostając się tam z list PSL „Piast" i BBWR. Nie zdołał tego uczynić, kandydując z ramienia Polskiego Stronnictwa Republikańskiego, którego był współzałożycielem. Ten partyjny projekt okazał się efemerydą, a Dąbrowskiego utwierdził pewnie w przekonaniu, że na czynne uprawianie polityki szkoda jego cennego czasu, i odtąd zabiegał jedynie – za to jakże skutecznie – o poparcie najwyższych czynników w państwie, z czym nie miał większych problemów. Wbrew rozpowszechnionej opinii wcale nie kierował się w swoim postępowaniu jedynie zyskiem; potrafił np. zamknąć jakże dochodowego „Tajnego Detektywa" po zmasowanych atakach endecji i Kościoła na to pismo.

Wrzesień 1939 r. był dla niego katastrofą. Nie do pojęcia jest, jak ten człowiek, powszechnie nazywany magnatem, zarządzający koncernem szacowanym w 1932 r. na 1,5 mln dol., mógł w przededniu wojny beztrosko wyjechać za granicę, nie zabezpieczywszy niczego. Adam Radzikowski, jego spadkobierca, w rozmowie z autorem finalizującej książkę powiedział: „Choć trudno w to uwierzyć, on naprawdę płynął na wakacje, a nie uciekał". Na domiar złego pieniądze uzyskane ze sprzedaży willi w Nicei i biżuterii żony fatalnie zainwestował w Ameryce w fermę kur rasowych i w gruncie rzeczy aż do śmierci w roku 1958 (zmarł w swoje 80. urodziny) żył w niedostatku. Powrotu do rządzonego przez komunistów kraju nie brał pod uwagę, komuniści obsadzili go bowiem w roli czarnego luda, widząc w nim filar znienawidzonej sanacji.

Prochy Mariana Dąbrowskiego wróciły do kraju dopiero w 1991 r., by spocząć na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Czy przywrócono mu dobrą pamięć? Ujmując rzecz obrazowo – powiada Piotr Legutko – „on dał Krakowowi największy w tej części Europy koncern medialny, za co Kraków nazwał jego imieniem… platan przed Pałacem Prasy. I to dopiero w 2023 roku".

Adam Radzikowski wspomina, że marzyło mu się, żeby skwer przed Pałacem Prasy nazwać imieniem twórcy „Ikaca", na co jednak przeciwnicy Dąbrowskiego stale, a niesłusznie zarzucający mu antylewicowość (naprawdę to on był antybolszewicki) „absolutnie nie chcieli się zgodzić, przywoływali jakiś tam bzdurny przepis. Wtedy Robert Piaskowski, który był pełnomocnikiem prezydenta [prezydenta miasta Krakowa – przyp. K.M.], powiedział: »Nie kopmy się z koniem, posadźmy platan imienia Dąbrowskiego«. No i platan jest". ©℗



★★★★★
PIOTR LEGUTKO „MAGNAT Z PAŁACU PRASY" ESPRIT, KRAKÓW 2025

eprasa.pl aacf224baf



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ludzie jak ludzie

Paczka trafiła na biurko kilka dni temu; nie będę udawał, że wszystkie tomy już przeczytałem. Ale czytam i będę czytał latami, po kawałku, w kolejności nieoczywistej – każdy ma swój ulubiony sposób obcowania z klasykami. Anton Czechow w sześciu tomach i trzech odsłonach. Cztery tomy opowiadań (w tym młodzieńczych humoresek często publikowanych pod zmienionym nazwiskiem), zamykający całość tom utworów scenicznych, a między nimi twarz Czechowa najmniej chyba znana szerokiej publiczności, to znaczy Czechow non-fiction. Ten od wspaniałego i przerażającego dzieła „Sachalin", do którego dołączono nietłumaczone dotąd „Notatki z Syberii", by dać całości tytuł „Szkice podróżne". Co ważne, „Sachalin" po raz pierwszy ukazuje się z obszernymi przypisami godnymi rozprawy naukowej (za taką uważał swój tekst sam Czechow).

„Im więcej obiektywności, tym większe wrażenie" – pisał autor „Wiśniowego sadu" w jednym z listów, odradzając adeptom sztuki pisarskiej wypełnianie swych dzieł nadmiarem emocji. Czechow zatem to widz, obserwator, analityk – cóż, przypomnijmy, że mieliśmy do czynienia z lekarzem, których chłonął za młodu wszelkie dostępne dzieła na temat mody naukowej oraz poszerzania pola ludzkiej wiedzy. Nie oznacza to jednak, że jego utwory są przezroczyste, bez smaku i nijakie. Wręcz przeciwnie, Czechow daje nam ten jego charakterystyczny delikatny humor podszyty smutkiem, i ten smutek wywiedziony z trzeźwej obserwacji, że ludzie zielonego pojęcia nie mają, co robić ze swoim życiem i nazbyt często po prostu je marnują.

„Utwory wybrane" ukazują się w wyborze i opracowaniu Agnieszki i Roberta Papieskich, wzbogacone posłowiem tego ostatniego. Ze wszystkich rosyjskich pisarzy, którzy po inwazji Moskwy na Ukrainę zostali umieszczeni w wydawniczej kwarantannie, bez wątpienia Czechow najbardziej zasługiwał na uwolnienie – no bo przecież nie szowinista nienawidzący Zachodu, czyli Dostojewski (czyż cała „operacja specjalna" nie jest podszyta dostojewszczyzną?). W ostatnich latach tak wiele ukazało się książek analizujących tajniki duszy Rosjanina wojującego, zniewolonego, nienawistnego – słusznie, były potrzebne, byśmy rozumieli, skąd wzięło się szaleństwo. Czechow wznosi się ponad to, przyglądając się ludziom po prostu. A ludzie – wiadomo: jak ludzie. ©℗

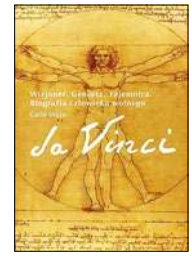


★★★★★★

ANTON CZECHOW „UTWORY WYBRANE", T. 1-6
PIW 2025

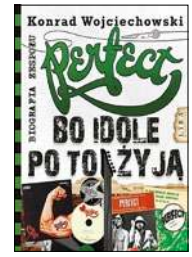
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Najnowsza biografia włoskiego geniusza (premiera włoska miała miejsce rok temu). O autorze „Mony Lisy" pisać można bez końca, przyjmijmy zatem i tę opowieść, mniej obszerną od dzieła Waltera Isaacsona, ale chyba mądrzejszą.



CARLO VECCE „DA VINCI"
ZNAK KONCEPT

Bogato ilustrowana historia zespołu, który mocno zaznaczył się w historii polskiego rocka. Bez lukru, nie na kolanach – oprócz nostalgii i ciekawostek jest więc portret Hołdysa raczej jako sprytnego biznesmena niż artysty.



KONRAD WOJCIECHOWSKI „PERFECT. BO IDOLE PO TO ŻYJĄ"
LIRA

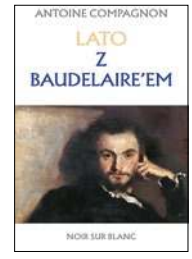
Szkice o fascynujących postaciach naszej historii. O Janie Zumbachu czy Ferdynandzie Antonim Ossendowskim pamiętamy więcej, o innych – jak Kazimierz Lux czy Ludwik Żychliński – mniej, więc warto wiedzę poszerzyć.



PIOTR MARCZAK „NIEZNANYCH POLAKÓW HISTORIE NIEZWYKŁE"
ODESFA

Lato dawno minęło, ale sława autora „Kwiatów zła" nie przemija. Z tego bardzo ciekawego wprowadzenia do biografii i twórczości wyłania się obraz nie tyle „poety wyklętego", ile trzeźwego obserwatora cywilizacyjnych zmian.

recenzuje Piotr Gociek



ANTOINE COMPAGNON „LATO Z BAUDELAIRE'EM"
NOIR SUR BLANC

KOMIKS TYGODNIA:
NIEBO NAD DZIECIŃSTWEM

Nad Miasteczkiem niebo jest najpiękniejsze na świecie, bo to miasteczko dzieciństwa braci Solano, czyli autorów tego albumu. Z zasłyszanych od rodziców opowieści i własnych wspomnień utkali wzruszającą antologię opowiastek o zwyczajnie nadzwyczajnych postaciach. Uroczy to komiks, coś w duchu prozy Oty Pavla, tyle że w realiach brazylijskich.



CAMILO SOLANO, ALDO SOLANO „MAŁE MIASTECZKO"
TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2025

Piotr Gociek

eprasa.pl aacf224baf

Chłopcy z zapałkami



FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER



Jan Fiedorczuk

Polska dyplomacja zdaje się stawiać na dalszą eskalację wojny na Ukrainie, upatrując w przeciągającym się konflikcie szans, a nie zagrożeń dla Polski. Sam minister Radosław Sikorski traktuje kierowanie MSZ jak grę komputerową i najwyraźniej nie przewiduje, że może w tej rozgrywce przegrać

Swawola, która znamionuje ministra Radosława Sikorskiego podczas udzielania wywiadów oraz korzystania z mediów społecznościowych, jest powszechnie znana. Dość przypomnieć jego głośne wystąpienie jeszcze za rządów PiS, gdy sugerował, że polskie władze rozważały udział w rozbiorach Ukrainy, albo gdy jakiś czas później twierdził, że białoruskie śmigłowce nad Białowieżą należało po prostu zestrzelić tudzież gdy publicznie dziękował USA za domniemane wysadzenie Nord Stream 2. Z tego powodu w jednym z tekstów dla „Do Rzeczy" (nr 19/2024) stwierdziłem, że Sikorski nie może się zdecydować, czy chce być wizjonerem dyplomacji (o czym zawsze marzył) czy zwykłym trollem (co praktykuje).

W ostatnich tygodniach minister z całą mocą przypomniał, że w jego osobie dominuje niestety to drugie oblicze. Wszystko zaczęło się od decyzji polskiego sądu, który nie wyraził zgody na wydanie stronie niemieckiej Wołodymyra Żurawlowa, podejrzanego o wysadzenie wspomnianego rurociągu Nord Stream, co z kolei szef węgierskiego MSZ, Péter Szijjártó, skomentował, stwierdzając, że sąd działał bezpośrednio na polecenie Donalda Tuska. O ile słowa Szijjártó były nie na miejscu, o tyle riposta Radosława Sikorskiego była iście bezprecedensowa. „Mam nadzieję, że wasz odważny rodak, major »Madziar«, wreszcie zdoła wysadzić rurociąg naftowy zasilający machinę wojenną Putina i że będziecie otrzymywać ropę przez Chorwację" – napisał polski minister w mediach społecznościowych. Oto szef dyplomacji zasugerował sojuszniczemu państwu, że ukraiński żołnierz – państwa spoza NATO – wysadzi kluczową dla Węgier infrastrukturę. Takiej nonszalancji polska dyplomacja w ostatnich 30 latach chyba jeszcze nie widziała. Nawet PiS, który za całe zło świata oskarżał Berlin, nie pozwolił sobie za swych rządów na publiczne nawoływanie do ataku na Niemcy.

Premier Węgier Viktor Orbán stwierdził wówczas, że słowa Sikorskiego to przejaw „wojennej psychozy", która może zniszczyć „tysiącletnią przyjaźń" między dwoma narodami, a jakiś czas później kontynuując tę wymianę uprzejmości, dodał, że Donald Tusk to jeden z „najgłośniejszych podżegaczy wojennych w Europie".

„F..K PUTIN!"

To właśnie powtarzające się, coraz ostrzejsze w swej wymowie wystąpienia premiera Tuska dotyczące wojny na Ukrainie najwyraźniej ośmielają ministra Sikorskiego do kolejnych popisów medialnych. Raptem we wrześniu szef polskiej dyplomacji sugerował, że Polska pod parasolem NATO powinna przechwytywać rosyjskie drony i rakiety już w ukraińskiej przestrzeni powietrznej. Wdrożenie takiego rozwiązania w życie nie musiałoby jeszcze oznaczać bezpośredniego wejścia do wojny, ale z pewnością byłoby grą na dalszą eskalację konfliktu.

„Nie ma ani takiego ryzyka, ani takiej ceny, której nie warto by zapłacić za pobicie Rosji teraz" – to słowa, które tuż po rozpoczęciu wojny napisał Jan Rokita. Niebezpieczeństwa związane z tak pojętą strategią są oczywiste – taka cena istnieje i jest nią bezpieczeństwo państwa polskiego, którego nie można składać na ołtarzu ukraińskich interesów. PiS jednak w okresie 2022–2023 zachowywał się, jakby to właśnie Rokita pisał oficjalną linię polskiej dyplomacji, a obecnie analogicznie postępuje Radosław Sikorski. Bo – czego ludzie myślący w kategoriach zero-jedynkowych nie potrafią rozróżniać – problemem nie jest sam fakt pomagania Kijowowi, tylko dezynwoltura, z którą prowadzona jest polska dyplomacja. Szef MSZ rzuca w przestrzeń medialną kolejne coraz bardziej brawurowe pomysły, a politykę prowadzi tak, jakby to była gra komputerowa – wystarczy zrobić „save", a po przegranej rozgrywce załadować sesję od początku i spróbować jeszcze raz.

Bodaj najbardziej absurdalna wypowiedź szefa polskiej dyplomacji miała miejsce kilka tygodni temu, gdy Sikorski stwierdził, że Polska mogłaby de facto aresztować Władimira Putina, gdyby ten próbował lecieć nad polskim terytorium na spotkanie z Donaldem Trumpem. „Nie jesteśmy w stanie zagwarantować, że niezawisły sąd nie nakaże rządowi zatrzymać takiego samolotu, w celu doprowadzenia podejrzanego do trybunału w Hadze" – drwił szef MSZ. Przypuśćmy jednak na chwilę,

eprasa.pl aacf224baf

że ten scenariusz się realizuje – Sikorski podrywa myśliwce, Putin w kajdankach zostaje wsadzony do więzienia. Co dalej? Gdyż wówczas wchodzimy w bezpośredni konflikt z Moskwą, a zarazem ściągamy na siebie gniew prezydenta USA.

Oczywiście Sikorski nie rozważał realnych konsekwencji swych słów. Minister folguje swej ułańskiej fantazji, wiedząc, że jego groźbom nikt nie powie „sprawdzam". W rzeczywistości Putinowi lecącemu na spotkanie z Donaldem Trumpem włos by nie spadł z głowy, tak samo jak nie spadłby Beniaminowi Netanjahu, którego aresztowania domaga się wspomniany Trybunał w Hadze, ale któremu to polskie władze wydały żelazny list pod postacią specjalnej uchwały.

Śladami szefa polskiej dyplomacji kroczy choćby wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk, który komentując rządowy raport o pomocy Ukrainie, napisał w mediach społecznościowych: „And much more! F..k Putin!". Następnie, gdy bojowe emocje już opadły, polityk usunął wulgarny wpis. Z podobnych buńczucznych pogróżek utrzymanych w tonie słynnego wystąpienia marszałka Hołowni, który groził prezydentowi Rosji „wgnieceniem w ziemię", nie wynika nic konkretnego poza pompowaniem własnego ego przed followersami w mediach społecznościowych. Przykładem tego była wrześniowa przemowa posła KO Witolda Zembaczyńskiego, który stwierdził, że „sowiecki mental rozumie tylko prawo siły", w związku z czym polityk zaproponował grę w eskalację sporu z Rosją, by „za każdym razem, kiedy coś niechcący wleci w naszą przestrzeń powietrzną, coś niechcący powinno wlecieć do obwodu kaliningradzkiego z naszej strony". Sam Zembaczyński zresztą wydaje się już tkwić w quasi-wojennej malignie. Po tym, jak rosyjskie drony wleciały na polskie terytorium, poseł KO stwierdził bowiem, że oto na naszych oczach „pierwszy raz w historii NATO toczyła się na naszym terytorium właściwie bitwa powietrzna, w której neutralizowano środki napadu powietrznego". Zapomniał tylko dodać, że niektóre „środki napadu" były tak neutralizowane, że się rozbijały o polskie błoto niedostrzeżone przez nikogo.

Oczywiście działania Sikorskiego i szeregowych posłów są jedynie refleksem polityki samego Donalda Tuska. Polski premier w przeszłości wielokrotnie spierał się z Orbánem, a od miesięcy wyraźnie zaostrza linię względem wojny rosyjsko-ukraińskiej. – Chcę bardzo wyraźnie powiedzieć i chciałbym, żeby moi rodacy usłyszeli te słowa. Ta wojna to jest też nasza wojna – mówił niedawno szef rządu na Warsaw Security Forum. Premier przekonywał, że obecna sytuacja na Ukrainie „jest tylko częścią tego upiornego projektu", którego celem jest zniewolenie narodów i triumf autorytaryzmu. Premier ostrzegał również, że „jeśli tę wojnę przegramy, to konsekwencje tego dotykać będą nie tylko naszego pokolenia, ale także następnych pokoleń".

Nie kwestionując oceny, że upadek Ukrainy miałby fatalny wpływ na polską sytuację geopolityczną, warto jednak ostudzić te emocje i zwrócić uwagę, że całe szczęście Polski w obecnej sytuacji polega na tym, że wbrew słowom premiera właśnie nie jesteśmy w stanie wojny. Nasz kraj wspiera Ukrainę, wysyła

REKLAMA



eprasa.pl aacf224baf

pomoc, zabiega o jej interesy na arenie międzynarodowej. Czy coś się zmieniło, co tłumaczyłoby nową retorykę premiera? Oczywiście możemy uznać, że Donald Tusk nie straszy wojną, by ratować swoją sytuację na scenie politycznej, tylko faktycznie wie coś o planach Rosjan, czego my nie wiemy. Jeżeli scenariusz eskalacji konfliktu na Wschodzie jest realny, to pojawia się poważne pytanie o to, dlaczego państwo polskie jest całkowicie nieprzygotowane na taki scenariusz. Ten czysto retoryczny charakter wzmożenia premiera obnaża choćby seria zaniedbań w tak podstawowym temacie, którym są schrony wojenne. Niedawny raport NIK ujawnił, że zaledwie 4 proc. społeczeństwa ma obecnie zapewnione miejsce w schronach. Wiceszef MSWiA Wiesław Leśniakiewicz przyznał z kolei, że w Polsce nie wybudowano żadnego nowego schronu od 2010 r. Co więcej, problemem nie są braki budżetowe, tylko zwykłe niechlujstwo, gdyż – jak wskazują samorządy – budowę nowych schronów blokuje brak rozporządzeń technicznych precyzujących, jakie standardy powinny spełniać takie obiekty. A zatem przez siedem lat rządów KO i osiem lat rządów PiS bagatelizowano kwestię, która miałaby pierwszorzędne znaczenie w przypadku rosyjskiej inwazji, a dzisiaj premier wychodzi i rzuca górnolotne hasła o konieczności partycypacji państwa polskiego w „naszej wojnie".

Schrony to jeden temat. Innym przykładem może być naruszenie polskiej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie drony. Stało się to dosłownie tydzień po tym, gdy w „Do Rzeczy" wypuściliśmy numer „Dziurawe niebo nad Polską", gdzie Piotr Włoczyk w tekście okładkowym pisał, że polska przestrzeń powietrzna jest de facto niechroniona. Kilka dni później na polskie terytorium wleciała grupa rosyjskich dronów. Rekordzista tej „bitwy powietrznej" doleciał do okolic Oleśna w powiecie elbląskim, dwa kolejne spadły kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy. Maszyny mogły uderzyć w domy, w budynki administracji, w szkoły. Polskie władze były bezradne.

Jak zatem można traktować na poważnie zapewnienia premiera Tuska, który mówi, że wojna na Ukrainie jest „nasza", że Polska musi się bardziej zaangażować etc., skoro jego ekipa (i jego poprzedników) nie przygotowała państwa nawet na atak dronów, nie mówiąc o pełnowymiarowym zagrożeniu? Do tego pojawia się pytanie retoryczne: Skoro premier wyznaje doktrynę Jana Rokity, zgodnie z którą „nie ma ani takiego ryzyka, ani takiej ceny, której nie warto by zapłacić za pobicie Rosji teraz", to dlaczego jak ognia unika deklaracji dotyczących wysłania polskich wojsk na Ukrainę? Dlaczego odmawia Wielkiej Brytanii i Francji udziału w tzw. koalicji chętnych, wiedząc, że bez Polski taka „misja stabilizacyjna" de facto traci rację bytu?

Nasze władze na czele z ministrem Sikorskim najwyraźniej nie przyjmują do wiadomości, że sytuacja Ukrainy się pogarsza, i zachowują się, jakby chciały walczyć z Władimirem Putinem do ostatniego Ukraińca

Brak tu jakiejkolwiek logiki. Albo premier kłamie na temat bezpośredniego zagrożenia rosyjską inwazją i gra na naturalnym strachu społeczeństwa dla ratowania sondaży, albo ignoruje śmiertelne niebezpieczeństwo i woli zajmować się związkami partnerskimi, sprzeczkami w koalicji i rozliczeniami PiS niż przygotowaniem państwa na rosyjski atak. Zauważmy też na marginesie, że podobną do Tuska retorykę stosują Emmanuel Macron, Keir Starmer oraz Friedrich Merz – wszyscy przywódcy zmagający się z olbrzymimi problemami w swych krajach i notujący rekordowo złe sondaże.

NIEBEZPIECZNA ZABAWA

Polscy politycy en masse odbijają się od dwóch skrajności, które najmocniej dają o sobie znać bodaj w osobie Pawła Kowala. Poseł KO wygłasza bowiem często stanowiska po prostu ze sobą sprzeczne. Z jednej strony może on przekonywać, że jedynie pełne zwycięstwo Ukrainy jest akceptowalnym scenariuszem, a rozpad Rosji i Norymberga dla Władimira Putina to niemalże plan minimum, aby następnie płynnie przeskoczyć do wizji rosyjskiej ekspansji oraz inwazji na Polskę (przez jakiś czas przewijał się rok 2030, ostatnio natomiast dominuje już 2027).

Z rosyjskiego zagrożenia nie należy drwić, ale zauważmy tę swoistą psychozę polskiej polityki, gdzie niemal wszystko sprowadza się do czczej gadaniny. Jeżeli faktycznie wojna może rozlać się na sąsiednie kraje, to logiczne wydaje się, że polskie władze powinny dążyć do jak najszybszej deeskalacji konfliktu, nawet kosztem ukraińskiego terytorium czy aspiracji Kijowa, dotyczących NATO i UE. Otrzymujemy coś wprost odwrotnego – rządzący działają, jakby liczyli na zaognienie sprawy, stając twardo za członkostwem Ukrainy w zachodnich strukturach i nie chcąc słyszeć o utracie przez to państwo terytorium. Przy okazji grożą strzelaniem do białoruskich śmigłowców i aresztowaniem Władimira Putina. Jeżeli spojrzeć z dystansu na politykę Warszawy, to widać wyraźnie, że polskie władze zachowują się, jakby były wręcz przekonane, że żadna wojna nam nie grozi, można więc z Rosją „grać na ostro" dla podbudowy własnego wizerunku. Igrają z ogniem, zapalając zapałki nad rosyjskim kanistrem.

Pomimo miliardów euro, amerykańskich dostaw broni, sankcji gospodarczych oraz bohaterskiej postawy ukraińskich żołnierzy Rosjanie utrzymują przewagę na polu bitwy i to na ich korzyść gra czas. Grupa jastrzębi liczyła, że w przeciągającym się konflikcie to Rosja się wykrwawi. Jednak jak opisywał niedawno „The Economist", to Ukraina zmierza w stronę bankructwa, a funduszy ma jej starczyć zaledwie do lutego 2026 r. Brytyjski tygodnik wyrokował, że albo UE zwielokrotni swoją pomoc finansową, albo gospodarka państwa się załamie. Przedłużanie konfliktu w obecnym kształcie musi zatem prowadzić do stopniowego pogarszania sytuacji Ukrainy na froncie i dalszej dewastacji państwa – a pośrednio osłabiania polskiej pozycji. Jednak nasze władze na czele z ministrem Sikorskim najwyraźniej nie przyjmują tego do wiadomości, zachowując się, jakby chciały walczyć z Władimirem Putinem do ostatniego Ukraińca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf



FOT. TYGODNIK DO RZECZY/YOUTUBE

Czy na Zachodzie czeka nas powszechny zamordyzm?



Paweł Lisicki



Rafał A. Ziemkiewicz

Jeden rząd, jedna waluta, jeden język, jednakowe poglądy... Kto marzy o wprowadzeniu powszechnego zamordyzmu? I czy ten plan się powiedzie? Poniższa rozmowa Pawła Lisickiego i Rafała A. Ziemkiewicza to fragment ich najnowszej wspólnej książki. Podobne rozmowy obu publicystów na DoRzeczy.pl dla subskrybentów DoRzeczy+

PAWEŁ LISICKI: Porozmawiamy dziś o Klausie Schwabie, postaci już nieco przebrzmiałej, ale przez długie lata jednym z najważniejszych, a przynajmniej najgłośniejszych działaczy agendy globalistycznej, założycielu sławnego Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. Zacząłbym, jeżeli pozwolisz, od szerszej definicji tego, kim był Schwab i co reprezentował. Moim zdaniem to jedna z najważniejszych postaci ostatnich dziesięcioleci. Głównym celem Klausa Schwaba od początku istnienia Światowego Forum Ekonomicznego było dążenie do powstania jednolitego rządu światowego i nowej, powszechnej tyranii grup oświeconych. Pierwszy etap stanowiło przygotowanie i wyszkolenie odpowiednich elit politycznych i biznesowych, które to miały stać się główną siłą na rzecz jedności, globalizacji, inkluzywizmu, różnorodności kulturowej i tym podobnych idei. Klaus Schwab działał niejako na dwóch poziomach. Na poziomie, nazwijmy to, publicznym wspierał spotkania, wymianę myśli, doświadczeń tych młodych liderów – czy to polityków, czy menedżerów – którzy zgadzali się z ideą jednego światowego rządu i jednej, światowej, uregulowanej odgórnie gospodarki. Uważali, że dotychczasowa gospodarka, oparta na nienaruszalnym prawie własności, musi ulec drastycznej przemianie, bo nowe wyzwania mają na tyle powszechny i globalny charakter, że wymagają globalnej, powszechnej odpowiedzi. Nie da się np. zwalczyć kryzysu klimatycznego tylko w jednym państwie, dlatego potrzebny jest rząd światowy.

Na głębszym poziomie, który można określić jako metafizyczny, chodziło o wykreowanie nowego typu człowieka, o przekroczenie natury ludzkiej, o mutację świadomości. Dlatego swego rodzaju prorokiem Schwaba został Yuval Noah Harari. Czasem trudno odróżnić, co jest pomysłem Hararigo, a co pomysłem Schwaba. U jednego i u drugiego pojawiła się idea transczłowieka, a więc człowieka zmodyfikowanego technologicznie, jakiegoś nadczłowieka, supermena, hybrydy ludzko-komputerowej. Jego powstanie byłoby możliwe tylko w sytuacji, gdyby wcześniej powstały odpowiednio ujednolicone, globalne struktury państwowe, bo tylko rząd światowy mógłby zorganizować produkcję takich neoludzi. Dlatego Schwab był skrajnym etatystą, opowiadał się za kontrolą państwa, które to jako jedyny właściwy podmiot mogłoby tworzyć nowy typ człowieka. Nic dziwnego, że często powoływał się z uznaniem i podziwem np. na Chiny, prawdziwy ideał globalistów.

Z nazwiskiem Schwaba łączy się też idea wielkiego resetu, o którym Schwab zaczął wspominać podczas tzw. pandemii COVID-19. Trudno do końca powiedzieć, co było mrzonką, a co technokratyczną utopią. Pewne jest jedno: realizacja projektu z Davos zakładała drastyczne ograniczenie jednostkowej wolności, omnipotencję państwa i całkowitą kontrolę, za pośrednictwem technologii, nad obywatelem. Oznaczała też upadek odrębnych państw i pociągała za sobą kres narodów. W wizji z Davos nie było też miejsca dla tradycyjnej religii. Religia mogła być tolerowana jedynie jako niejasny, płynny, niekreślony, ciągle ewoluujący stan duchowości. Można by tu dostrzec osobliwy melanż. Z jednej

eprasa.pl aacf224baf

strony widać wpływ idei komunistycznych – ograniczenie lub eliminację własności prywatnej i wolności słowa; z drugiej można zauważyć liberalną wiarę w postęp; z trzeciej pojawia się gnostyckie przekonanie o tym, że istnieje grupa uprzywilejowanych z dostępem do wiedzy na temat przyszłości; wreszcie z czwartej widoczny jest społeczny darwinizm, zgodnie z którym człowiek to jedynie kolejna forma ewolucji, wyższa forma zwierzęcia, które to zostanie zastąpione przez jeszcze wyższą… Tą najwyższą formą człowieczeństwa będzie pojawienie się gatunku hybryd zwierzęco-technologicznych.

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ: Wspomniałeś o Chinach, dlatego żeby wprowadzić dyskusję od razu na bardzo ciekawe tory, przypomnę, że Klaus Schwab już podczas trwania wojny na Ukrainie odbył w Chinach wizytę. Wojny, której Pekin jest zarówno główną siłą sprawczą, jak i największym beneficjentem. Schwab pojechał do Państwa Środka – i wychwalał chiński system jako wzorcowy i wyznaczający nowe globalne trendy. Jest chyba bardzo wymowne, że cały Zachód, ze swoimi czujnymi mediami, które nieustannie tropią zagrożenia dla praworządności, ostrzegają przed populizmem i przed możliwym końcem liberalnej demokracji, całkowicie tę podróż przegapił. A przecież szef Światowego Forum Ekonomicznego, człowiek niesamowicie wpływowy, pojechał do państwa totalitarnego, zbrodniczego, w którym funkcjonują obozy pracy, stosuje się pracę przymusową, egzekucje, masowy terror i wszechobecną inwigilację. Oczywiście wszyscy tam jeżdżą, bo robią interesy, ale żaden z zachodnich przywódców – ani kanclerz Niemiec, ani prezydent Francji – nie odważyłby się na tak otwarcie pochwalne słowa. Tymczasem Schwab jedzie i bez żenady mówi: „Tak, to jest wzór”. O, przepraszam, coś się jednak wydarzyło, była reakcja: przypomniała się jakaś kobieta, która twierdzi, że Schwab kiedyś złapał ją za spódnicę. To jest przewinienie, a nie pochwała totalitarnego reżimu Chin…

P.L.: Przejdę teraz do jednego, konkretnego tekstu Schwaba. Mam na myśli wprowadzenie, jakie Schwab napisał do corocznego raportu Światowego Forum Ekonomicznego, obejmującego lata 2023–2024. Stwierdza on tam, że świat stoi u progu głębokiej, systemowej transformacji. Według Niemca przechodzimy z epoki industrialnej do wieku sztucznej inteligencji. Nie chodzi już tylko o kolejną zmianę technologiczną, ale o transformację wszystkich wymiarów ludzkiej egzystencji: natury, kultury, relacji społecznych. Pada tu mnóstwo górnolotnych słów, ale sedno tkwi w tym, że sztuczna inteligencja ma być czynnikiem radykalnej zmiany. To pierwszy i podstawowy punkt tej nowej epoki.



PAWEŁ LISICKI, RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ „ELEKTORAT WSZYSTKO ŁYKNIE” FABRYKA SŁÓW 2025

R.A.Z.: Ale to przecież nie znaczy, że przemysł zniknie. Chodzi raczej o to, że władcy świata zmieniają właśnie narzędzia. Jeśli mówimy o tej całej histerii wokół sztucznej inteligencji, to trzeba jasno powiedzieć: to jest narzędzie, które pozwala na bardzo precyzyjne modelowanie procesów społecznych, a co za tym idzie – umożliwia ich kontrolę. Gdyby Stalin miał do dyspozycji takie instrumenty albo gdyby miał je Reinhard Heydrich, jeden z głównych organizatorów Holokaustu…

[...]

P.L.: Epoka sztucznej inteligencji ma polegać, jak rozumiem, na pełnej kontroli nad naszymi umysłami i zachowaniami. Oczywiście wszystko to w imię naszego dobra. A kontrolę sprawować będą ci, którzy tę rzeczywistość zaprogramują w odpowiedni sposób – czyli tak, żeby nikt nie podskakiwał.

R.A.Z.: Dokładnie. Pytanie tylko, co to znaczy „w odpowiedni sposób”? Generalnie chodzi chyba o to, by zaprogramować wszystkich tak, żeby jak najwięcej konsumowali i byli możliwie najwdzięczniejszą rzeszą niewolników. W czasach stalinowskich rosyjski fizjolog Iwan Pawłow dostarczył rzekomo naukowych podstaw do teorii, że można stworzyć nowe społeczeństwo, wykorzystując metody, które działają w przypadku warunkowania psów. Teraz ta wizja powraca, bo pojawiła się nowa technologia, czyli sztuczna inteligencja, samouczące się algorytmy, które wydają się narzędziem idealnym do realizacji paskudnej wizji świata złożonego z doskonale ukształtowanych niewolników.

P.L.: Przejdźmy teraz do kolejnych punktów wizji Schwaba. Może najpierw je szybko wymienię, a potem zatrzymamy się przy niektórych z nich, bo naprawdę warto. Klaus Schwab wskazuje pięć głównych przesunięć cywilizacyjnych. O pierwszym już mówiliśmy: przejście od epoki przemysłowej do epoki sztucznej inteligencji. Drugi punkt to konfliktowe przejście od systemu jednobiegunowego do świata wielobiegunowego. Trzeci: konieczność przejścia na zieloną gospodarkę. Czwarty to demograficzna transformacja: od społeczeństw młodych do społeczeństw się starzejących. I wreszcie piąty: polaryzacja społeczna oraz wzrost misinformation, czyli rozpowszechniania fałszywych informacji. Jeśli spojrzeć na te punkty łącznie, to staje się oczywiste, że jedyną drogą do realizacji jego wizji musi być pełna koordynacja działań wszystkich rządów, biznesów i społeczeństw.

R.A.Z.: Mamy do czynienia z dziwnym pomieszaniem całkiem szalonych idei i odrobiny rozsądku, jak to często bywa u tego rodzaju wizjonerów. Pomysł, że cały świat da się globalnie zmusić do współpracy na rzecz czegoś, co, delikatnie mówiąc, leży w interesie tylko niektórych, jest cokolwiek naiwny. Według Schwaba Indie czy Chiny powinny się podporządkować zachodnim ośrodkom w rodzaju Davos. Właściwie dlaczego jednak właśnie tak? A może to Zachód ma się podporządkować Chinom? Chińczycy nie wygłaszają takich globalistycznych manifestów jak Schwab. Oni po prostu robią swoje, krok po kroku, realizując stopniowo małe, ograniczone cele. Jeśli zatem taki Klaus Schwab zaczyna od stwierdzenia, że coś „trzeba zrobić”, bo to „imperatyw moralny”, to trudno nawet o poważny komentarz.

[...]

P.L.: Realizacja koncepcji Schwaba oznaczałaby, że ktoś musiałby mieć realną władzę globalną, w tym nad Stanami Zjednoczonymi, Chinami, Rosją i Unią Europejską.

R.A.Z.: I nad krajami rozwijającymi się, które wyraźnie mówią, że nie pozwolą sobie narzucić tego modelu, chyba że drogą zbrojnego podboju. Mają silny argument: bo cała ta „zielona transformacja” to gigantyczny, globalny szwindel. Bogate państwa, które dorobiły się kosztem środowiska, teraz chcą zablokować innym możliwość rozwoju.

P.L.: Przez pewien czas to podejście było także obecne w Polsce. Kiedy PiS doszedł do władzy w 2015 r., wiele razy słyszeliśmy

eprasa.pl aacf224baf

deklaracje, że będziemy bronić węgla i nie damy sobie narzucić szaleństw Zielonego Ładu. A potem się okazało, że jednak daliśmy sobie narzucić. I to właśnie w taki sposób, to znaczy siłą.

R.A.Z.: Siłą albo raczej przez korupcję elit. Dzisiejszy Zachód nie działa już tak, jak w XIX w. Wówczas miał wprawdzie również moralne poczucie wyższości, ale zarazem przewagę demograficzną. Wtedy biali ludzie stanowili liczebnie większość – czarnych i żółtych, razem wziętych, było mniej. W tej chwili jest dokładnie odwrotnie. To pieniądze nadal są skupione głównie na Zachodzie, choć oczywiście i tu proporcje ulegają zmianie. Unia Europejska, jak wiele zachodnich instytucji, opiera swój wpływ na kolonialnym schemacie: kupuje elity w takich krajach jak Polska, tak jak dawniej kupowano lokalnych kacyków w Afryce czy Indiach. Ta metoda działa jednak tylko do czasu, bo w końcu podwładni tych kacyków się buntują. Wtedy metropolia musi albo wysłać siłę porządkową, o czym marzy Donald Tusk, albo po prostu siadać na statki i się zwijać. Zielona energia wpisuje się w ten kolonialny schemat. Mam podejrzenie, że gdy wyczerpały się klasyczne sposoby zarabiania, trzeba było po prostu wymyślić nowe. Tak zrobiono: stworzyć produkt, który cały świat będzie musiał kupować, bo wszystkich zmusi się do zielonej transformacji.

P.L.: Przy okazji Polski zwróć uwagę, że ogół liczących się polskich polityków, tak z PiS, jak z PO, bywał w Davos. Regularnie występowali tam i prezydent Andrzej Duda, i premier Mateusz Morawiecki, i premier Donald Tusk. Nie słyszałem, żeby którykolwiek z nich podniósł w Davos kwestię obrony suwerenności, sprzeciwił się ideologii aborcjonistycznej, jasno nazwał szaleństwo genderowe, opowiedział się śmiało przeciw klimatyzmowi. Występowali tam raczej w roli aktorów drugoplanowych, byli tłem dla reszty. Nic nie wskazuje na to, by odgrywali w Davos osobną rolę, raczej cieszyli się z tego, że dopuszczono ich do stołu wielkich tego świata. Dobrym przykładem takiego podejścia było spotkanie w Poznaniu, podczas konferencji Impact, premiera Mateusza Morawieckiego i Yuvala Noaha Hararigo. Można powiedzieć, że polscy politycy wykazywali się pewną podległością wobec Forum i całego tego środowiska, typową dla polskich elit w ogóle, niestety także prawicowych. To kolejny przejaw kompleksu niższości wobec Zachodu. Wracając jednak do głównego wątku, czyli samego Schwaba… Musimy wspomnieć o specyficznej nowomowie pana Klausa Schwaba i jego środowiska. Język, którym się posługują, to czysta abstrakcja. Słowa brzmią górnolotnie, są abstrakcyjne i w gruncie rzeczy trudno zrozumieć, co się za nimi kryje. Weźmy choćby fragment rocznego raportu Światowego Forum Ekonomicznego, w którym Schwab mówi o potrzebie walki z „rosnącą polaryzacją" i „fałszywą informacją", czyli słynnym „misinformation". Jakie proponuje rozwiązanie? „Wspieranie dialogu inkluzywnego", „tworzenie środowisk, gdzie różne poglądy i tożsamości mogą harmonijnie koegzystować". Takim bełkotem wypełniony jest ten jego dokument.

R.A.Z.: Można sobie wyobrazić jakiś międzynarodowy zjazd komunistyczny z czasów szczytu potęgi, kiedy Stalin i Georgi Dimitrow marzyli o światowej rewolucji. Opowiadają, jak zbudują nowy wspaniały świat, ruszą bryły świata z posad… Wtedy za tymi słowami szła realna siła. Sowiecka Rosja rozgrabiła gigantyczny majątek, który w całości przeznaczyła na światową rewolucję. Mieli pieniądze, mieli uzbrojone wojska, najsilniejsze na świecie, we wszystkich krajach płatne agentury. Ich ideologia była nowa, komunizm uwodził ogromne grupy ludzi, często wpływowych i gotowych do tego, by szerzyć w swoim demokratycznym kraju czerwoną zarazę. Kiedy w takich warunkach Dimitrow mówił na jakimś zebraniu o wielkich planach, to brzmiało to naprawdę groźnie. Już za czasów Breżniewa wszystko wyglądało inaczej. Niby istnieje dalej KGB, są pieniądze na agentury, ale to już nie było to samo… Zastanawiam się, na jakim etapie był Schwab? Ja regularnie czytałem jego materiały z Davos. Kiedyś były w nich konkretne, groźne postulaty – jak choćby wprowadzenie jednej światowej waluty. Zapowiadano to na 2020 r. Nie wyszło. Wprawdzie wszyscy bankierzy świata się na to zgadzają, tyle że każdy by chciał, żeby tą jedną była jego własna waluta. Schwab mówił też o wprowadzeniu elektronicznego pieniądza, likwidacji gotówki…

P.L.: W tych wszystkich abstrakcyjnych pogawędkach jest jeden konkret – Światowe Forum Ekonomiczne wzywa rządy i korporacje do walki z „nadmiarem dezinformacji" w mediach społecznościowych. To już brzmi poważnie.

R.A.Z.: Owszem, ale wykonanie tego będzie trudne. Zawsze znajdzie się ktoś pokroju Elona Muska – ewidentny zdrajca swojej klasy, który prowadzi zupełnie inną politykę. Załóżmy, że uda się go uderzyć bojkotem reklamowym. Zaraz pojawi się kolejny podobny człowiek. Poza tym co to w ogóle znaczy „misinformacja" czy te wszystkie „fake newsy"? Przecież np. to, co mówimy o zielonej energii, z miejsca zostanie uznane za „misinformację".

[…]

P.L.: Niebezpieczeństwo polega na tym, że sposób myślenia polegający na walce z tzw. fałszywą informacją, czyli z dezinformacją, zaczyna się coraz częściej pojawiać w oficjalnych wystąpieniach unijnych komisarzy, jak Ursula von der Leyen. Są już konkretne dyrektywy, które mają zobowiązać państwa członkowskie do wdrażania rozwiązań przeciwko dezinformacji.

R.A.Z.: Bo słowo jest bronią. Pojawiają się informacje, które obnażają fikcję ocieplenia wywołanego rzekomo przez człowieka. A jeśli to jest fikcja, to cała polityka klimatyczna oparta na tym micie jest po prostu grabieżą i bandytyzmem. Tym zresztą właśnie jest – i trzeba to mówić dopóty, dopóki jeszcze można.

Chciałbym zwrócić jeszcze uwagę na pewną bardzo ciekawą rzecz, mianowicie na adresatów Schwaba. Do kogo on się tak naprawdę zwraca? Do rządów? Do parlamentów? Nie. On mówi do korporacji. To one mają wymusić nowe porządki. Mamy więc wizję świata już nie tyle postindustrialnego, ile postpaństwowego. Świata sprywatyzowanego, w którym rządy, nawet te nominalnie demokratyczne, są coraz bardziej marginalizowane, a realną władzę mają zarządy korporacji.

P.L.: Korporacje okazały się doskonałym środowiskiem do wdrażania tej ideologii zamordyzmu. Ich pracownicy muszą się podporządkować narzuconemu językowi, tym wszystkim kursom i szkoleniom. To jest kompletny absurd, ale nie ma innego wyjścia, jeżeli nie chcą stracić pracy.

R.A.Z.: Czyli jak w partii. Szkolenie ideologiczne, potem sprawdzian z poprawności językowej i lojalności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf

Sweter Ławrowa





Filip Memches

Miarą suwerenności państwa polskiego jest to, że samo decyduje o tym, jakie wojska mają stacjonować na jego terytorium. I Kremlowi nic do tego – polemika z tekstem Adama Wielomskiego „Czy Putin jest Stalinem 2.0?" („Do Rzeczy" nr 46/2025)

Antykomunizm wiecznie żywy. Tak można skomentować perspektywę, z której wielu uczestników polskiego życia publicznego patrzy na współczesną Federację Rosyjską. Papierkiem lakmusowym był pewien epizod, do którego doszło podczas szczytu amerykańsko-rosyjskiego na Alasce w sierpniu bieżącego roku. Otóż Władimirowi Putinowi podczas jego spotkania z Donaldem Trumpem towarzyszył Siergiej Ławrow. Szef rosyjskiej dyplomacji przybył do Anchorage w swetrze z rzucającym się w oczy napisem „ZSRS" (po rosyjsku zapisanym grażdanką: „СССР").

W stosunkach międzynarodowych gesty są znaczące. Ławrow całkiem świadomie wybrał taką garderobę. Kto miał zrozumieć, o co mu chodzi, ten zrozumiał. A na reakcje polskich internautów nie trzeba było długo czekać. Spośród tych głosów warto odnotować wpis na X, w którym pewien dyplomata z powodu akronimu na swetrze rosyjskiego polityka wyraził oburzenie. Stwierdził, że napis „ZSRR" to „symbol tyranii" (w domyśle: dyktatury Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego), a zachowanie Ławrowa można byłoby porównać do hipotetycznej sytuacji, w której jakiś niemiecki dygnitarz założyłby na siebie bluzę z napisem „NSDAP".

W świetle polskiej polityki historycznej ów dyplomata zareagował właściwie. Zakłada ona, że państwo polskie na arenie międzynarodowej powinno przypominać, iż II Rzeczpospolita padła ofiarą dwóch totalitaryzmów: brunatnego i czerwonego, których wcieleniem były III Rzesza i Związek Sowiecki. Dlatego należy przestrzegać świat przed bagatelizacją ponurej przeszłości i jeśli jakikolwiek polityk (zwłaszcza niemiecki czy rosyjski) uderza w nostalgiczne tony względem któregoś z tych zbrodniczych mocarstw, to trzeba to piętnować.

Szkopuł w tym, że polityka historyczna ma to do siebie, iż przesłania rozmaite niuanse, których dostrzeżenie jest konieczne, żeby ogarnąć rzeczywistość. Tak jest w przypadku swetra Ławrowa. Zostawmy rozważania nad tym, czy ZSRS był tym samym, co hitlerowskie Niemcy, i czy między sowieckim komunizmem a niemieckim narodowym socjalizmem stoi znak równości. Dużo ciekawsze w kontekście przywołanego wpisu polskiego dyplomaty jest co innego – postawienie pytania: Czy Ławrow, paradując na Alasce w swetrze z napisem: „ZSRS", wyraził retrospektywne poparcie dla „tyranii" (okrutnego systemu monopartyjnego, legitymizowanego przez ideologię komunistyczną) czy „tylko" nostalgię za globalnym mocarstwem, którego upadek pryncypał rosyjskiego polityka nazwał „największą katastrofą geopolityczną XX w."?

PUTIN JAK STALIN

Odpowiedź na to pytanie zawarta jest częściowo w tekście Adama Wielomskiego pod wymownym tytułem: „Czy Putin jest Stalinem 2.0?" („Do Rzeczy" nr 46/2025). Choć autor bynajmniej nie odnosi się do wydarzenia w Anchorage, to zarazem formułuje tezę, z której można wysnuć prosty wniosek, że Ławrow za żadnym komunizmem jako praktyką sprawowania władzy w Związku Sowieckim („tyranią") nie tęskni. Zdaniem Wielomskiego putinowska Rosja nie jest państwem komunistycznym (co skądinąd wydaje się oczywistością), a jeśli próbuje odbudowywać ZSRS, to tylko w wymiarze geopolitycznym, nie zaś ideologicznym. Dlatego publicysta uspokaja Polaków: nic wam ze strony Władimira Putina nie grozi, on chce tylko zdobyć dla Rosji tereny dawnego Związku Sowieckiego, gdzie zostało dużo ludności rosyjskojęzycznej (jak na Ukrainie), a Polska i inne państwa byłego bloku wschodniego go nie interesują. Sugestia Wielomskiego brzmi: nie pakować się w nieswoje wojny, które o strefy wpływów prowadzą na obszarze postsowieckim Amerykanie z Rosjanami, a będziemy mieli nad Wisłą (s)pokój.

O ile ogólna teza publicysty jest prawdziwa – rzecz jasna, putinowska Rosja nie jest państwem totalitarnym, jak ZSRS za dyktatury Józefa Stalina – o tyle w rozmaitych szczegółach poważnie się on myli, co unieważnia końcowe konkluzje tekstu.

Zacznijmy od tego, że według Wielomskiego ZSRS był jednym z wielu imperiów w historii świata, putinowska Rosja zaś nim nie jest. A imperia – oznajmia publicysta – mają to do siebie, że każde z nich – prowadząc politykę globalnych podbojów – kieruje się jakimś uniwersalistycznym systemem wartości, który usiłuje narzucić podbitym ludom. Wielomski wskazuje przykłady od starożytności do XX w.: państwo Aleksandra Macedońskiego kładło podwaliny pod kulturę hellenistyczną, antyczny Rzym niósł światło cywilizacji łacińskiej, średniowieczni władcy Niemiec rozprzestrzeniali chrześcijaństwo, prezydenci USA eksportowali demokrację,

eprasa.pl aacf224baf


POLSKIE LĘKI WOBEC ROSJI

Prezydent Rosji postępuje jak Napoleon – łączy tradycje przedrewolucyjną z tradycją porewolucyjną

wolny rynek i prawa człowieka, a sekretarze generalni KPZS szerzyli komunizm. Według publicysty putinowska Rosja takich aspiracji nie ma.

Rzecz w tym, że nie każde imperium ma takie ambicje. Przykładem – i to dość istotnym – przez Wielomskiego niewymienionym jest państwo Mongołów. Wbrew okalającej je czarnej legendzie było to pod względem światopoglądowym imperium tolerancyjne. Nie narzucało ono podbitym ludom uniwersalistycznego systemu wartości. Lokalnym władcom pozostawiało względną autonomię (także jeśli chodzi o religię), oczekując od nich lojalności wyrażającej się przede wszystkim w płaceniu daniny.

U schyłku średniowiecza ziemie ruskie ok. dwóch stuleci były pod jarzmem Mongołów. Według żyjącego na przełomie wieków XIX i XX historyka Feliksa Konecznego Wielkie Księstwo Moskiewskie odziedziczyło po najeźdźcach z Dalekiego Wschodu paradygmat polityczny (cywilizację turańską), który następnie został przejęty przez Rosję. Można go scharakteryzować następująco: na czele państwa stoi wódz, który wymaga od poddanych posłuszeństwa. Podstawą systemu jest dyscyplina wojskowa. Idee, prawo, instytucje liczą się wyłącznie o tyle, o ile legitymizują władzę wodza, która w swojej treści pozbawiona jest aksjologii.

W okresie panowania dynastii Romanowów w Rosji próbowano porządek polityczny w tym państwie europeizować. Silniejszy jednak okazał się mongolski (turański) paradygmat polityczny. Dał on o sobie znać w czasach Związku Sowieckiego – tworu wrogiego Zachodowi. Państwo to było imperium ideologicznym tylko w początkowym okresie swojego istnienia. Za dyktatury Stalina trwała już deideologizacja ZSRS. Świadczy o tym wynik rywalizacji tego polityka z Lwem Trockim o to, czym miał być Związek Sowiecki. Stalin odrzucił głoszoną przez swojego antagonistę koncepcję „permanentnej rewolucji" i postawił na budowę „socjalizmu w jednym kraju". W praktyce oznaczało to degradację ideologii komunistycznej do poziomu narzędzia ekspansywnej polityki ZSRS. Dla Stalina priorytetem był przyziemny interes tego imperium (choć realizowany przy pomocy totalitarnych środków), a nie to, czego chciał Trocki: uszczęśliwianie ludzkości komunizmem.

Kolejna próba europeizacji Rosji została podjęta po rozpadzie Związku Sowieckiego. Politycy rosyjscy sięgnęli wówczas po liberalne rozwiązania polityczne i ekonomiczne. W warunkach rosyjskich nie zdały one jednak egzaminu i Rosja wróciła w stare koleiny. A Putin postanowił jej przywrócić status imperium, choć na razie stać ją wyłącznie na to, żeby być potęgą regionalną, będącą wasalem prawdziwego globalnego mocarstwa – Chińskiej Republiki Ludowej.

Nie każde imperium kieruje się uniwersalizmem. Przykładem jest państwo Mongołów. To samo dotyczy ZSRS i putinowskiej Rosji

Prezydent Rosji jest zapatrzony w Stalina, ale podziwia go nie jako przywódcę światowego ruchu komunistycznego, lecz „efektywnego menedżera" (termin ten pojawił się w podręczniku do historii dla szkół rosyjskich w pierwszej dekadzie XXI w.). I pod tym względem jest jego spadkobiercą. Zresztą Federacja Rosyjska to prawny sukcesor ZSRS.

Trzeba przyjąć do wiadomości, że Związek Sowiecki od pewnego momentu swoich dziejów przestawał być państwem komunistycznym. Owszem, masowo represjonował swoich obywateli (putinowska Rosja jest faktycznie nieporównanie łagodniejsza), ale od czasów stalinowskich stojące za tym pobudki ideologiczne liczyły się coraz mniej. Ofiarą czystek, których dokonywał reżim stalinowski, padali przecież często starzy towarzysze partyjni, szczerze wierzący w komunizm.

KOSZTY NEUTRALNOŚCI

Rodzi się pytanie: Co to wszystko oznacza dla Polski? Adam Wielomski – jak już zostało powiedziane – uważa, że cele putinowskiej Rosji są skromne. Twierdzi, że Polska jest poza polem jej zainteresowania. Tyle że żądania Putina zdają się jednak temu przeczyć. Żeby to dostrzec, nie należy ulegać przekazowi kremlowskiej propagandy.

W doktrynie rosyjskiej polityki zagranicznej jest taki termin jak „strefa uprzywilejowanych interesów" Rosji. Odnosi się on do dawnych republik sowieckich, a jeśli tak, to już nie do Polski. Szkopuł w tym, że Putin zarazem żąda, aby państwa byłego bloku wschodniego opuściły struktury militarne NATO, i zgadza się wyłącznie na ich pozostanie w strukturach politycznych tej organizacji, czego zresztą Wielomski nie przemilcza. Jeśli jednak nie jest to akt wrogości Rosji wobec Polski, to aż prosi się zapytać, co nim jest.

Oczywiście można sobie wyobrazić, że Polska i inne dawne państwa bloku wschodniego – dziś członkowie paktu północnoatlantyckiego – staną się neutralne. Wojska NATO opuszczą ich terytoria. I wówczas Federacja Rosyjska tych państw militarnie nie zaatakuje. Nie będzie też narzucać im żadnej ideologii. Natomiast stanie się co innego: będzie chciała miękko wyzyskać dla siebie ich neutralność. Zacznie wywierać na nie naciski, tkać sieci zależności gospodarczych, wprowadzać do rozmaitych strategicznych instytucji tych państw swoich agentów wpływu. I to byłaby – w warunkach globalizacji – polityka jak najbardziej imperialna.

Tymczasem miarą suwerenności państwa polskiego jest to, że samo decyduje o tym, jakie wojska mają stacjonować na jego terytorium. I Kremlowi nic do tego. Wielomski zatem słusznie szydząc ze straszenia recydywą sowieckiego komunizmu, jednocześnie lekceważy faktyczne żądania Putina wobec Polski, co jest grubym błędem tego publicysty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf

Polska bez prasy?



Robert Bogdański

Polska prasa drukowana nieuchronnie zmierza ku zagładzie, która zapewne zacznie się od gazet lokalnych, a potem sięgnie opiniotwórczych tytułów ogólnopolskich. Czy istnieje możliwość podjęcia wspólnego działania, aby zatrzymać ten zgubny dla demokracji i życia publicznego proces?

Czy prasa jest Polakom koniecznie do życia potrzebna? To pytanie jest tyleż prowokacyjne, ile źle zaadresowane. Prowokacyjne, bo każdy się na takie postawienie sprawy obruszy, choćby gazetę czytał ostatnio przed 10 laty w poczekalni u dentysty, a na regale w jego salonie obok dziesiątków durnostojek, jako jedyny przedmiot zawierający litery dumnie spoczywa album o Janie Pawle II lub o pięknie ziemi naszej, wydobyty z plastikowej osłony dla przejrzenia ilustracji. A źle zaadresowane, bo w końcu przeczytają je ludzie, którzy zainwestowali w słowo drukowane własne ciężko zarobione pieniądze i można przypuszczać, że inwestują w ten sposób systematycznie. Trochę to jest jak wypominanie przez proboszcza parafianom, że nie chodzą do kościoła: słyszą ci, którzy przyszli.

No dobrze, ale przecież takie pytanie trzeba zadać, bo gdy spojrzeć na nakłady prasy, to jedyne porównanie, jakie się nasuwa, to równia pochyła. O ile dwie dekady temu najważniejsze tytuły drukowały po kilkaset tysięcy egzemplarzy, a potentat z Czerskiej dochodził czasami do miliona, o tyle obecnie zsumowane nakłady wszystkich gazet codziennych wynoszą nieco ponad 300 tys. Podobnie z tygodnikami, które na początku wieku walczyły ze sobą na niebotycznych poziomach 200–300 tys. nakładu, a teraz drukują nawet 10-krotnie mniej. Gdyby ktoś pytał, czy w rachunku uwzględniono znamię nowoczesności, czyli wydania elektroniczne, to odpowiedź brzmi „tak". Prasa ma się coraz gorzej niezależnie od tego, czy znajduje się w stanie drukowanym czy na ekranie. Słowo pisane przegrywa walkę o uwagę publiczności.

TRADYCJA CZYTELNICTWA

Dzieje się tak zresztą nie tylko w Polsce, ale Polska jest jednym z tych krajów, które się tym nie przejmują. Tak jakby Polacy uznawali, że prasa nie jest im w żadnym razie koniecznie potrzebna i jak kiedyś zniknie, to będzie to po prostu jej wina, a im nic do tego. Być może taka postawa ma swoje przyczyny historyczne. Pamiętam moje zdumienie, gdy na wystawie malarstwa skandynawskiego w Muzeum Narodowym w Warszawie zobaczyłem norweski obraz zatytułowany „Niedzielne popołudnie", przedstawiający mężczyznę siedzącego przy ogrodowym stole i czytającego gazetę, gdy jego żona nalewała herbatę do filiżanek. Zadałem sobie wówczas pytanie, czy znam podobny XIX-wieczny obraz polski, ale przed oczami stanęły mi tylko obrazy patriotyczne, ewentualnie przedstawiające bawiące się beztrosko towarzystwo. Przedstawienia czytelnika gazety nie zdołałem sobie przypomnieć.

Ten brak zakorzenionej w mieszczaństwie tradycji czytelnictwa, tak głęboko posadowionej w społeczeństwach skandynawskich, leży zapewne u podstaw zasadniczo różnej postawy, którą przyjmują Polacy wobec nośników informacji i opinii, jakimi powinny być media, które zwyczajowo nazywamy drukowanymi. Być może ma udział w ukształtowaniu tej postawy także okres PRL, gdy czytelnik nie dostawał tego, co chciał czytać, a hałdy tego, czego czytać nie chciał, zalegały w kioskach i były wykorzystywane w rozmaitych niezbyt szczytnych celach.

Skandynawowie, ale nie tylko oni, bo wiele innych krajów zachodniej Europy też, już dawno uznali, że posiadanie wielu opiniotwórczych gazet, które zajmują się informacją i analizą w sposób wartościowy dla społeczeństwa, jest czymś, co wymaga wsparcia. Dla ucha Polaka, który jest przyzwyczajony do myśli, że wydawanie prasy to po prostu biznes, informacja o tym, że w wielu krajach europejskich prywatne media drukowane otrzymują regularne dotacje, może być szokująca. I nie chodzi tylko o niskonakładowe kwartalniki zajmujące się tematyką filozoficzną, które ze swej natury interesują tak wąskie grona, że nie są w stanie się same utrzymać. Chodzi o codzienną lub cotygodniową prasę polityczno-społeczną.

MECHANIZMY WSPARCIA

Pierwsze prawo ustalające zasady dotowania prywatnych mediów drukowanych wprowadziła Norwegia w roku 1969. Od roku 1975 prywatną prasę dotuje Austria. Obecnie systemy wsparcia funkcjonują we wszystkich krajach skandynawskich i w wielu pozostałych, a Niemcy nie robią nic na szczeblu federalnym, ale to nie znaczy, że nie robią nic landy. Kraje skandynawskie mają te systemy dość dobrze opisane w prawodawstwie i wydawanie publicznych pieniędzy jest tam obarczone wieloma obostrzeniami. Szwedzi np. zapisali, że subwencja jest zmniejszana, gdy wydawca notuje zysk. Duńczycy dokładnie wyliczyli, ilu etatowych dziennikarzy musi zatrudniać redakcja i jaki procent swoich łamów musi poświęcać produkcji dziennikarskiej, w tym produkcji własnej, aby otrzymać subwencję. Wszyscy podkreślają, że co najmniej połowa nakładu powinna być sprzedawana lub subskrybowana. Na drugim biegunie znajdują się

eprasa.pl aacf224baf

Francja i Włochy, gdzie opisanie systemu wsparcia mediów drukowanych wymagałoby napisania osobnej książki, bo jest on tak wielowątkowy i skomplikowany. Co interesujące, pewien rodzaj wsparcia istnieje nawet w Wielkiej Brytanii. Jest to niewielki fundusz wsparcia innowacji technologicznych.

Ważne są także obniżki podatku VAT, stosowane praktycznie w całej Europie. Wiele krajów obniżyło ten podatek do zera, natomiast inne co najmniej o połowę. Jeżeliby policzyć wszystkie formy wsparcia dla prywatnej prasy drukowanej, wówczas okaże się, że w poszczególnych krajach wynosi ono od kilkunastu do stu kilkudziesięciu milionów euro rocznie. Czyni to średnio nawet 9 euro na głowę mieszkańca, jak w Danii, choć z reguły mniej.

Wydawca może w tych krajach otrzymać do 35 proc. zwrotu kosztów, głównie związanych z prowadzeniem redakcji, a także z dystrybucją. Duńczycy ustalili, że może to być nie więcej niż 2,4 mln euro na redakcję. Poza tym można tam dostać coś w rodzaju specjalnej zapomogi, gdy tytułowi grozi poważny kryzys. Są też dotacje na innowacje i nowe projekty. Osobno jest dofinansowywana prasa w językach mniejszości. Francuzi zwracają uwagę na dystrybucję francuskojęzycznej prasy za granicą, co jest oczywiście elementem polityki poszerzania zasięgu języka.

Polska na tym tle wypada jak państwo przywiązane bardzo do zasad wolnego rynku, co z jednej strony jest dobre, bo istnienie jakichkolwiek dotacji zawsze niesie ryzyko nadużyć, jednak widać gołym okiem, że „niewidzialna ręka rynku" poważnie obniżyła jakość prasy opiniotwórczej i informacyjnej. Poważne gazety po prostu potrzebują pieniędzy, a polski rynek nie jest im w stanie ich dostarczyć. Na to, żeby się utrzymać, na to, żeby płacić autorom, redaktorom i korektorom. Liczba dziennikarzy jest systematycznie redukowana, o etatach mogą oni na ogół tylko pomarzyć, na redaktorach i korekcie się oszczędza, czego efekty dramatycznie widać w publikacjach, nawet niegdysiejszych potentatów. Nic w tym dziwnego, bo nie da się na dłuższą metę produkować wymagających dużych nakładów pracy materiałów za coraz mniejsze pieniądze. To nie znaczy, że takich materiałów nie ma, ale że jest ich systematycznie mniej.

W dodatku tradycyjna prasa ma naprzeciwko siebie potężnych wrogów. Algorytmy sztucznej inteligencji przedostają się przez paywalle i oferują czytelnikom streszczenia tekstów, za które nie trzeba płacić. A jeżeli nawet się nie przedostają, to udają, że to zrobiły i wymyślają zawartość tak zręcznie, że tylko bardzo zmotywowany czytelnik zechce to sprawdzić. Prasa lokalna musi natomiast walczyć z „wyrobami prasopodobnymi", masowo wydawanymi w dużych nakładach przez samorządy i rozdawanymi za darmo. To, że zadaniem tych udających prasę gazet jest chwalenie wiekopomnych osiągnięć ich sponsorów, to jedno. Na tym cierpi lokalna demokracja. Ale z punktu widzenia lokalnych wydawców gorzej jest, że te „gazetki burmistrza" oferują reklamy, nieuczciwie konkurując z tymi, którzy się z reklam utrzymują. W całej Polsce jest mniej więcej 800 takich wydawnictw. To 10-krotnie więcej, niż liczy sobie członków Stowarzyszenie Gazet Lokalnych.

Polska prasa drukowana nieuchronnie zmierza ku zagładzie, która zapewne zacznie się od gazet lokalnych, a potem sięgnie opiniotwórczych tytułów ogólnopolskich. W dodatku można oczekiwać, że w dobie ostrej polaryzacji politycznej problemy jednych tytułów będą powodem do radości zwolenników innych tytułów, którzy będą mieli złudną nadzieję, że tylko ich pupil pozostanie na placu boju, zanim zorientują się, że także on tonie.

ZWAŚNIONE PLEMIONA

Czy istnieje możliwość podjęcia wspólnego działania, aby zatrzymać ten zgubny dla demokracji i życia publicznego proces? Stworzenie prostego systemu wspierania finansowego prasy opartego na realnie sprzedanych egzemplarzach i uzależnionego od przejrzystych kryteriów, choćby na wzór duński, jest jak najbardziej możliwe. W dodatku dzielenie pieniędzy można by silnie zalgorytmizować i jak najbardziej zabezpieczyć przed pokusą politycznej uznaniowości. Pula pieniędzy do wykorzystania nie musi być duża, byłoby to zapewne od 100 do 150 mln zł rocznie. Biorąc pod uwagę to, ile pieniędzy idzie na finansowanie mediów publicznych i jak bardzo oddalone są one od realizowania „misji publicznej", byłyby to na pewno dobrze, pluralistycznie wydane pieniądze.

Pozostałby oczywiście ten drobny problem, że zwolennicy „Newsweeka" musieliby ścierpieć, że dofinansowanie dostałoby „Do Rzeczy", a czytelnicy „Do Rzeczy" musieliby ścierpieć, że pieniądze z ich podatków powędrowałyby do „Newsweeka". Każdy czytelnik może sobie zamiast tych nazw wstawić inne. Byłaby to próba, czy potrafimy dobrowolnie dać pieniądze także tym, którzy nie są „nasi". Moim zdaniem mógłby to być pewien drobny krok w kierunku rozpoczęcia normalnej rozmowy między zwaśnionymi politycznymi plemionami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl aacf224baf



Z prof. Stanisławem Karpińskim, biotechnologiem
rozmawia Paweł Chmielewski

Ateiści są jak dzieci we mgle

FOT. ADOBE STOCK

PAWEŁ CHMIELEWSKI: Jaki jest główny przedmiot pańskich badań naukowych?

PROF. STANISŁAW KARPIŃSKI: Badam molekularne, biochemiczne i fizjologiczne mechanizmy retrosygnałów komórkowych i ich rolę w regulacji fotosyntezy, śmierci komórki i temperatury liści.

Dlaczego zainteresował się pan krytycznie teorią ewolucji?

Z powodu nieprecyzyjnych i niespójnych estymacji czasowych ewolucji najważniejszych procesów biologicznych. Niedawno wykazano, że proces ewolucji fotosyntezy roślin wyższych mógł trwać nawet 8 mld lat, a przecież Ziemia i Słońce istnieją odpowiednio 4,5 oraz 5 mld lat. Podważono paradygmat losowości mutacji jako ślepej siły napędowej ewolucji, a także paradygmat o jednym wspólnym pierwotnym przodku wszystkich organizmów komórkowych. Ewolucjoniści nie potrafią przekonująco udowodnić, jak martwa materia uformowała pierwszą komórkę, jak powstała fotosynteza tlenowa i później jak powstało oddychanie tlenowe. Naukowcy agnostycy i ateiści wierzą, że martwa materia sama z siebie ożywiła się na Ziemi 10 mld lat od Wielkiego Wybuchu, a właściwie 2 mld lat po eksplozji supernowej, która uformowała nasz Układ Słoneczny. To pokazuje, że współczesna teoria ewolucji, (neo)darwinizm, jest niespójna i fragmentaryczna. Tak samo zresztą fragmentaryczna i niespójna jest fizyka, bo nie znamy jednolitego wzoru opisującego jednocześnie oddziaływania kwantowe, elektromagnetyczne i grawitacyjne. Fizycy poszukują tego wzoru jak Świętego Graala, a na razie mamy trzy oddzielne fizyki.

Darwin uchodzi za niepodważalnego geniusza. Czy popełniał też poważne błędy?

Darwin był geniuszem, takim jakim w swoich czasach był Newton. Odkrył mechanizmy doboru naturalnego, które dotyczą już istniejących gatunków. Zakładał, że nowe gatunki powstają z poprzednich, a starsze gatunki, słabiej dostosowane, wymierają. Teoria ewolucji Darwina dotyczy mikroewolucji i jako taka jest spójna, ale nie wyjaśnia, jak z martwej materii powstało i rozwinęło się życie, jak powstały pierwsze komórki na Ziemi ani jak niektóre gatunki trwają bez większych zmian na przestrzeni setek milionów lat, choć inne w ciągu kilkudziesięciu milionów lat przekształcają się w odmienne gatunki. To próbują bezskutecznie wyjaśnić (neo)darwiniści.

Dziś odchodzi się od darwinizmu na rzecz wspomnianego (neo)darwinizmu. Czym się różnią?

Tak zwane teorie (neo)darwinowskie powstawały w latach 40. i 50. XX w. Były i wciąż są w gruncie rzeczy dogmatyczne. Jednym z takich dogmatów było twierdzenie, że gen odpowiedzialny za daną cechę jest niepodzielny. Ofiarą takich poglądów padła Barbara McClintock, która w 1983 r. otrzymała Nagrodę Nobla za odkrycie transpozomów, ruchomych elementów genów w genomie kukurydzy. W latach 40. i 50. była wyśmiewana i szykanowana przez kolegów, nawet zabroniono jej prowadzić badania nad transpozomami. Obecne zachowania (neo)darwinowców niewiele się zmieniły. Każdy, kto chce badać mechanizmy inne niż te powszechnie uznawane przez (neo)darwinowców, jest szykanowany i torpedowany.

Czy jakikolwiek inny paradygmat naukowy może zająć miejsce (neo)darwinizmu?

(Neo)darwinizm jest obecnie dominującym paradygmatem w biologii, a choć naukowo fragmentaryczny i niespójny, to nadal jest uważany przez wielu naukowców za jedynie słuszną teorię i naukowe wyjaśnienie pochodzenia życia na Ziemi. Na podstawie tej teorii NASA prowadzi poszukiwania życia na Marsie i w Ko-

eprasa.pl aacf224baf

smosie. Powstała nowa dziedzina nauki: astrobiologia, która zajmuje się tymi zagadnieniami, choć nie ma żadnego artefaktu potwierdzającego istnienie życia komórkowego poza Ziemią. Wprawdzie w meteorycie z Marsa odkryto skamieliny przypominające pierwotne organizmy jednokomórkowe, ale dowody na to są kontrowersyjne. Alternatywne wierzenia czy filozoficzne teorie, takie jak kreacjonizm, inteligentny projekt czy teoria panspermii, nie mogą być badane narzędziami i metodami współczesnej biologii, co nie oznacza, że są z gruntu skazane na porażkę. Takie narzędzia i metody mogą powstać w przyszłości. Ponadto istnieją pośrednie dowody na nieredukowalność złożonych struktur komórkowych czy kompleksów białkowych. Takim kompleksem jest fotosystem II, który na przestrzeni ostatnich 2 mld lat niewiele się zmienił (prawie przestał mutować, np. białka D1 i D2 mają 0,12 mutacji na 1 mld lat). To może wskazywać, że ewolucja zatrzymała się, bo osiągnęła swój cel (doskonałość działania), a przecież kolejnym paradygmatem (neo)darwinistów jest twierdzenie, że ewolucja nie ma celu i działa losowo non stop, nieprawdaż? Prawdopodobieństwo wyewoluowania białek D1 i D2 przez losowe mutacje innych genów, tak by struktura krystaliczna tych białek umożliwiała optymalne rozczepienie ładunku elektrycznego z „prazupy lipidów, aminokwasów i nukleotydów", jest niebotycznie mniejsze niż prawdopodobieństwo zaistnienia tzw. Demona Maxwella czy samoistnego powstania Boeinga 777 ze złomowiska i śmieci. Jakoś nie widzimy samoistnie powstających boeingów, a białka D1 i D2 obok RuBisCO i innych białek fotosystemów są jednymi z najbardziej rozpowszechnionych białek w przyrodzie. Inteligentny projekt niekoniecznie musi być powiązany z wiarą w istnienie Boga, może być inny projektant, jak np. wysoko rozwinięta obca cywilizacja pozaziemska. Ten wątek był przedstawiany w wielu filmach science fiction, jak np. „Prometeusz". Jakkolwiek zawsze będzie postawione pytanie: To skąd się wzięła ta obca wysoko rozwinięta cywilizacja?

Czy naukę da się połączyć z wiarą w Boga? A może jako naukowiec należy pracować „jak ateista"?

Nie tylko da się połączyć naukę z wiarą w Boga, ale twierdzę, że wiara w Boga i nauka wytwarzają synergię poznania prawdy o Bogu, człowieku i Wszechświecie. Są jak dwa skrzydła niezbędne do pełnego lotu, tak jak to przedstawił św. Jan Paweł II w encyklice „Wiara i rozum". Według wiary wszystko jest darem Boga, w tym i wiedza człowieka. Ateiści sądzą, że według kreacjonistów świat ma 6 tys. lat, tak jak to jest dosłownie opisane w Biblii od czasów Adama i Ewy, a dinozaury wyginęły, bo nie zostały zabrane na arkę Noego. Jest to bardzo trywialna i prześmiewcza interpretacja kreacjonizmu opartego na Biblii i wierze w Boga. Ateiści nie mają pojęcia o religijno-kulturowych uwarunkowaniach w czasie, kiedy poszczególne rozdziały Biblii były spisywane, ani o tym, że Biblia przedstawia dialog Boga z ludźmi, historię stworzenia świata i człowieka, jego upadku (grzech pierworodny), jego zbawienia, przez wcielenie się Boga w człowieka 2 tys. lat temu – Jezusa Chrystusa, ustanowienie Eucharystii, Jego ofiarę na krzyżu za wszystkie nasze grzechy i przewinienia, Jego zmartwychwstanie, wniebowstąpienie i zesłanie Ducha Świętego na Ziemię. Wszystko stało się po to, by człowiek został zbawiony, stał się nieśmiertelny (wieczny) i odzyskał wieczną radość z obcowania z Bogiem w Niebie. Dlatego żaden agnostyk czy ateista naukowiec nie jest w stanie wytworzyć synergii rozumu i wiary.

Są jakieś przykłady na taką synergię?

Oczywiście. Autorem teorii Wielkiego Wybuchu jest belgijski ksiądz katolicki Georges Lemaître i jest ona nadal dominującą naukowo teorią powstania Wszechświata. Ta naukowa teoria wpisuje się w kreacjonizm i główną rolę Boga Stwórcy. Z niczego, poprzez odwieczne Słowo, które było u Boga i które było Bogiem, a które fizycy nazywają kwantową osobliwością, powstały w niewyobrażalnie małym ułamku sekundy (ok. 10E-36 s) cały Wszechświat, cała materia i energia widzialna i niewidzialna, powstały protony i elektrony w niewyobrażalnej liczbie, powstały czas, grawitacja i przestrzeń, powstały ciemna materia i energia. W ułamku sekundy Wszechświat rozrósł się do 80 proc. swoich obecnych rozmiarów (hiperinflacja). Przeciwstawną do tej teorii jest teoria Hawkinga-Penrose'a Wszechświata bez granic. Hawking to odkrywca natury czarnych dziur i zdeklarowany ateista. Na początku lat 80. XX w. w Pontyfikalnej Akademii Nauk w Watykanie ogłosił teorię M i Wszechświata bez granic, w której argumentował, że Wszechświat jest wieczny, nie ma ani początku, ani końca, tylko zmienia falowo swoje formy istnienia w czasie (teoria M, teoria strun). W tej teorii „warunkiem granicznym Wszechświata… jest to, że nie ma on granic". Według Hawkinga i Penrose'a, cofając Wielki Wybuch, cały Wszechświat zmniejsza się do rozmiarów pojedynczego atomu. Dlatego pytanie, co było przed Wielkim Wybuchem, jest bezzasadne, bo Wielki Wybuch jest częścią tych falowych zmian w czasie i przestrzeni, będzie więc następował cyklicznie. W ten sposób Hawking i Penrose chcieli wyeliminować naukowo możliwość udziału Boga jako Stwórcy Wszechświata. Teoria ta i jej matematyczne modele, które proponowali, zostały w 2017 r. częściowo podważone przez niemieckich matematyków, gdyż według skorygowanych wyliczeń nie doprowadziłyby do wytworzenia obecnie obserwowanej architektury Wszechświata.

Czy wiara katolicka może rzucać na naukę jakieś szczególne światło, pomocne w jej uprawianiu?

Tak, mamy na to wiele przykładów. To choćby Kopernik, Galileusz, Giordano Bruno, Einstein, Heller czy św. Maksymilian Maria Kolbe. Święty Maksymilian był nie tylko zakonnikiem, nie tylko oddał życie jak Chrystus za współbrata w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz, lecz także był redaktorem naczelnym i wydawcą najpopularniejszego czasopisma „Rycerz Niepokalanej," które w II RP rozchodziło się jak świeże bułeczki w dwumilionowym nakładzie (!). Projektował również kapsuły kosmiczne i stratosferyczne. Te projekty można zobaczyć w muzeum w Niepokalanowie. Podsumowując, wiara i rozum są niezbędne do pełnego poznania prawdy o Bogu, o człowieku, o życiu i o Wszechświecie. Wspólnie tworzą poznawczą synergię, dlatego agnostycy i ateiści są jak dzieci we mgle. Nie wiedzą, skąd i dokąd zmierzają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Paweł Chmielewski jest publicystą portalu PCh24.pl.



Stanisław Karpiński *– profesor w SGGW w Warszawie, biotechnolog, biolog molekularny, wynalazca.*

eprasa.pl aacf224baf

Niewygodne przesłanie



Maciej Szymanowski

Czeski hierarcha spotykał się z agresywnym hejtem. Był ostro krytykowany za to, że nie zajmował się tylko wydarzeniami sprzed dwóch tysięcy lat, ale zabierał głos w sprawach bieżących – takich jak działalność Antify czy imigracja



FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

Z wykształcenia ślusarz, przez lata wykonujący pracę technika kreślarza w zakładach Škody w Pilźnie. Za swoje zaangażowanie w działalność funkcjonującego w podziemiu zakonu dominikanów oraz tajnie odbyte studia na Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie na początku lat 80. trafił do więzienia, gdzie przy okazji poznał czołowych działaczy Karty 77, w tym Václava Havla – przyszłego prezydenta. W wolnej już Czechosłowacji wykładał teologię, aby w 1998 r. otrzymać z rąk papieża Jana Pawła II biskupią sakrę. Jako praski biskup i prymas szybko stał się jedną z czołowych postaci życia publicznego w swoim kraju. Głośnym głosem wierzących, ale nie tylko, ponieważ jego osobowość szybko zauroczyła sporą część czeskiej i nie tylko zresztą czeskiej inteligencji. „Nie lękajcie się!" św. Jana Pawła II w jego ustach przybiera postać: „Zmužte se!". Co da się precyzyjnie przełożyć na język polski tylko opisowo jako: zachowujcie się jak mężczyźni, miejcie odwagę, hartujcie się, walczcie! Niewątpliwie człowiek głębokiej wiary, „wierzący ksiądz" – jak mówi się obecnie w Polsce. Kardynał Dominik Duka spoczął w sobotę 15 listopada w katedrze św. Wita w Pradze. Jakie dziedzictwo po sobie pozostawił? Szczególnie dla nas, Polaków?

POCZUCIE HUMORU, PROSTOTA WYPOWIEDZI

„W pierwszych dniach mojego więzienia jechałem windą z Romem, który już długo garował i udzielał mi lekcji, nie wiedząc, że jestem księdzem. Najważniejsza rada brzmiała: Stary, módl się, bo tu zwariujesz!". „Mam trochę zrozumienia dla polityków. Wykonują często straszną pracę, jak niewolnik. Słowo honoru, miałem szczęście, że po wyjściu z więzienia trafiłem do zakładów Škody w Pilźnie". „Nad katedrą nigdy nie powiewał obcy sztandar, swastyka ani czerwona flaga z sierpem i młotem. Nawet więc na Hradczanach w okupowanej Pradze zawsze istniała wyspa Boga i naszej wolności". „Gdzie chciałbym spędzić ostatnie lata życia? Trudne pytanie, ponieważ jest mnóstwo przepięknych miejsc na wszystkich kontynentach, w Europie, które dane było mi widzieć i podziwiać jako ojciec prowincjał, biskup, arcybiskup w czasie tych 34 lat panowania wolności […]. Rodzinny dom to tylko wspomnienie, pewna zawsze emocjonalna wizja, do której jednak nie ma powrotu. Dlatego mówię: jestem zadowolony z tego, gdzie jestem". Ta garść cytatów ilustrująca poczucie humoru, dystans do samego siebie oraz wolną od banalności prostotę wypowiedzi dobrze wydaje się oddawać charakter kard. Duki. Co potrafił zarazem połączyć zarówno z pryncypialnością, jak i odwagą głoszenia poglądów, o czym łatwo się przekonać, sięgając chociażby do treści wywiadu udzielonego przez kardynała tygodnikowi „Do Rzeczy" jesienią 2019 r.

eprasa.pl aacf224baf

Poglądów – dodajmy – które najpierw bardzo nie podobały się komunistom, a potem wszystkim tym, którzy Kościół najchętniej widzieliby jako coś w rodzaju przychodni psychologicznej czy instytucji charytatywnej, funkcjonującej gdzieś na obrzeżach życia publicznego. Dlatego o. Dominik Duka, jak trafnie zauważył znany prawnik i publicysta Tomaš Nemeček, był niczym taki niewzruszalny kamień wystający ponad poziom wody w samym środku wartkiego potoku. Przeszkodą zdaniem jednych, oporą i punktem odniesienia dla innych.

Ojciec Duka szerzej znany stał się po 1989 r., kiedy zdecydowanie opowiadał się za potrzebą rozliczenia komunizmu i komunistów, co znalazło wyraz m.in. w przeprowadzonej w Czechosłowacji i kontynuowanej w Czechach lustracji i restytucji zagrabionego mienia, co – jak wiemy – w Polsce i innych państwach byłego bloku wschodniego takie oczywiste wcale nie było. Na powtórnym pogrzebie swojego poprzednika – praskiego arcybiskupa Josefa Berana w 2018 r. – jego ziemskim pozostałościom od progu katedry św. Wita do ołtarza towarzyszył o. Duka, idąc boso, co zostało powszechnie odebrane jako gest pokuty wykonany w imieniu katolików, którzy nie zawsze pozostali wierni „niezłomnemu kardynałowi" w okresie jego uwięzienia zarówno przez Niemców, jak i przez komunistów.

W tym czasie duszpasterskie powinności o. Duka wykonuje intensywnie zarówno wśród biednych i bezdomnych, jak i wśród ministrów, oficerów wojska czy policji – za co zresztą stawiany jest mu zarzut działania na pokaz albo celebryckich skłonności i pychy. Główna krytyka, która spada na kardynała, dotyczy jednak przede wszystkim jego mocnego zaangażowania się w sprawy… pozostające w centrum zainteresowania polityków i opinii publicznej.

Wolność słowa czy wprowadzana w imię potrzeby szerzenia tolerancji i walki z mową nienawiści cenzura? Wbudowanie w nowoczesne życie społeczne i gospodarcze pożądanych mechanizmów akceptacji i inkluzywności czy uzależnianie kariery człowieka nie od zdolności i pracowitości, ale od stopnia jego ideologicznej uległości? „Oczywiste jest, że błędne lub niejasne pojmowanie wolności, która stanowi podstawę naszej kultury, nieuchronnie prowadzi do sprzeczności, do ograniczenia wolności w stopniu, jakiego poprzednie pokolenie nie mogło sobie nawet wyobrazić" – pisał kard. Duka. A przede wszystkim protestował i wzywał do protestów – katolików i niekatolików – do czynnej dezaprobaty wobec idei, zgodnie z którymi nieustannie mówi się o potrzebie empatii, ale zarazem zakazuje wyrażania sprzeciwu, gdzie „kategorię prawdy zastępuje się wygodnictwem i moralnie wątpliwą ideologią".

Dzień po katastrofie smoleńskiej kard. Duka powiedział, że traktuje ją osobiście w kategoriach Bożego znaku

To właśnie za to publiczne wychodzenie poza tematykę tradycyjnie kojarzoną z wiarą i chrześcijaństwem, za zajmowanie stanowiska wobec wydarzeń nie sprzed dwóch tysięcy lat, ale rozgrywających się tu i teraz na oczach wszystkich, katolików i niekatolików, spotykała kardynała najostrzejsza krytyka. I bardzo agresywny hejt, jak to się działo ostatnio chociażby w przypadku porównania przez niego Antify do skrajnych ugrupowań toczących boje na ulicach niemieckich miast w okresie Republiki Weimarskiej czy po odprawieniu Mszy św. w intencji zamordowanego Charlesa Kirka.

Niezamykanie oczu na otaczającą nas rzeczywistość i aktywne zabieranie głosu w toczących się dyskusjach nie dotyczyło tylko spraw dotykających mieszkańców Kotliny Czeskiej. Kiedy w 2015 r. węgierski rząd zamknął południową granicę kraju dla nielegalnych imigrantów, kard. Duka wystąpił w jego obronie. W obronie prawa „ciężko doświadczonych w historii okupacją turecką Węgrów", do prowadzenia suwerennej polityki na swoich granicach. Wiele czasu o. Duka poświęcał również „najbardziej zapomnianej mniejszości w Europie", to jest łużyckim Serbom, swoimi wizytami w Budziszynie i jego okolicach w oficjalnych kardynalskich szatach i licznym towarzystwie, wprawiając nierzadko w osłupienie niemieckich dygnitarzy.

Kiedy śladem Brukseli rząd w Pradze zaczął bojkotować rząd Roberta Ficy, kard. Duka publicznie przeprosił za to zachowanie. Dlatego też nikogo nie powinna dziwić treść reakcji premiera Ficy na wieść o śmierci kardynała, w której zdanie: „Miał odwagę nazywać rzeczy po imieniu" połączył na jednym oddechu z potrzebą reaktywacji Grupy Wyszehradzkiej, która „dla takich państw jak Słowacja, Czechy i Węgry, ale również Polska, choć ta jest wielka, jest absolutnie warunkiem ich dalszego przeżycia".

PESYMIZM CO DO PRZYSZŁOŚCI EUROPY

Osobiście miałem kilkakrotnie zaszczyt spotkania i rozmowy z kard. Duką. Pamiętam doskonale, jak 11 kwietnia 2010 r. cichutko wśliznął się do dominikańskiego kościoła św. Idziego w Pradze na tradycyjną poranną Mszę św. w języku polskim. Długo wtedy przemawiał do zgromadzonych, a raczej mówił jak ojciec do dzieci, zapewniając o Bożej opatrzności, a także o tym, że katastrofę smoleńską, do której doszło dzień wcześniej w trakcie jego ingresu na biskupa Pragi, traktuje osobiście w kategoriach Bożego znaku.

Podczas o kilka lat późniejszej rozmowy, toczonej w sali przy wejściu na dach Pałacu Arcybiskupów, z którego rozpościera się bez wątpienia najpiękniejsza panorama złotej Pragi (choć niestety wejście tam nie do końca jest legalne…), kardynał nie krył swojego pesymizmu co do losów chrześcijaństwa w Europie i ogólnie przyszłości Europy. Z widocznym znawstwem tematu – język polski znał od czasów słuchania polskiej sekcji Radia Wolna Europa – pytał również o Polskę, którą lubił i wysoko cenił. Jak zawsze przy takich okazjach patrzył głęboko w oczy, z lekkim, nienarzucającym się uśmiechem na twarzy, uważnie nachylony w stronę rozmówcy, nawet przez długie minuty pozostając w takim stanie pochylenia – zawieszenia. Dopiero teraz, po latach, zaczynam rozumieć, że tak naprawdę znał odpowiedzi na pytania, które zadawał. W rzeczywistości zadawał zadania, a nie pytania. W tym może w tej chwili dla nas, Polaków, to najważniejsze: „Zmużte se!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 1992–1999 i 2006–2010 mieszkał oraz pracował w Czechach.

eprasa.pl aacf224baf



KOMUCHOŻERCA

Elita elit

LESZEK ŻEBROWSKI

Nawet jak na warunki II RP i późniejszej okupacji Polski po 1939 r. była to rodzina naprawdę wyjątkowa. We wszystkie formy oporu i działania konspiracyjne (wojskowe, cywilne, tajne nauczanie itd.) zaangażowanych było bowiem zaledwie kilka procent Polaków. Reszta była bierna i jest to zrozumiałe. Nie wszyscy mieli bowiem predyspozycje do pracy konspiracyjnej (psychiczne i fizyczne). A strach i codzienna walka o byt były czynnikami decydującymi o bierności. Jednak gdy mówimy o tamtej epoce, dominują akcenty patriotycznej ofiarności. Reszta po prostu nie zapisała się w naszej zbiorowej pamięci. Pokazywanie ówczesnych elit na tle całej populacji ma wieloraki sens, wyjaśnia nam bowiem, co się z nimi stało i dlaczego nie mamy ich ciągłości do dziś.

Doskonale widać to na przykładzie warszawsko-poznańskiej rodziny Kasznicków. Senior rodu, Stanisław Wincenty, był uczestnikiem walk niepodległościowych, członkiem Ligi Narodowej. W II RP profesor Uniwersytetu Poznańskiego, wybitny prawnik, senator, członek Trybunału Kompetencyjnego. W 1947 r. przeniesiony przez komunistów na karną emeryturę (pobierał świadczenia na poziomie sprzątaczki).

Jego najstarszy syn, Stanisław Józef, porucznik WP, w wojnie obronnej walczył nad Bzurą, odznaczony Virtuti Militari. W konspiracji zaangażowany był w strukturach politycznych, cywilnych i wojskowych. Uczestnik powstania. Był ostatnim dowódcą NSZ (1945–1947). Zamordowany przez komunistów w 1948 r. Jan, podporucznik rezerwy WP, zginął w walkach nad Bzurą w 1939 r., odznaczony Virtuti Militari. Andrzej – uczestnik powstania warszawskiego, ciężko ranny. Odznaczony Krzyżem Walecznych. W 1946 r. wstąpił do zakonu dominikanów (jako o. Krzysztof). Wojciech – żołnierz AK, uczestnik powstania (Batalion „Łukasiński"), ranny. Po wyjściu z niewoli żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Po wojnie do Polski już nie powrócił, osiadł w USA.

Eleonora, najmłodsza z rodzeństwa, harcerka, uczestniczka powstania. Przez wiele lat prześladowana przez UB (resort usiłował podstawić jej „narzeczonego" – agenta, ale go zdemaskowała).

Dziś, gdy rozważamy, co się stało z polskimi elitami, przykład rodu Kasznicków jest doskonałą egzemplifikacją podmiany elit. Miejsce najprzedniejszej polskiej inteligencji zajęli „wydwiżeńcy", czyli awans społeczny, pośpiesznie promowani, dopuszczani do najwyższych stanowisk. Powiedzenie: „Nie matura, lecz chęć szczera" i wiernopoddańcza służba czerwonemu ustrojowi doskonale to wyjaśniają. Ich dzieci i wnuki nabierały ogłady, były wysyłane na stypendia w USA, zostały „Europejczykami". ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Francuzi nad Wisłą

SŁAWOMIR KOPER

Ludwik Węgierski należał do dynastii Andegawenów – rodu, który na przełomie wieków XIII i XIV zrobił oszałamiającą karierę. Jego założycielem był brat władcy Francji – Karol I, który jako książę Prowansji i Anjou (francuska nazwa Andegawenii) został królem Neapolu. Jego potomkowie zdobyli władzę na Węgrzech, a do posiadłości rodziny zaliczano również księstwo Durazzo na terenie dzisiejszej Albanii.

Największą zdobyczą dynastii był jednak tron węgierski. Królestwo nad Dunajem było w tych czasach jednym z najpotężniejszych państw w Europie, obejmując terytorium od Słowacji po Adriatyk i od Wiednia po Bułgarię. Miejscowy władca nosił tytuły królów: Węgier, Chorwacji, Dalmacji, Bułgarii, Ramy, Serbii, Galicji, Lodomerii itd. Złośliwi twierdzili, że wszyscy pozostali europejscy monarchowie nie noszą nawet połowy godności przysługujących władcom znad Balatonu. Jak ubogo wyglądała przy Andegawenach tytulatura Kazimierza Wielkiego…

Polski król, wyznaczając Ludwika na następcę, nie miał właściwie wyboru. Na ziemiach polskich nie było żadnego sensownego Piasta, który mógłby objąć władzę, a sojusz z Węgrami był podstawą polityki władcy z Krakowa. Dzięki temu przez całe lata udawało się neutralizować sojusz Krzyżaków i władców Czech. Niestety, dla Ludwika koronowanego na Wawelu 17 listopada 1370 r. Polska była tylko kolejną zdobyczą dynastyczną. Dzięki temu Andegawenowie przewyższyli rywalizujących z nimi: Habsburgów, Wittelsbachów czy Luksemburgów, ale dla naszego kraju miało to fatalne następstwa. Brandenburgia opanowała Drahim, Drezdenko i Czaplinek, a Mazowsze zerwało zależność lenną. Nowy król planował też przyłączyć do Węgier Ruś Halicką i mianował na jej namiestnika karierowicza i oportunistę, Władysława Opolczyka. To był początek, potem pojawili się węgierscy urzędnicy i armia. Przymusowo nawracano Rusinów na katolicyzm i niszczono cerkwie, uważając prawosławnych za pogan.

Ludwik prowadził też odmienną politykę od Kazimierza wobec Krzyżaków. Zmarły król unikał starcia z zakonem, ale nie ukrywał, że widział w nich głównego przeciwnika. Natomiast węgierski monarcha nawiązał przyjazne stosunki z zakonem, bardziej interesując się oderwaniem Rusi Halickiej niż odzyskaniem ziem zagarniętych przez zakon. Na szczęście panowanie Ludwika na Wawelu trwało tylko niespełna 12 lat. Potem tron przejęła jego córka Jadwiga, a po unii polsko-litewskiej zaczęła się nowa epoka w dziejach naszego kraju. ©℗

eprasa.pl aacf224baf



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



KOSZMAR POTOPU SZWEDZKIEGO

Szarańcza z północy – Karol Gustaw cofnął Rzeczpospolitą do wczesnego średniowiecza. Potop szwedzki oznaczał dla państwa polsko-litewskiego pożogę, rabunek i upust krwi

Niemalowana królowa – Jedną z bohaterek „Potopu" mogłaby być Maria Gonzaga, nazywana „niebiałogłową". Gdyby nie śmiałość, wysiłki i pieniądze królowej, losy Polski mogłyby się potoczyć jeszcze bardziej tragicznie

Panamski łącznik – Francuzi próbowali zbudować w Panamie kanał na podobnej zasadzie jak w Egipcie. Warunki w Ameryce Centralnej były jednak dużo trudniejsze i dopiero Amerykanie byli w stanie zrealizować ten cud inżynierii

Syberyjska epopeja Czechosłowaków – Korpus naszych południowych sąsiadów przeszedł przez całą Rosję, by ewakuować się z Władywostoku. Po drodze Czechosłowacy walczyli nie tylko z bolszewikami

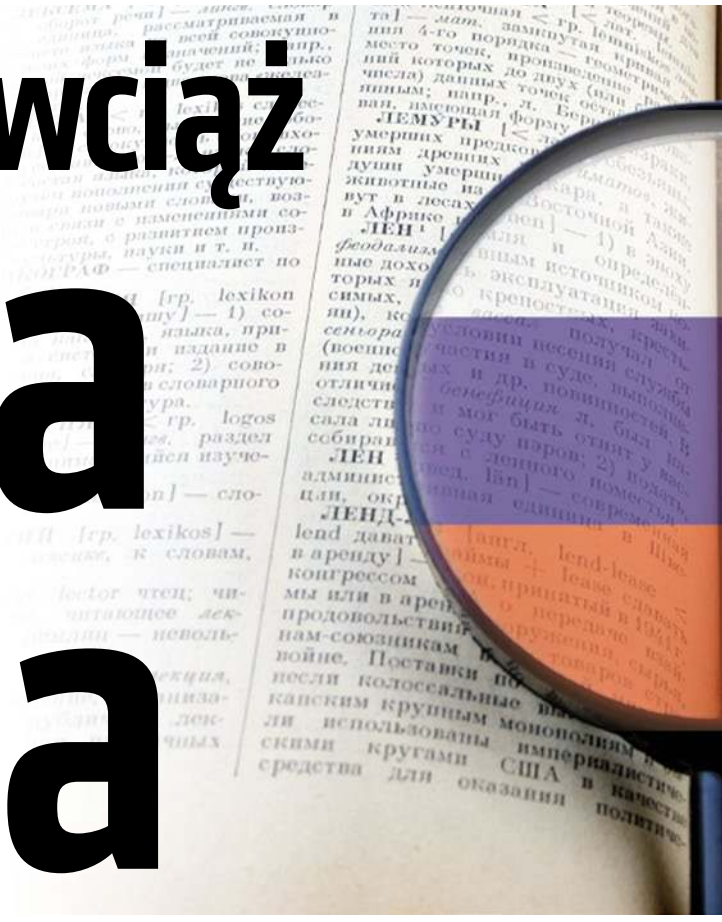
Książę regent – Zdzisław Lubomirski zdobył w latach pierwszej wojny światowej ogromną popularność – widziano w nim reprezentanta narodu – ale raptownie ją utracił

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl aacf224baf

Rosyjski to wciąż lingua franca





Maciej Pieczyński

W stosowaniu miękkiej siły Kreml jest nawet bardziej skuteczny niż na polach bitew. Derusyfikacja na obszarze byłego ZSRS jest na razie mrzonką. Rosyjski wciąż jest lingua franca dla wielu milionów ludzi żyjących poza granicami Rosji

Rosyjski jest językiem urzędowym jedynie w dwóch państwach: w Rosji i na Białorusi. Przy czym w kraju Łukaszenki obowiązują dwa języki urzędowe. Obok rosyjskiego również białoruski. Nie można jednak mówić o równości. Białoruski jest marginalizowany. W przestrzeni publicznej zdecydowanie preferowany jest rosyjski. Media państwowe praktycznie nie używają białoruskiego. Po rosyjsku, choć z białoruskim akcentem, mówi sam Łukaszenka. Co więcej, również największa w dziejach Białorusi fala protestów antyrządowych z 2020 r. nie była wymierzona w Rosję, jej wpływy polityczne czy kulturowe, tylko w samego dyktatora. Liderzy zrodzonej wówczas (obecnie głównie emigracyjnej) opozycji mówili po rosyjsku. Dopiero po kilku latach spędzonych za granicą i po inwazji Rosji na Ukrainę Swiatłana Cichanouska zaczęła częściej w wypowiedziach publicznych posługiwać się językiem białoruskim. Jej mąż, Siarhiej, po wyjściu na wolność i wyjeździe na Zachód wciąż mówi po rosyjsku.

JĘZYK KOMUNIKACJI MIĘDZYNARODOWEJ

W samej Rosji sytuacja językowa jest złożona. Na poziomie federalnym językiem urzędowym (w rosyjskiej terminologii: oficjalnym lub państwowym) jest rosyjski. Poszczególne republiki mają dodatkowo własne języki oficjalne: baszkirski (Baszkiria), buriacki (Buriacja), tuwiński (Tuwa), tatarski (Tatarstan), kałmucki (Kałmucja), czeczeński (Czeczenia) itd. Wyjątkowo różnorodny jest Dagestan. Tam, oprócz rosyjskiego, charakter urzędowy ma 13 języków. Biorąc pod uwagę niewielką liczbę ludności (niecałe 3,2 mln, według spisu powszechnego z 2021 r.), jest to jeden z najbardziej wieloetnicznych regionów na całym świecie. Niemniej na terenie całej Rosji i tak absolutną dominacją cieszy się język rosyjski.

Rosyjski jest językiem dopuszczonym do użycia w instytucjach państwowych w Kazachstanie i Kirgistanie. Rolę jednego z oficjalnych języków pełni w niektórych jednostkach administracyjnych Mołdawii i Rumunii. Jego znaczenie jest podkreślane również w innych państwach postsowieckich czy postkomunistycznych. Konstytucja Tadżykistanu uznaje rosyjski za „język komunikacji międzynarodowej". W Uzbekistanie jest on oficjalnie dopuszczony do użytku w urzędach stanu cywilnego. W niektórych okręgach stanu Nowy Jork na język

eprasa.pl aacf224baf



FOT. ADOBE STOCK

rosyjski przekładane są dokumenty związane z wyborami. Rosyjski pełni także funkcję oficjalnego lub roboczego języka w wielu organizacjach międzynarodowych, w tym ONZ, OBWE, Wspólnocie Niepodległych Państw, Szanghajskiej Organizacji Współpracy, Euroazjatyckiej Wspólnocie Gospodarczej czy Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym.

Jednak rosyjski nie musi być narzucany jako oficjalny, urzędowy język państwowy, żeby cieszyć się sporą popularnością w danym kraju. W oczywisty sposób dotyczy to obszaru postsowieckiego. Według spisu powszechnego z 2009 r. tylko 1,3 proc. mieszkańców Azerbejdżanu to Rosjanie. Jednak aż 7,6 proc. populacji, niezależnie od etnicznego pochodzenia, swobodnie porozumiewa się w języku rosyjskim. Powszechne jest też zjawisko bilingwizmu, czyli dwujęzyczności. Część zajęć po rosyjsku jest prowadzona w ok. 8 proc. państwowych szkół i prawie na wszystkich uczelniach wyższych. Rosyjskojęzyczni obywatele Azerbejdżanu co do zasady są dobrze wykształceni i mieszkają w dużych miastach. Nie ma w tym nic dziwnego. Niewielki kraj, wciśnięty (kulturowo i geograficznie) między trzy wielkie imperia (Iran, Rosję i Turcję), nie jest w stanie oprzeć się ich wpływom. Dla Baku Teheran, Moskwa i Ankara to metropolie, punkty odniesienia. W Iranie urodziła się słynna w czasach sowieckich azerska śpiewaczka operowa, a jednocześnie folkowa wokalistka Rubabe Muradowa. Komunistyczne władze ją doceniały, nagradzając tytułem Zasłużonej Artystki Azerskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Jednym z najpopularniejszych utworów w repertuarze Muradowej była azerska pieśń ludowa „Yandirdin kalbimi aman", której współczesne aranżacje zbierają dziś miliony wyświetleń na YouTube w wykonaniu zarówno azerskich, jak i tureckich gwiazd muzyki pop. Oba języki są bardzo do siebie podobne. Stąd naturalne związki kulturowe azersko-tureckie. Starsze pokolenie Azerów, wychowane w czasach ZSRS, ciąży ku Moskwie. Młodsza generacja orientuje się na bardziej zrozumiałą językowo Turcję. Niemniej wciąż panuje odziedziczone po epoce sowieckiej przekonanie, że rosyjski jest językiem rządzących elit.

Wpływy wielkiego, północnego sąsiada są jeszcze większe w Armenii. Samych etnicznych Rosjan jest w tym kraju mniej niż 1 proc. A jednak ponad połowa obywateli swobodnie posługuje się rosyjskim jako swoim drugim, po ojczystym, językiem. Ma on również wysoki status w tamtejszym szkolnictwie. Rosyjski jest oficjalnie traktowany jako obcy, ale obowiązkowy do nauki w szkole. Również trzecie z państw Kaukazu nie jest wolne od wpływów dawnego okupanta. W 2022 r. amerykański think tank National Demokratic Institute oraz gruzińska organizacja pozarządowa CRRC Georgia przeprowadziły badanie, z którego wynika, że większość Gruzinów rozumie język rosyjski. 19 proc. respondentów włada tym językiem w stopniu zaawansowanym, 42 proc. – w stopniu średnim, a 23 proc. przyznało się do podstawowej znajomości rosyjskiego. To przypadek dość specyficzny. Rosjanie, sprzeciwiający się inwazji na Ukrainę, najchętniej uciekali do Gruzji. Z jednej strony rosyjskie wpływy w tym kraju po 24 lutego 2022 r. wzrosły. Z drugiej strony – paradoksalnie – były to wpływy rosyjskich środowisk opozycyjnych, antywojennych. Gruzja w ostatnich latach geopolitycznie odwraca się od Zachodu w stronę Moskwy. W społeczeństwie żywe są jednak wspomnienia wojny z 2008 r. Dlatego np. w Tbilisi ukształtował się raczej negatywny stosunek do języka rosyjskiego, więc w przestrzeni publicznej, jeśli chodzi o języki obce, preferowany jest angielski. W znanym barze Dedaena Rosjanie są wpuszczani pod warunkiem wypełnienia ankiety, w której muszą potępić „specoperację" i zapewnić, że nie głosowali w przeszłości na Putina. Z kolei np. w turystycznym mieście Batumi język rosyjski słychać wszędzie i jest on postrzegany neutralnie. Fala uchodźców po 24 lutego 2022 r. tylko wzmocniła tendencję, istniejącą już wcześniej. W 2012 r. do znajomości języka rosyjskiego przyznawało się ponad 96 proc. mieszkańców Tbilisi.

BEZ OBAW O DERUSYFIKACJĘ

Kulturowe wpływy Moskwy wciąż są potężne również w Azji Środkowej. Prezydent Kazachstanu, Kasym-Żomart Tokajew, w przededniu inwazji Rosji na Ukrainę musiał poprosić Putina o pomoc w tłumieniu antyrządowych protestów. Jednak już po rozpoczęciu „specoperacji" próbuje prowadzić niejednoznaczną, wielowektorową politykę. Gdy z Wołodymyrem Zełenskim demonstracyjnie rozmawiał po angielsku (zamiast po rosyjsku), oburzona rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa nazwała to „niesłychaną rusofobią". Moskwa nie musi się jednak szczególnie obawiać derusyfikacji Kazachstanu. Według spisu ludności z 2021 r. 80,1 proc. obywateli tego państwa mówi po kazachsku, 83,7 proc. – po rosyjsku. Po rozpadzie ZSRS w Kazachstanie funkcjonowały dwa równorzędne języki urzędowe. Stan ten zmieniono w grudniu 2021 r. Odtąd kazachski i rosyjski nadal są traktowane jako urzędowe, ale wyższy status ma ten pierwszy. Ponadto w 2017 r. ówczesny prezydent Nursułtan Nazarbajew ogłosił stopniowe przejście języka kazachskiego z cyrylicy na alfabet łaciński. Proces ten wciąż trwa. To jednak bardziej symboliczna niż realna derusyfikacja, bo i tak pozycja rosyjskiego jest niepodważalna, co w publicznych wypowiedziach przyznaje sam Tokajew. Ambasador Kazachstanu w Moskwie Dauren Abajew stwierdził niedawno, że aż 95 proc. jego rodaków mówi po rosyjsku. Znany kazachski politolog Gaziz Abiszew w swoim komentarzu w mediach społecznościo-

eprasa.pl aacf224baf

wych nieco te szacunki skorygował. Ocenił, że 95 proc. Kazachów nie tyle płynnie mówi po rosyjsku, ile dobrze ten język zna, ponieważ „wszyscy w tym czy innym stopniu korzystają z treści rosyjskojęzycznych, oglądając filmy, seriale, bajki, programy na YouTube, rolki na TikToku itd.". Polemizując z opinią dyplomaty, zarazem potwierdził więc ogromne wpływy Moskwy w swoim kraju.

Sami Kazachowie zresztą tworzą kulturę masową w języku rosyjskim. Koronne dowody można usłyszeć na tamtejszej scenie muzycznej. Po kazachsku co prawda śpiewa 40-letnia dziś popgwiazda Erke Emsachan, jednak stylistycznie łudząco przypomina podobnego rodzaju wykonawców rosyjskich. Przyszłość należy jednak do 19-letniego Nurmuchameda Żakypa, który już od kilku lat zbiera wielomilionowe wyświetlenia popowymi hitami po rosyjsku. Nic jednak (może poza filmem „Borat") nie rozsławiło Kazachstanu, tak jak utrzymany w klimacie elektronicznego folku utwór „Ajdachar" w wykonaniu zespołu Irina Kajratowna. Chociaż tekst jest rosyjskojęzyczny, to w prześmiewczym teledysku pokazany jest kazachski step. Oficjalny wideoklip w rok zebrał ponad 300 mln wyświetleń. Można zaryzykować stwierdzenie, że o podobnych zasięgach artyści śpiewający, piszący i mówiący po kazachsku mogliby jedynie pomarzyć.

Podobnie jest w innych krajach Azji Środkowej. Sytuację w regionie po wybuchu wojny na Ukrainie przeanalizował portal Euroradio.fm, opierając się na wypowiedziach dziennikarzy z Kazachstanu i Tadżykistanu. Sprawą zajęły się media krytyczne wobec Moskwy. A mimo to rezultat ich analizy był raczej optymistyczny dla sympatyków Putina. W Tadżykistanie język rosyjski wciąż uważany jest za klucz do kariery i warunek dostępu do współczesnej literatury czy najnowszych technologii. Angielski jest co prawda bardziej perspektywiczny, jednak rosyjski pozostaje bardziej dostępny. W wielu rodzinach powszechne jest przekonanie, że dzieci po skończeniu szkoły i tak pojadą studiować albo pracować do nieodległej Rosji, a nie do krajów anglojęzycznych.

Z kolei władze Kirgistanu próbują walczyć z wpływem kulturowym dawnego okupanta. Czynią to jednak równie nieskutecznie, jak rządzący Kazachstanem. Pod koniec 2023 r. przyjęta została ustawa zobowiązująca urzędników państwowych, parlamentarzystów, lekarzy i nauczycieli do posługiwaniem się językiem kirgiskim. Moskwa uznała tę zmianę za akt rusofobii. Jej obawy jednak okazały się nie do końca uzasadnione. Doradca prezydenta Kirgistanu Kanybek Osmonalijew publicznie przyznał, że urzędnicy fatalnie sobie radzą z nauką rodzimego języka. Niska jest zdawalność egzaminów językowych nawet na najbardziej podstawowym poziomie A1. Często oblewają właśnie etniczni Kirgizi, ponieważ zazwyczaj już na samym początku zawodowego życia zorientowani są na karierę w języku rosyjskim. Z publicznych wypowiedzi kirgiskich polityków czy urzędników, broniących decyzji o wsparciu dla mowy ojczystej, przebija mniej więcej następujące, bardzo znamienne przesłanie. Można je streścić następująco: „Nie chcemy prześladować języka rosyjskiego. I tak wiadomo, że ten język znamy, to w końcu język światowej nauki, literatury i sztuki, ale też polityki czy dyplomacji. Nie wymaga więc ochrony prawnej, bo nie wymiera, w odróżnieniu od naszego języka". To pokazuje, że nawet zwolennicy derusyfikacji Kirgistanu nie mają złudzeń – rosyjski pozostanie lingua franca.

Wielka kultura rosyjska i wielki język rosyjski nie są jedynie wymysłami kremlowskiej propagandy

Relatywnymi sukcesami na polu zwalczania rosyjskich wpływów mogą się pochwalić rządzący Turkmenistanem. Jeszcze przed wybuchem wojny radykalne reformy doprowadziły do sytuacji, w której w 2020 r. tylko 18 proc. obywateli mówiło po rosyjsku. Przełomem stało się to, co jeszcze nie udało się do końca władzom Kazachstanu. Czyli zamiana cyrylicy na łacinkę. Obecnie w Turkmenistanie wydawana jest tylko jedna gazeta po rosyjsku, podczas gdy w innych państwach regionu media rosyjskojęzyczne dominują w przestrzeni informacyjnej. Aszchabad jest jednak samotną wyspą na oceanie postsowieckiej rusyfikacji. Uzbekistan już w 1993 r. zaplanował przejście na alfabet łaciński. I dopiero tej jesieni uzbeckie media informowały o tym, że władze kraju zaczęły stosować łacinkę.

WYPLENIĆ WPŁYWY DAWNEGO ZABORCY

Osobne zagadnienie stanowią kraje bałtyckie. Chociaż nie tylko skutecznie wyrwały się spod politycznych wpływów Moskwy, lecz także weszły do Unii Europejskiej i NATO, stając się awangardą oporu przeciwko rosyjskiemu imperializmowi, to ich władzom nie udało się do końca wykorzenić wpływów dawnego okupanta. Rosyjskojęzyczna mniejszość na Litwie, Łotwie i w Estonii stanowi odpowiednio 6, 32 i 27 proc. ludności. Z jednej strony, obawiające się Moskwy władze tych krajów patrzą na tę grupę podejrzliwie. Szczególnie że rosyjskojęzyczni niechętnie integrują się ze społeczeństwem. Z drugiej strony, są raczej lojalni wobec krajów, w których mieszkają, a Kreml do tej pory nieszczególnie garnie się do użycia tych środowisk przeciwko państwom bałtyckim. Z trzeciej strony, po rosyjsku mówią tam nie tylko miejscowi Rosjanie, lecz także uchodźcy z Ukrainy, Białorusi oraz z samej Rosji – chociażby Łotwa jest ważnym ośrodkiem antyputinowskiej emigracji.

Rosyjski pozostaje więc lingua franca na obszarze postsowieckim. Władze państw powstałych lub odrodzonych po rozpadzie ZSRS albo nie chcą, albo nie potrafią wyplenić kultury dawnego zaborcy. Widać to na samej Ukrainie, gdzie rosyjska muzyka czy rosyjskie seriale wciąż cieszą się cichą popularnością nawet wśród żołnierzy na froncie. Moskwa, znana ostatnio głównie ze stosowania twardej, militarnej siły, równie (a może nawet bardziej) skuteczna jest w posługiwaniu się miękką siłą. Wielka kultura rosyjska i wielki język rosyjski nie są jedynie wymysłami kremlowskiej propagandy – ich siła pozostaje, nomen omen, zabójczo efektywna.

To też nauka dla polskich polityków i dyplomatów. Język rosyjski trzeba znać nie tylko po to, by negocjować zakończenie wojny z Rosją, lecz także po to, by za jego pośrednictwem porozumiewać się z ogromną częścią świata niezachodniego. Po rosyjsku wciąż świetnie mówią nawet ci, którzy spod wpływu Kremla chcą się uwolnić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf



FOT. ANDERSON COELHO/REUTERS/FORUM

PROTESTY INDIAN

Podczas konferencji klimatycznej COP30 w Belém (Brazylia) doszło do gwałtownych protestów. Dziesiątki przedstawicieli ludów tubylczych próbowały wedrzeć się na teren obrad, żądając większego udziału dla siebie w decyzjach dotyczących ochrony Amazonii. W trakcie zamieszek wyłamano drzwi. Jeden z ochroniarzy został ranny.

CIĘŻKI ŻART

W Aleksandrii w stanie Wirginia trzech zamaskowanych osobników zostało wpuszczonych do domu przez kobietę, która wystraszyła się ich gróźb usłyszanych przez wideodomofon. Intruzi nic jej nie zrobili. Niemniej, gdy weszli, przerażona gospodyni natychmiast wezwała swojego brata. Ten przybył tuż po odejściu napastników. Miał broń palną, której gotów był użyć. Następnie zawiadomiono policję. Zamaskowanymi osobnikami okazali się nastoletni synowie i siostrzeniec ofiary. Napad miał być żartem.

KŁOPOT Z ZABAWKĄ

W Ramsgate (Anglia) dwóch nastolatków bawiło się kajdankami zabawką. W pewnym momencie noga jednego z nich utknęła w przedmiocie. Matka drugiego, u którego to wszystko się działo, nie mogła pomóc, więc wezwała strażaków i policjantów. Ci okazali się bezradni. Żeby uwolnić nastolatka, trzeba było ściągnąć specjalistyczną ekipę ratowniczą. Przybyli na ratunek mężczyźni wprawili kobietę w zakłopotanie. Byli przekonani, że feralny przedmiot to jej zabawka erotyczna.

JAKBY NIE ŻYLI

Największa sieć placówek służby zdrowia w stanie Maine przeprosiła swoich pacjentów po tym, gdy wysłano do nich listy, z których wynikało, że nie żyją. Przyczyną zaistniałej sytuacji była awaria komputera. Sprawiła ona, że wysłano 521 listów za pośrednictwem systemu innej firmy. Każdy z nich był zaadresowany do pacjenta i napisany tak, jakby człowiek ten nie żył.

MACZETAMI NA JEZDNI

Do szokującego incydentu doszło na jednej z ulic Leeds (Anglia). Trzech mężczyzn odzianych na czarno zostało uchwyconych na nagraniu w momencie, gdy na jezdni wymachiwali nawzajem maczetami, a obok nich leżał rower, który blokował przejazd. Sytuacja wywołała wśród internautów oburzenie i przerażenie. Policja aresztowała uczestniczącego w zajściu 18-latka. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

AI, czyli szansa dla Polski

Jak modele sztucznej inteligencji, takie jak MedGemma, już teraz trafnie rozpoznają raka na podstawie zdjęć RTG i dermatologicznych? Jak AI pomaga w tworzeniu map mózgu i wyjaśnieniu jego działania? Czy za kilka lat każdy z nas będzie miał w smartfonie świetnego „lekarza pierwszego kontaktu"? Jak AI ułatwia pracę naukowców, przyspieszając odkrycia molekularne czy podpowiadając, czy dana hipoteza ma szansę się potwierdzić czy lepiej szukać innych celów terapeutycznych?

O kluczowych osiągnięciach w rozwoju sztucznej inteligencji nie tylko na styku sztucznej inteligencji, nauki i medycyny, lecz także w sektorze edukacji eksperci z różnych krajów świata rozmawiali w minioną środę podczas konferencji Google Research@ w Warszawie. Wśród nich byli m.in. Susan Thomas – znana nieoficjalnie jako „Doktor Google", bo to ona stoi na czele Google Health. Byli też wiceprezes Google Yossi Matias, Tiago Costa z Imperial College London, Johann Danzl z Instytutu Nauki i Technologii Austrii (ISTA) czy prof. Piotr Sankowski z Instytutu Informatyki na Uniwersytecie Warszawskim.

Profesor Sankowski, dyrektor Instytutu Badawczego IDEAS, jest jednym z najlepszych ekspertów od AI w Europie. Wśród wybitnych graczy w tej dziedzinie Polaków jest już wielu. Nie bez powodu to właśnie w Warszawie Google zorganizował prestiżową konferencję Research@ (jedyną taką w Europie w całym roku 2025) i nie bez powodu zatrudnia w Polsce tysiące osób. AI może stać się tym elementem, który zapewni Polsce kolejny impuls do dynamicznego rozwoju. Aby tak się stało, potrzebne są inwestycje w naukę, AI i w rozwój polskich innowacji i technologii. ©℗

eprasa.pl aacf224baf



Ostrzeżenie dla republikanów

FOT. ADAM GRAY/BLOOMBERG/GETTY IMAGES



Michał Krupa

Prawica nazwała Zohrana Mamdaniego „dżihadystą", „antysemitą", „komunistą". Ale zamiast mu zaszkodzić, ataki te tylko wzmocniły jego wizerunek jako outsidera, który nie boi się mówić, co myśli

Konserwatywna Ameryka budzi się z kacem po wyborach. Nowy Jork, „stolica świata", ma nowego burmistrza: 34-letniego Zohrana Mamdaniego, demokratycznego socjalistę ugandyjsko-indyjskiego pochodzenia i – co zdaje się najważniejsze dla jego licznych krytyków – muzułmanina. To nie tylko lokalna sensacja – to trzęsienie ziemi dla republikanów i całego ruchu MAGA. Mamdani pokonał byłego gubernatora stanu Nowy Jork Andrew Cuomo i republikanina Curtisa Sliwę, zdobywając 50,4 proc. głosów przy rekordowej frekwencji ponad 2 mln – najwyższej od 1969 r. W tym samym czasie demokraci triumfują w wyborach gubernatorskich: Mikie Sherrill w New Jersey i Abigail Spanberger w Wirginii.

Zohran Kwame Mamdani urodził się w 1991 r. w Ugandzie. Ojciec, Mahmood Mamdani, profesor studiów postkolonialnych na Columbii; matka, Mira Nair, reżyserka nominowana do Oscara („Salaam Bombay!"). Po przeprowadzce do USA w 1999 r. rodzina osiedliła się w nowojorskiej dzielnicy Queens, terytorium imigrantów, gdzie muzułmanie, Latynosi i Azjaci walczą o przetrwanie.

Jako student Mamdani był współzałożycielem ruchu Students for Justice in Palestine – od razu cel ataków syjonistycznej prawicy. W 2020 r. wszedł do Zgromadzenia Stanowego Nowego Jorku jako najmłodszy członek w legislaturze. Sama zaś kampania na mera Big Apple to majstersztyk. Viralowe wideo na TikToku i X: w jednym Mamdani, charyzmatyczny, z akcentem nowojorsko-indyjskim, analizuje, dlaczego danie z food trucka z halalem kosztuje 10 dol. zamiast 5. „Koszt życia to kryzys!" – woła. To nie abstrakcyjne teorie, lecz konkret: wzrost cen o 131 proc. od 2000 r. przy dochodach rosnących tylko o 71 proc., jak podaje raport United Way of New York City. Mamdani obiecywał zamrożenie czynszów i inwestycje w uniwersalną opiekę nad dziećmi, darmowe autobusy i miejskie sklepy spożywcze. Jego plany – 200 tys. tanich mieszkań w 10 lat, podwyżka podatków korporacyjnych do 11,5 proc. – brzmiały radykalnie, ale dla wielu – realnie. Wyborcy, zmęczeni inflacją i nieudolnością dotychczasowych włodarzy miasta odrzucili business as usual.

Te propozycje rezonowały z oczekiwaniami młodych wyborców i imigrantów. Stanowili oni klucz do wspomnianej wcześniej rekordowej frekwencji. Był jednak jeszcze jeden czynnik, który wpłynął na wynik wyborów: Izrael.

STOSUNEK DO IZRAELA

Każdy burmistrz Nowego Jorku wybrany od czasu powstania Izraela w 1948 r. odwiedzał to państwo, wzmacniając w ten sposób więzi i koneksje z dużą społecznością żydowską mieszkającą w tym mieście – największą poza Izraelem. Kluczowym momentem kampanii na burmistrza w tej sprawie była debata z czerwca roku 2025. Prowadzący moderatorzy zapytali o pierwszą wizytę zagraniczną. Cuomo odpowiedział: „Izrael, by wzmocnić więzi". Mamdani zaś oświadczył: „Nie pojadę, bo priorytetem jest Nowy Jork". I dodał: „Jak powiedziałem, nie trzeba odwiedzać Izraela, by okazywać wsparcie nowojorskim Żydom. Wierzę, że wspieranie żydowskich nowojorczyków oznacza spotykanie się z nimi tam, gdzie naprawdę są – w ich synagogach i świątyniach, w domach, na peronach metra czy w parkach, gdziekolwiek to będzie". Ale na tym delikatna prowokacja się nie skończyła. Następnie moderator zapytał Mamdaniego: „Tak czy nie, czy wierzy pan w żydowskie Państwo Izrael?". Mamdani odpowiedział: „Wierzę, że Izrael ma prawo do istnienia". Moderator dopytał: „Jako państwo żydowskie?". Na co Mamdani odparł: „Jako państwo z równymi prawami".

Natychmiast Cuomo i inni kandydaci zareagowali atakiem na Mamdaniego. Zarzucili mu, że ten nie powiedział, iż popiera prawo Izraela do istnienia jako państwo żydowskie! Dlaczego akurat ta

eprasa.pl aacf224baf

kwestia ma istotne znaczenie w mieście, w którym szczury dosłownie tańczą na poręczach w wagonach nowojorskiego metra, nikt nie wytłumaczył.

Publiczność obecna na debacie, mieszanka młodych, imigrantów i progresywistów, nagrodziła go owacją. Wyniki sondażu wśród uczestników debaty pokazały, że 65 proc. z nich poparło słowa Mamdaniego. To miał być jednak koniec młodego kandydata – moment, który zepchnie tego polityka na margines sceny politycznej. A przecież jego oparta na oddolnym zaangażowaniu kampania demokratyczno-socjalistyczna wyniosła go z zupełnego cienia niemal na równy poziom z człowiekiem, którego nazwisko zna każdy nowojorczyk. Stacja NBC4, która prowadziła debatę, określiła odpowiedź Mamdaniego jako „co najmniej kontrowersyjne stwierdzenie – zwłaszcza w Nowym Jorku". W mieście, gdzie mieszka 1,1 mln Żydów, to mogło wyglądać na ryzykowne stwierdzenie, ale – jak się szybko okazało – wielu Żydów stanęło w obronie kandydata. W październiku br. ponad 200 rabinów podpisało się pod listem otwartym broniącym Mamdaniego przed atakami innych ugrupowań żydowskich. List zatytułowany „Żydzi na rzecz wspólnej przyszłości" odrzucał argument, że faworyt wyścigu był nie do przyjęcia ze względu na swój sprzeciw wobec Izraela, i przekonuje, że Żydzi powinni postrzegać swoje bezpieczeństwo w Nowym Jorku – i poza nim – jako nierozerwalnie związane z bezpieczeństwem innych.

„W odpowiedzi na żydowskie obawy dotyczące wyborów na burmistrza Nowego Jorku uznajemy, że poparcie kandydata Zohrana Mamdaniego dla palestyńskiego prawa do samostanowienia wynika nie z nienawiści, lecz z jego głębokich przekonań moralnych" – czytamy w liście. „Choć w niektórych kwestiach możemy się różnić, to podkreślamy, że tylko autentyczna solidarność i budowanie relacji mogą zapewnić trwałe bezpieczeństwo. Ta postawa podtrzymywała nas przez pokolenia, gdziekolwiek żyli Żydzi, i wciąż pozostaje naszą jedyną drogą naprzód". Prawica odpowiedziała przewidywalnie: nazwano go „dżihadystą", „antysemitą", „komunistą". Zamiast zaszkodzić, te ataki jednak tylko wzmocniły jego wizerunek jako outsidera, który nie boi się mówić, co myśli. Konserwatywny publicysta Sohrab Ahmari trafił w sedno: „Kampania przeciw Mamdaniemu ujawniła głębszy kryzys w Partii Republikańskiej i na całej prawicy: niezdolność do przeciwstawienia optymistycznej – choć idealistycznej – wizji Mamdaniego czegokolwiek poza boomerskim straszeniem islamem i komunizmem. Jeśli to strategia na wybory środka kadencji roku 2026 i prezydenckie 2028, to prawica ma poważny problem". Jak wykazały exit poll telewizji CNN, dla prawie połowy wyborców Mamdaniego kwestia izraelska miała kluczowe znaczenie. Daniel McAdams, współpracownik byłego kongresmena Rona Paula, miał rację, gdy napisał dzień po wyborach na X: „Mamdani wygrał nie dlatego, że Nowy Jork jest socjalistyczny. Wygrał, ponieważ Ameryka nie może znieść Izraela. A republikanie zaprzeczają tej prawdzie".

Jeśli prawica nie wyciągnie wniosków z triumfu muzułmańskiego imigranta z Queens, to sama utoruje sobie drogę do kolejnych, jeszcze boleśniejszych klęsk

Sukces Mamdaniego ujawnia coś znacznie głębszego niż tylko zmianę preferencji wyborczych. Nowy Jork był zawsze czymś więcej niż miastem. To laboratorium amerykańskiego ducha, scena, na której testowane są idee przyszłości. Jeśli więc wygrywa w nim polityk otwarcie socjalistyczny, który odmawia wizyty w Izraelu i obiecuje darmową komunikację, to nie jest to lokalna ciekawostka. To znak czasu. To sygnał, że nawet w sercu kapitalizmu rodzi się tęsknota za czymś, co przypomina wspólnotę.

ZDJĘCIE Z MŁODYM SOROSEM

Fenomen Mamdaniego odsłonił również głębszy kryzys amerykańskiej prawicy.

Po prawie roku rządów Donalda Trumpa w wersji MAGA 2.0 republikanie powinni być silni. A jednak przegrywają nawet tam, gdzie Trump w ostatnich wyborach był w stanie zbudować nowe i szerokie koalicje wyborcze. Przyczyna nie leży w demografii, ale w intelektualnej pustce.

Oprócz syjonistycznej obsesji wielu konserwatystów w Ameryce nie potrafi dziś odpowiedzieć na pytanie: Czym właściwie jest wolność? Czy to tylko brak regulacji czy też możliwość utrzymania rodziny i wychowania dzieci bez długu? Mamdani, choć socjalista, potrafił na to pytanie odpowiedzieć: wolność to prawo do godnego życia. Prawica, zamiast podjąć dyskusję, wybrała inwektywy. Gdy Trump nazywał Mamdaniego „komunistycznym lunatykiem", a inni republikańscy luminarze żartowali o nadchodzącym „kalifacie Mamdaniego", młody kandydat walczył o każdy głos. W tym samym czasie sondaże potwierdzają dramatyczny spadek poparcia Donalda Trumpa wśród osób w wieku 18–29 lat – z ok. 50 proc. w lutym 2025 r. (tuż po jego inauguracji na drugą kadencję 20 stycznia) do 20 proc. pod koniec października. Ten trend pokrywa się z szerszymi tendencjami rosnącego sprzeciwu wobec Izraela wśród młodych Amerykanów, napędzanego konfliktem w Gazie. Niezadowolenie młodych z poparcia USA dla działań wojskowych Izraela wzrosło do ponad 40 proc.

Jakie będą rządy Mamdaniego w „mieście, które nigdy nie śpi"? Na razie trudno powiedzieć. W ostatnich dniach świat obiegło zdjęcie, na którym Mamdani pozuje u boku syna George'a Sorosa. Nie napawa ono optymizmem w kontekście wizji lewicowego populisty, który zapowiadał wydanie wojny korporacjom, lobby deweloperskiemu, Wall Street i syjonistom. A może to właśnie strategia Mamdaniego – subtelna lekcja, że jeśli chodzi o wyznaczanie celów w politycznej walce, trzeba umieć mądrze układać priorytety? Czas pokaże.

Jest jednak coś, co można stwierdzić już teraz: Nowy Jork nie upadł – jeszcze – a prawica, pogrążona w brutalnej wojnie o przyszłość Partii Republikańskiej po erze Trumpa, jeśli nie wyciągnie wniosków z triumfu muzułmańskiego imigranta z Queens, to sama utoruje sobie drogę do kolejnych, jeszcze boleśniejszych klęsk, najpierw w walce o Kongres, a następnie o Biały Dom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf



FOT. HENRY NICHOLLS/AFP/EAST NEWS

BBC: Historia pewnego upadku



Teresa Stylińska

„Nie można wierzyć BBC" – tytuł, którym tygodnik „The Spectator" opatrzył artykuł poświęcony wielkiej aferze wokół brytyjskiej korporacji medialnej, precyzyjnie ujmuje istotę rzeczy. BBC, która wyznaczyła standardy informowania o wydarzeniach i ich komentowania i która przez lata stanowiła wzór rzetelności dziennikarskiej, jest dziś kompletnie niewiarygodna

Brytyjska BBC spadła z piedestału z wielkim hukiem, jak to bywa, gdy upadają autorytety. Bo autorytetem, nie tylko w życiu Wielkiej Brytanii, lecz także na światowej scenie medialnej, BBC była niewątpliwie.

Można by, dodając sprawie nieco pikanterii, podkreślić, że upadek nastąpił w 100-lecie istnienia British Broadcasting Corporation, która powołana została do życia w 1922 r. Rzecz w tym, że proces degrengolady instytucji, która miała za zadanie, jak to ujął jej twórca John Reith, „informować, edukować i bawić", postępował od co najmniej kilkunastu lat. To, co dzieje się teraz, to tylko jego zwieńczenie. Zasady dziennikarskiej rzetelności ustąpiły miejsca pożądanym postępowym ideom, propagowanym gorliwie i często ze szkodą dla prawdy. Obok trzech zasad Johna Reitha w BBC – nieoficjalnie, lecz dostrzegalnie – sformułowano czwartą: „kształtować nowy świat". Dlatego, zamiast myśleć o 100-leciu, należałoby raczej powiedzieć: nareszcie...

To, w którym kierunku podąża BBC, widziano od dawna. Wielokrotnie też zapowiadano, że uchybienia, wśród których kardynalne jest lekceważenie świętej zasady bezstronności, zostaną naprawione. Nie zostały. Mimo to BBC mogłaby pewnie funkcjonować tak jak do tej pory, gdyby nie to, że jej dziennikarze na swoje nieszczęście wzięli na cel Donalda Trumpa i spreparowali jego wypowiedź w duchu, który uznali za słuszny. Gdy sprawa wyszła na jaw, trudno było udawać, że nic się nie stało.

DALEKO OD ZASAD

Bomba wybuchła za sprawą dziennika „Daily Telegraph", który na początku listopada ujawnił treść raportu, który parę miesięcy temu sporządził Michael Prescott, pełniący w BBC rolę niezależnego doradcy do spraw standardów i etyki dziennikarskiej. Raport nie pozostawiał suchej nitki na działaniach jej władz i dziennikarzy. Prescott zarzucał im przede wszystkim brak obowiązkowej bezstronności w relacjonowaniu wydarzeń, a także praktykowanie posunięć tak nagannych, jak fabrykowanie materiałów pod z góry przyjęte założenia.

W taki właśnie sposób, jak ujawnił, powstała wypowiedź Donalda Trumpa, zaprezentowana w magazynie „Panorama" jesienią ubiegłego roku przed wyborami prezydenckimi. Pokazano Trumpa, który 6 stycznia 2021 r., w dniu, gdy Kongres zatwierdzał wynik wyborów, zachęca swych zwolenników do ataku. „Pójdziemy na Kapitol – mówi – i ja będę z wami. Będziemy walczyć i zgotujemy im piekło".

Tylko że Trump wcale tego nie powiedział. To dziennikarze „Panoramy" zmontowali fragmenty jego wypowiedzi z tego dnia, wygłaszanych zresztą w różnym czasie, by – było to jasne jak słońce – pokazać go w jak najgorszym świetle. Bo w BBC niczego i nikogo nie nienawidzono tak bardzo jak Trumpa. W rzeczywistości po słowach o pójściu na Kapitol dodał on, że „będziemy tam dopingować naszych wspaniałych senatorów, kongresmenów i kongresmenki". Zapewnił ponadto – co redakcja pominęła – że wspólny marsz będzie miał charakter pokojowy.

W tej sytuacji prezydent USA zapowiedział, że zażąda od BBC odszkodo-

eprasa.pl aacf224baf

wania w wysokości miliarda dolarów. Dwa dni później dyrektor generalny BBC Tim Davie i szefowa pionu informacji Deborah Turness podali się do dymisji. Ale oświadczenie, które z tej okazji wydano, trudno odebrać jako akt ekspiacji i przejaw świadomości, że BBC uchybiła zasadom. Opinia publiczna dowiedziała się, że odchodzą, bo z ich powodu może ucierpieć cała instytucja, czemu skądinąd nie da się zaprzeczyć.

Michael Prescott, nie widząc żadnej reakcji na swój raport, w czerwcu wycofał się ze współpracy z BBC. Ta zaś wkrótce kolejny raz udowodniła, że jego ocena była najzupełniej trafna: w reportażu o wojnie w Gazie w roli głównego narratora wystąpił syn ministra z ramienia Hamasu. Co nie powinno specjalnie dziwić, bo nie od dziś wiadomo, że w konflikcie izraelsko-palestyńskim BBC bierze stronę Palestyńczyków.

KSZTAŁTOWANIE NOWEGO ŚWIATA

Tymczasem właśnie stronniczość w połączeniu ze wspomnianym pragnieniem kształtowania nowego świata stała się dominującą cechą przekazu w wykonaniu BBC. Składają się na to dobieranie tematów i wybieranie rozmówców – takich, którzy przekażą widzom telewizji BBC, słuchaczom jej radia i czytelnikom portalu BBC News pożądane ideowo treści. Weźmy relacje z Polski. Rozmówcy, na których opiniach opierają się wysłannicy BBC, to niezmiennie ludzie z „Gazety Wyborczej" i innych lewicowych mediów czy NGO-sów. Interlokutor z kręgów prawicy to prawdziwy ewenement. Nie ma powodu, by sądzić, że inne kraje czy regiony są traktowane inaczej.

Lewicową ideologię odzwierciedla naturalnie dobór słownictwa. Partia „populistyczna", czyli jaka? Oczywiście prawicowa. BBC zresztą wszystko wykłada jasno, bez bawienia się w subtelności. Rasizm jest zły, imigracja jest dobra, ideologia genderowa także, podobnie feminizm i rzecz jasna #MeToo, ludzie trans zasługują na wszelkie względy i ochronę, muzułmanów nie wolno obrażać (co zresztą przed laty podniósł Daniel Kawczyński, deputowany polskiego pochodzenia, zarzucając BBC, że śmiało obraża Polaków, bo muzułmanów się boi), a zmiany klimatyczne są nieubłagane i bez wątpienia zniszczą planetę. Fatalny jest brexit, a najgorszy Trump.

Według BBC można by stworzyć uproszczone kompendium należytego myślenia – w równej mierze u odbiorców, co wśród pracowników. Lansowanie lewackiej ideologii przekłada się bowiem na wewnętrzne funkcjonowanie firmy, w której ludzie o poglądach innych niż obowiązujące nie mają czego szukać. W ostatnich latach wyznacznikiem stał się stosunek do idei i języka trans. Catherine Leng, niegdyś dziennikarka BBC, krytyczna wobec ideologii gender, z tego powodu musiała odejść z pracy w BBC News. Dziennikowi „The Times" zdradziła, że o tym, jak pisać o LGBT, w BBC wcale nie decydują kierownicy ani starsi, doświadczeni dziennikarze, lecz pracownicy najmłodsi. Dlaczego? Bo starsi na tym polu nie czują się pewnie i boją się, że mogą popełnić jakiś niewybaczalny błąd.

Naprawdę szokujące było jednak zdecydowane poparcie, które BBC okazała ruchowi Black Lives Matter, również na terenie Wielkiej Brytanii. Nie było końca kajaniu się za przeszłe winy, zwłaszcza niewolnictwo, chociaż to Brytyjczycy pierwsi zakazali handlu niewolnikami na terenie imperium. BBC nie zdobyła się również na to, by skrytykować ekscesy BLM-owskich aktywistów, którzy demolowali budynki i ulice, niszczyli pomniki, zarzucali rasizm, komu tylko się dało, w tym Winstonowi Churchillowi, i odsądzali od czci i wiary filantropów, bo majątek zdobyli oni dzięki pracy niewolników. W owym czasie BBC nie wykazała się ani odrobiną patriotyzmu i dumy narodowej i nigdy nie skrytykowała wandali – zarówno obcego pochodzenia, jak i rodzimych – którzy niszczyli brytyjski dorobek.

Poza sferą pracy i ideologii odnotujmy też afery dziennikarskie i obyczajowe. W kategorii pierwszej mieści się słynny wywiad z księżną Dianą z 1995 r. Młody dziennikarz, Martin Bashir, skłonił ją do rozmowy podstępem, namawiając, by publicznie przedstawiła swą wersję związku z Karolem. Powinna, skoro jej pracownicy przekazują mediom informacje, za które dostają pieniądze. Na dowód przedstawił przelewy bankowe – tyle że fałszywe. Gdy sprawa wyszła na jaw, instancje wewnętrzne BBC rozgrzeszyły Bashira z zarzutu naruszenia zasad etycznych. Zapewne dlatego, że wywiad był jednym z największych hitów w jej historii...

Najbardziej drastyczna afera obyczajowa to sprawa pedofila Jimmy'ego Savile'a, autora popularnych programów dla dzieci, który – jak się okazało – bez oporów wykorzystywał je przy pracy. Ponieważ wyszło to na jaw już po jego śmierci, Savile uniknął kary, reputacja BBC jednak poważnie ucierpiała. Jak to możliwe – pytano – że przez lata robił, co chciał, a nikt tego nie zauważył.

SKARB NARODOWY W ROZSYPCE

Zmiany w BBC dokonują się, gdy wstrząs przekracza granice tolerancji. Tak było w 2020 r., gdy kierownictwo zdecydowało, że, wbrew tradycji, podczas ostatniego koncertu promenadowego nie będzie wspólnego wykonania dwóch patriotycznych pieśni: „Rule, Britannia!" („Rządź, Brytanio!") i „Land of Hope and Glory" („Kraj nadziei i chwały"). Śpiewa całe audytorium Royal Albert Hall – 5 tys. ludzi. Czy jednak w dobie BLM wypada sugerować, że Brytania ma rządzić? Czy chwała nie jest czymś cokolwiek wstydliwym? Czy na miejscu jest wzmianka o niewolnikach, którymi Brytyjczycy, według „Rule, Britannia!" nigdy nie będą?

Kompromisowe rozwiązanie – pieśni zaśpiewał chór – nie zadowoliło ani władz, ani opinii publicznej i ówczesny dyrektor BBC, Tony Hall, pożegnał się ze stanowiskiem. Jego miejsce zajął właśnie Tim Davie. Od razu obiecał powrót do korzeni, czyli do dawnych dobrych zasad, na których oparł BBC jej twórca. Z Daviem, dziennikarzem BBC, wiązano duże nadzieje. A jednak pięć lat jego rządów okazało się prawdziwą równią pochyłą i jak się skończyło, każdy widzi.

Oczywiste są więc pytania o przyszłość BBC, tym bardziej że jej obecna umowa z rządem obowiązuje do końca 2027 r. Czy nadal powinna być medium publicznym, finansowanym z abonamentu opłacanego przez wszystkich posiadaczy odbiorników, czy może – są takie sugestie – nadszedł czas, by przejść na finansowanie z reklam i subskrypcji?

Obecny system nie budził zastrzeżeń, gdy BBC uchodziła za skarb narodowy, stanowiąc przedmiot dumy Brytyjczyków i zazdrości innych. Ale czy dzisiaj jest czego zazdrościć?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf



Ze Sławomirem Wołyńcem, właścicielem i prezesem zarządu EC Zagłębie Dąbrowskie (dawniej Elektrociepłownia Będzin)
rozmawia Tomasz Cukiernik

Wyłączą ogrzewanie?



FOT. V-PROJECT

TOMASZ CUKIERNIK: Jakie znaczenie ma system ciepłowniczy?

SŁAWOMIR WOŁYNIEC: Sektor ciepłowniczy w Polsce jest 2,5-krotnie większy od sektora energetycznego. Zmodernizować sektor energetyczny jest stosunkowo łatwo, ponieważ teoretycznie energię elektryczną możemy przesyłać na tysiące kilometrów pod warunkiem odpowiednich sieci przesyłowych. Są oczywiście straty, ale można. Natomiast żeby to było efektywne, ciepła systemowego nie jesteśmy w stanie przesyłać dalej niż na odległość 20–30 km. I też straty są olbrzymie. Ostatnio na Politechnice Gdańskiej byłem na spotkaniu, gdzie jeden z profesorów przekonywał, że ciepło można przesyłać na odległość 80 km. Teoretycznie pewnie jest to możliwe, natomiast sieci ciepłownicze, które pozwolą na taki przesył, będą absurdalnie drogie, więc trzeba się zastanowić nad sensem takich przesyłów. Jako elektrociepłownia dostarczamy ciepło dla Sosnowca, Czeladzi i Będzina. Nasza historia sięga roku 1913. To jest zakład, który przetrwał pierwszą wojnę światową, drugą wojnę światową, czas PRL. Wierzymy, że przetrwa też Unię Europejską i system EU-ETS. Chociaż nie wszyscy w to wierzą, ja nie tracę nadziei. Ponad połowa polskiego społeczeństwa korzysta z ciepła systemowego. W 2018 r. to było 40 proc., ale wskaźnik ten wzrósł, bo likwidowane są małe osiedlowe ciepłownie, a wiele domów prywatnych i nowych osiedli deweloperskich podłącza się do sieci. Większość z ponad 400 elektrociepłowni to małe zakłady. W najgorszej sytuacji finansowej znajdują się ciepłownie, które są najbardziej pożądane, czyli kogeneracyjne – te, które jak my jednocześnie wytwarzają ciepło systemowe i energię elektryczną. Za 2023 r. ich strata wyniosła 17 proc. Z poważnymi trudnościami szczególnie borykają się prywatne duże elektrociepłownie, takie jak EC Zagłębie Dąbrowskie czy Megatem w Lublinie. Bo elektrociepłownie państwowe mają różnego rodzaju systemy wsparcia, są dotowane wewnątrz grup.

Jak to wygląda u sąsiadów?

Zarówno w Czechach, w których jest urząd regulacji energetyki, jak i w Niemczech, gdzie takiego regulatora nie ma, ceny ciepła systemowego są ok. 60 proc.

eprasa.pl aacf224baf

wyższe niż w Polsce. U nas są obniżone urzędowo. W Czechach ceny są dostosowane do realiów, do rzeczywistych kosztów, a przecież sytuacja Czechów wiele się nie różni od sytuacji polskiej. Nie sugeruję, żeby ciepło systemowe było w Polsce droższe. Uważam, że energia termiczna i elektryczna z węgla jest najtańsza na świecie i nie chodzi o to, żeby podnosić cenę, tylko o to, żeby zlikwidować ETS, który jest bezsensowny.

Wszyscy to wiedzą poza Ministerstwem Klimatu.

Poruszyliśmy ten temat na Wojewódzkich Radach Dialogu Społecznego w Katowicach, Lublinie i Krakowie. Są trzy bliźniacze stanowiska. Rady zgodnie powiedziały, że jeżeli chcemy ograniczać emisję dwutlenku węgla – chociaż uważam, że to nie ma absolutnie żadnego sensu – to konieczne jest dostosowanie systemu taryf dla firm ciepłowniczych do rzeczywistych kosztów produkcji, konieczne są też zmiany dotyczące opłat emisyjnych i kar za emisję. Megatem w Lublinie, który w wyniku modernizacji przeszedł na bloki biomasowe, spóźnił się kilka miesięcy z umorzeniem ETS i dostał karę 61 mln zł, chociaż w dacie, gdy była wydawana decyzja, wszystko było rozliczone. Bo kara – 100 euro plus 22 euro waloryzacja, czyli 122 euro za tonę CO_2 – jest za nieumorzenie w terminie. Ze stanowiska WRDS wynika też brak obiektywnej możliwości odejścia przez sektor w najbliższej przyszłości od produkcji ciepła opartego na paliwach kopalnych. Co ja w takiej sytuacji mogę robić? Mogę ciąć koszty i zwiększać przychody. Ale nie mam wpływu na przychody, bo nie mogę podwyższyć ceny i nie mogę spowodować zwiększenia wolumenu sprzedaży ani ciepła nie mogę sprzedawać w termoforach, np. w Biedronce. Nawet jeżelibyśmy wycięli koszty wszystkie do zera i zostawili tylko koszt paliwa i koszt ETS-ów, to i tak co roku mielibyśmy straty. Co więcej, nawet gdybyśmy chcieli umorzyć bieżące certyfikaty za 2024 r., to nie ma takiej możliwości, jeśli nie mamy w 100 proc. umorzonych certyfikatów za lata wcześniejsze. A suma wszystkich certyfikatów wynosi 2 mln – po ok. 75 euro, czyli ok. 150 mln euro. Nie dysponujemy kwotą 150 mln euro na umorzenie wszystkich certyfikatów, licząc się też z tym, że jeszcze czekają nas kary za nieumorzenie certyfikatów w terminie w wysokości ok. 220 mln euro.

Czyli kary są jeszcze wyższe niż koszt certyfikatów.

Przy cenie uprawnień ok. 75 euro kary są obecnie o ponad połowę wyższe. Od Wojewódzkiego Inspektora Ochrony Środowiska dostaliśmy trzy kary za lata 2020–2022 w łącznej kwocie ok. 740 mln zł. Przez dłuższy czas były one niewymagalne. Nie było możliwości fizycznej, żeby nawet złożyć wniosek o ogłoszenie upadłości, bo spółka nie posiadała żadnych wymagalnych zobowiązań. Wszystkie zobowiązania pieniężne płacimy w terminie. A zobowiązania z tytułu certyfikatów mają charakter prawny niepieniężny.

Dlaczego były niewymagalne?

Bo odwołaliśmy się do Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska. Nasza firma spełnia kryteria infrastruktury krytycznej, więc nie mogę wyłączyć systemu. Niestety, na koniec października GIOŚ wydał decyzję administracyjną nakładającą na nas karę w tożsamej wysokości, jak wcześniej WIOŚ. Uważam, że te decyzje zostały nadane z pogwałceniem prawa unijnego, a także Konstytucji RP.

Ale one zostały nałożone na podstawie ustawy, zgodnie z polskim prawem.

Polskie prawo energetyczne jest wadliwe i stoi w sprzeczności z unijną dyrektywą i Konstytucją RP.

W jakim zakresie jest wadliwe?

Wszystkich zainteresowanych odsyłam na stronę sprawdzamy.com. To jest deregulacja Rafała Brzoski. Jest tam projekt „Sprawiedliwe kary w systemie handlu emisjami EU-ETS", który został przyjęty przez Rządowy Zespół Deregulacyjny we współpracy z ministerstwem. Nie można karać za coś, co było obiektywnie niemożliwe do spełnienia. A w tym momencie jesteśmy w takiej sytuacji, że Urząd Regulacji Energetyki, nie dając wyboru, zmusza do kontynuacji działalności przynoszącej stratę, natomiast WIOŚ karze za to, że nie sprostało się niemożliwym wymogom. W takiej sytuacji jak EC Zagłębie Dąbrowskie jest 14 innych elektrociepłowni w Polsce. I z każdym rokiem ta lista się wydłuża.

Które inne ciepłownie, elektrociepłownie mają podobne problemy?

Między innymi Miejska Energetyka Ciepła w Ostrowcu Świętokrzyskim dostała karę 60 mln zł. Jako ciekawostkę mogę powiedzieć, że NFOŚiGW ma 50 proc. udziałów w tej elektrociepłowni. Megatem Lublin to elektrociepłownia o zbliżonej wielkości do naszej. Dzięki przeprowadzonej tam modernizacji za prawie 370 mln zł Lublin posiada wszystkie zielone certyfikaty świadczące o tym, że jest miastem ekologicznym. Kary dostaje także elektrociepłownia w Wolbromiu. Czasami spotykam się z zarzutem, dlaczego się nie zmodernizowaliśmy wcześniej, skoro od 20 lat było wiadomo, co będzie z ETS. W całym tym okresie łączna suma dywidend, które były wypłacone w spółce, wyniosła ok. 70 mln zł. Jaką modernizację można zrobić za 70 mln zł w zakładzie tej wielkości?

Czy inicjatywa Wojewódzkich Rad Dialogu Społecznego coś wskórała?

Temat ten został poruszony przez przedstawicieli stowarzyszenia Odpowiedzialna Transformacja Energetyczna. Był poruszany na komisjach sejmowych i spotkał się z dużym zrozumieniem. Jest nadzieja na deregulację. Wierzę, że inicjatywa WRDS-ów zostanie wdrożona, ponieważ jest to korzystne dla Polski, dla polskiego ciepłownictwa, i jest po prostu sprawiedliwe. Nawet w przypadku kary śmierci są różne możliwości ukarania, a w przypadku tych kar nie ma miarkowania. Kara jest niezależnie, czy ktoś spóźnił się jeden dzień z zapłatą, dlatego że np. zadziałała jakaś siła wyższa uniemożliwiająca zrealizowanie obowiązku, czy doszło do tego z powodu celowego. Kara jest taka sama.

Problem polega na tym, że te kary są nakładane w trybie ustawy o handlu emisjami, a nie w trybie KPA.

Dokładnie tak. Punkt siódmy stanowiska WRDS w Katowicach mówi właśnie, że konieczne są pilne zmiany w zakresie przepisów regulujących sposób karania podmiotów, które nie dokonały

eprasa.pl aacf224baf

rozliczenia uprawnień do emisji, tak aby zapewnić przestrzeganie zasady proporcjonalności wynikającej zarówno z konstytucji RP, jak i prawa europejskiego.

Ceny za ciepło w różnych miastach dość mocno idą w górę. Drastycznym przykładem jest Ruda Śląska, gdzie mają wzrosnąć o 80 proc. A to podobno tylko początek wzrostów.

To są koszty transformacji energetycznej. Problemem jest to, że każdy wielomiliardowy fundusz może sobie kupić certyfikaty do emisji CO_2, których liczba się przecież nie zwiększa. W efekcie tego, że fundusze potraktowały certyfikaty jako instrument inwestycyjny, ich cena w ciągu czterech lat wzrosła o prawie 2000 proc. Kiedy wchodziliśmy w system ETS, mówiło się o maksymalnie kilku euro od tony węgla. Jeżeli wierzymy w globalne ocieplenie, to można zapłacić taki symboliczny dodatek, ale doszło do 100 euro za jeden certyfikat, a do każdej spalonej tony węgla mam obowiązek umorzenia dwóch certyfikatów, czyli w tej chwili dochodzi do takiego absurdu, że tona węgla kosztuje ok. 400 zł, a dwa certyfikaty to jest koszt ok. 650 zł. I ta druga kwota nie jest w ogóle uwzględniona w taryfie URE. A Ministerstwo Klimatu i Środowiska twierdzi, że cena uprawnień do 2030 r. może osiągnąć nawet 200–300 euro. Co to spowoduje? W przypadku wzrostu do 200 euro koszt wytworzenia ciepła wzrośnie 2,5-krotnie, w przypadku wzrostu do 300 euro – 4,5-krotnie.

Czy widzi pan inne negatywne skutki ETS?

Od 2000 do 2022 r. nakładem gigantycznych środków i kosztem utraty konkurencyjności europejskiej gospodarki UE obniżyła emisję dwutlenku węgla o 27 proc., z poziomu 3,4 mld do 2,5 mld ton rocznie, czyli o 0,9 mld ton, a na świecie w tym samym czasie emisja CO_2 wzrosła z ok. 25 mld do 37 mld ton, czyli 13-krotnie więcej na świecie wzrosła, niż my w Unii Europejskiej obniżyliśmy. Jaki to ma sens? Przecież Unia Europejska nie jest pod jakąś szklaną kopułą. Jeden z ekspertów klimatycznych, z którym rozmawiałem, twierdzi, że badania klimatyczne przypominają obserwacje człowieka, który mieszka blisko autostrady przy lotnisku. Zauważył, że na każde 120 przejeżdżających samochodów startuje jeden samolot. Można dojść do wniosku, że start jednego samolotu powoduje przejazd 120 samochodów. Albo że przejazd 120 aut powoduje start jednego samolotu. Albo że jedno i drugie nie ma ze sobą żadnego związku.

Wierzę głęboko, że ten wiatr, który powiał w Stanach Zjednoczonych w kwestiach klimatycznych, dotrze również do Europy

Pewnie słyszał pan o wyroku Trybunału Konstytucyjnego, który uznał, że ETS jest w Polsce nielegalny, bo został przyjęty w trybie niezgodnym z polską konstytucją. Ale polski rząd – wbrew polskiej racji stanu – nie zamierza wdrażać tego wyroku. Co pan sądzi o tej sytuacji?

Jestem praktykiem energetyki, nie jestem prawnikiem. Wierzę głęboko, że ten wiatr, który powiał w Stanach Zjednoczonych w kwestiach klimatycznych, dotrze również do Europy. Zresztą Europa się budzi. Coraz więcej osób ma tę świadomość. Jeżeli musimy zrobić transformację energetyczną, to zróbmy ją, ale tak, żeby nie wylać dziecka z kąpielą. Rezygnujemy z węgla, którego w Polsce mamy w udokumentowanych zasobach ok. 55 mld ton. Przechodzimy na gaz, którego nie mamy, i musimy importować z odległości tysięcy kilometrów. Z powodu konieczności transportu, w ramach którego dochodzi do emisji CO_2, gaz staje się bardziej emisyjny od węgla. Alternatywą nie jest biomasa, bo nie ma możliwości takich wolumenów. Jedyną alternatywą jest właściwie atom, ale nie jedna elektrownia atomowa, która być może kiedyś powstanie w Choczewie. Ona co najwyżej będzie mogła sobie Bałtyk podgrzewać. Za koszt budowy jednej elektrowni, który wynosi 200 mld zł, można postawić wiele więcej mocy w SMR-ach rozproszonych po całym kraju. Zlokalizowane pojedynczo przy największych skupiskach miejskich w olbrzymim stopniu zaspokoiłyby potrzeby ciepłownictwa.

Tak czy inaczej, wracamy do tego samego problemu, bo uranu, w przeciwieństwie do węgla, w Polsce się nie wydobywa.

Ale mamy w Polsce duże pokłady toru. Możemy być niezależni od dostaw gazu. W czerwcu 2024 r. Chiny uruchomiły pierwszy na świecie eksperymentalny reaktor jądrowy zasilany torem. To pierwsza instalacja tego typu, która osiągnęła pełną moc operacyjną i weszła w fazę testów długoterminowych.

Ale to wszystko powinno mieć ręce i nogi. Najpierw powinniśmy wiedzieć, co zrobimy, jak zrezygnujemy z węgla, a nie likwidować węgiel, nie wiedząc, skąd potem weźmiemy energię elektryczną i cieplną.

W pełni się z panem zgadzam, że nie powinniśmy rezygnować z czegoś, co mamy, dopóty, dopóki nie mamy czym tego zastąpić. Można sprzedać samochód i dopiero szukać kolejnego albo najpierw poszukać kolejnego, zdecydować się, dograć warunki. Bo może się okazać, że pozostaniemy z zimnymi kaloryferami na zimę.

No ale przecież elektrociepłownie produkują smog.

Wydobywający się z naszego 150-metrowego komina dym jest niewidoczny i spełnia wszystkie wymogi. Wędruje w wyższe warstwy atmosfery, nie tworząc smogu. Jedyne, co widać, to skroplona para wodna unosząca się ponad naszymi chłodniami wentylatorowymi, która nie jest żadnym toksycznym oparem. Monitoring spalin pozwala nam określić poziom emisji gazowych poszczególnych związków chemicznych. Musimy spełniać wszystkie normy środowiskowe, co odbywa się pod nadzorem WIOŚ. Jest pewien dopuszczalny poziom pyłów, tlenków siarki, CO, CO_2 i NOx. Elektrociepłownie nie są przyczyną smogu. Przyczyną smogu jest niska emisja. System oczyszczania spalin jest kilkustopniowy. Mamy elektrofiltry, które wytwarzają pole elektrostatyczne, dzięki czemu osiągamy bardzo wysoką skuteczność odpylania do 99,7 proc. Mamy instalację odsiarczania spalin, gdzie zabudowany jest filtr workowy. Przy dopuszczonej wartości rzędu 10 mg emitujemy ok. 0,9 mg. Oprócz tego mamy równoległą instalację redukcji tlenków azotu i redukujemy też rtęć oraz fluorowodór. A dwutlenek węgla nie jest przecież trucizną, tylko gazem życia niezbędnym w procesie fotosyntezy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf



PROSTO ZYGZAKIEM

PIT „zero”? Nie w Polsce!

PIOTR GABRYEL

Nie raz i nie dwa pisałem na tych (i nie tylko na tych) łamach, że znakomitym pomysłem dla Polaków, a zatem i dla Polski, byłaby całkowita likwidacja podatku PIT, czyli podatku od dochodów osób fizycznych; całkowita, bo przecież polscy rolnicy nigdy PIT nie płacili „i jakoś z tym żyją”.

Aby sięgnąć po tylko kilka przykładów: „Polska bez PIT? Polska bez PIT!” – pisałem tu w marcu 2016 r., „Polska – rajem bez PIT?” – pisałem tu w marcu 2019 r., „PIT »zero« dla wszystkich!” – pisałem tu w sierpniu 2022 r.

No i właśnie nadarza się okazja, by do tego pomysłu wrócić, bo oto trafiła do Sejmu – a dokładnie: do sejmowej Komisji do spraw Petycji – petycja, której autorzy domagają się tego samego, co postuluję od lat: skasowania w Polsce PIT, czyli uwolnienia wszystkich Polaków (a nie tylko rolników) od obowiązku płacenia podatku od dochodów osób fizycznych. A ubytek w budżecie państwa z tego tytułu – wynoszący obecnie ok. 97,6 mld zł rocznie – wnioskodawcy proponują zniwelować, likwidując trzy rozdawnicze programy socjalne – nic a nic nieprzyczyniające się do poprawy sytuacji demograficznej Polski zasiłki „800+” oraz 13. i 14. emerytury – na które przeznaczamy w sumie dokładnie tyle samo pieniędzy, ile zabieramy podatnikom płacącym PIT.

„Wpływy z podatku PIT w 2024 r. wyniosły ok. 97,6 mld zł. Łączny koszt programów »800+« (ok. 70 mld zł), 13. emerytury (ok. 13 mld zł) i 14. emerytury (ok. 14 mld zł) wyniósł ok. 97 mld zł. Dochody z PIT są niemal równe wydatkom na te trzy świadczenia” – wskazano w obywatelskiej petycji, dodając, że program „800+” „jest de facto programem socjalnym bez progów dochodowych, co kłóci się z definicji z ideą wsparcia socjalnego z budżetu państwa”, a z kolei „13. i 14. emerytury w praktyce stały się stałym dodatkiem, obciążającym budżet, z ograniczonym wpływem na poprawę sytuacji części emerytów”...

Ale właściwie – zachodzę teraz w głowę – po co mam zabierać państwu czas i wracać do pomysłu likwidacji PIT, skoro wiadomo, że jego los i tym razem jest przesądzony, bo także tym razem utknie on w politycznej zamrażarce? A utknie, bo Polacy od płacenia niższych podatków „od zawsze” wolą kit wciskany im przez polityków – tych z PiS, tych z Platformy, tych z PSL i tych z lewicy – którzy bez przerwy robią im wodę z mózgu, bajerując, że to oni (politycy) lepiej od nich (podatników) wiedzą, na co wydać ich (podatników) pieniądze, odebrane im pod postacią podatków – w tym także pod postacią PIT. Więc znów na nich postawią, czyli znowu powierzą im władzę, pozwalając się im dalej okradać. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Gdzie strategia dla sądownictwa?

ŁUKASZ WARZECHA

Odmowa prezydenta podpisania nominacji na nowe stanowiska dla 46 sędziów wzbudziła wielkie poruszenie, a przecież nie bardzo jest się czym ekscytować.

Po pierwsze – nominacje sędziowskie są wyłączną kompetencją prezydenta, co całkiem jasno stwierdza konstytucja w art. 179. Nawiasem mówiąc, z tego samego artykułu wynika niezbicie, że osoby powołane przez głowę państwa wskutek wniosku Krajowej Rady Sądownictwa od 2018 r. również są sędziami, a nie jakimiś „neosędziami”. Do powołania sędziego prezydent potrzebuje wniosku KRS, ale nie ma obowiązku go uwzględnić. Brak tu automatyzmu.

Prezydent nie ma obowiązku uwzględnić wniosku KRS

Po drugie – obserwując dotychczasowe poczynania Karola Nawrockiego, można było się spodziewać, że sięgnie po wszelkie dostępne instrumenty, aby odpowiedzieć na agresywne działania obecnej władzy.

Po trzecie – w przeciwieństwie do tych właśnie poczynań i próby zbiorowego zakwestionowania statusu części sędziów (wynika to jasno z projektu ustawy praworządnościowej Żurka), decyzja prezydenta nie oznacza podważania czyjegokolwiek statusu. Nie mówimy tutaj również, co oczywiste, o osobach powoływanych na pierwsze stanowisko sędziowskie, bo te nie miały przecież okazji podważać statusu innych sędziów. A tym uzasadnia prezydent swoją odmowę. Mówimy o ludziach, którzy mieli być w wymiarze sprawiedliwości awansowani. Oni nie przestają być sędziami, wydawane przez nich wyroki będą nadal ważne, tyle że mogą się pożegnać z myślą o nowych stanowiskach.

Przy tym wszystkim trzeba spojrzeć na sytuację z dystansu. Kibicowanie jednej albo drugiej stronie wojny o wymiar sprawiedliwości może być emocjonujące, ale nie rozwiązuje problemu. Podobnie nie rozwiązuje go projekt ustawy, przygotowany przez Ministerstwo Sprawiedliwości, a chyba w ramach kpiny przez prorządowe media zwany kompromisowym. I nawet jeśli dzisiaj nie ma szans na porozumienie, to również od prezydenta można oczekiwać, że już w tym momencie zacznie rysować koncepcję wyjścia z impasu w momencie, gdy warunki polityczne się zmienią. Nie wystarczy reagować, trzeba również pokazać zdolność do tworzenia strategicznych planów. ©℗

eprasa.pl aacf224baf

Ostatni taki list Mędrca z Omaha





Jacek Przybylski

To koniec pewnej epoki. Miliarder i legendarny inwestor Warren Buffett opublikował ostatni list do akcjonariuszy funduszu Berkshire Hathaway. Dziewięćdziesięciopięciolatek zapowiedział, że „zamilknie" po odejściu ze stanowiska i przyspieszy tempo rozdawania na cele charytatywne zgromadzonych miliardów

Warren Buffett. Żaden inny inwestor nie jest tak dobrze znany w najróżniejszych krajach świata. Jego filozofia inwestowania jest pilnie analizowana, a jego rady – zarówno te dotyczące akcji, jak i życia – tłumaczone na dziesiątki języków. Popularności wśród żądnych zysków inwestorów sprzyja przydomek Buffetta: Wyrocznia z Omaha. Wziął się on z niebywałego wręcz talentu do osiągania imponujących, a do tego powtarzalnych zysków. Od 1964 r. kierowany przez Warrena Buffetta wehikuł inwestycyjny Berkshire Hathaway osiągnął stopę zwrotu przekraczającą 5,5 mln proc.

I chociaż wielu jego krytyków od dawna liczyło, że kierowany przez 95-latka fundusz poniesie spektakularną klęskę, to nawet w ostatnich kilkunastu miesiącach rządów Buffetta jego Berkshire Hathaway zanotował bardzo wysoki wzrost. W 2024 r. osiągnął wzrost na poziomie 25,5 proc. (wyprzedzając indeks S&P 500, który wzrósł o 24 proc.). Niedawno ogłoszony raport Berkshire dotyczący wyników za trzeci kwartał obecnego roku wykazał 30,8 mld dol. zysku w ujęciu rok do roku, co oznacza wzrost o 17 proc. W samym trzecim kwartale zyski operacyjne konglomeratu wzrosły o 34 proc.

W ostatnich miesiącach kierowania funduszem Buffett pozostał też wierny swoim dwóm kluczowym zasadom. Pierwsza z nich brzmi: „Nigdy nie trać

FOT. DENNIS VAN TINE/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl aacf224baf

pieniędzy". Druga zaś: „Nigdy nie zapominaj o zasadzie numer jeden". Wehikuł inwestycyjny, korzystając z hossy, stopniowo zmniejszał więc udziały nawet w tak lubianych przez miliardera spółkach jak Apple czy Bank of America. Dzięki temu akcjonariusze mogą liczyć na sowity zysk bez niepotrzebnego ryzyka spekulacyjnego. W sumie, w obawie przed potężnych krachem na giełdzie, Berkshire Hathaway zgromadziło w gotówce rekordowe 382 mld dol. To właśnie tak konserwatywne podejście sprawiło, że Berkshire Hathaway przetrwało w niezłej formie czasy bańki internetowej czy globalny kryzys lat 2007–2009.

Wyrocznia z Omaha od lat konsekwentnie lekceważy też takie nowinki jak bitcoin, ostrzegając, że kryptowaluty to „trutka na szczury" i „hazardowe żetony", ponieważ – jak przekonuje – jest to aktywo bez żadnej wewnętrznej wartości, które nie generuje żadnego dochodu. To niejedyny przypadek, gdy Buffett nie zważał na rynkową modę. Legendarny finansista, który radził, aby inwestować długoterminowo i ignorować krótkoterminowe wahania rynków, odchodzi na emeryturę w czasach, w których duże instytucje finansowe zarabiają m.in. na inwestowaniu wysokich częstotliwości (HFT), czyli osiągają zyski w milisekundy.

Jeśli ktoś jednak posłuchał rad Wyroczni z Omaha i trzyma jeszcze akcje Berkshire Hathaway kupione na początku lat 60., to nie musi już ani pracować, ani inwestować. Każda akcja tej spółki – sześć dekad temu można ją było kupić za mniej więcej 8 dol. – w zeszłą środę wyceniana była na 753,14 tys. dol. Sporo zarobili również ci, którzy akcje zarządzanego przez legendarnego inwestora kupili na przełomie wieków XX i XXI. Wiele osób to właśnie dzięki Buffettowi zostało w ostatnich latach milionerami.

CHCIWOŚĆ I ZAZDROŚĆ

Legendarny inwestor w opublikowanym w ubiegłym tygodniu, corocznym liście skierowanym do akcjonariuszy funduszu Berkshire Hathaway potwierdził, że to ostatni taki list jego autorstwa. „Jak powiedzieliby Brytyjczycy, »milknę«. W pewnym sensie" – napisał. Korzystając z okazji na przekazanie światu swych ostatnich przemyśleń, Warren Buffett potępił korporacyjną chciwość. Jak zauważył miliarder, wymagania dotyczące ujawniania wynagrodzeń kadry kierowniczej przyniosły skutek odwrotny do zamierzonego. Nowe przepisy nakręciły bowiem wyścig o to, kto zarobi najwięcej. „To, co często denerwuje bardzo bogatych prezesów – w końcu to tylko ludzie – to fakt, że inni prezesi stają się jeszcze bogatsi. Zazdrość i chciwość idą ręka w rękę" – zauważył legendarny inwestor, przypominając czytającym go milionerom, że „sprzątaczka jest takim samym człowiekiem jak prezes".

Buffett udzielił również kilku życiowych porad. „Zastanów się, co chciałbyś, aby było napisane w twoim nekrologu, a następnie żyj tak, aby na to zasłużyć" – brzmi jedna z nich. Finansista przypomniał przy tej okazji popularną anegdotę z życia Alfreda Nobla, który przeczytał własny nekrolog zamieszczony omyłkowo przez francuską gazetę,

REKLAMA



eprasa.pl aacf224baf

której redakcja w roku 1888 pomyliła Alfreda z jego bratem Ludwikiem. Gdy przemysłowiec i wynalazca dynamitu przeczytał nagłówek brzmiący: „Kupiec śmierci nie żyje", miał się tym tak bardzo przejąć, że w testamencie przeznaczył ponad 90 proc. olbrzymiego majątku na stworzenie funduszu przyznającego nagrody za największe osiągnięcia w dziedzinie fizyki, chemii, medycyny, literatury oraz za zasługi w krzewieniu pokojowych idei.

Miliarder przyznał jednocześnie, że sam ocenia lepiej drugą połowę swojego życia niż pierwszą (i ponoć nie chodzi wcale o to, że gdy miał 50 lat, został miliarderem). Radził adresatom listu, aby nie rozpamiętywali zbytnio popełnionych przez siebie błędów. „Wyciągnij z nich wnioski i idź dalej. Nigdy nie jest za późno na poprawę. Znajdź odpowiednich bohaterów i ich naśladuj. Nigdy nie będziesz idealny, ale zawsze możesz być lepszy" – sugerował Mędrzec z Omaha, zdradzając, że jego największym bohaterem był Tom Murphy (zmarły w roku 2022 legendarny dyrektor generalny telewizji ABC i członek zarządu Berkshire Hathaway). Miliarder ostrzegł jednak, że należy unikać takich błędów, które „wykluczają z gry" lub sprawiają, że jest się „bliskim tego, by zostać wykluczonym z gry". I kolejny raz przypomniał, aby poza kredytem hipotecznym na swój dom trzymać się jak najdalej od wszelkich pożyczek, a zwłaszcza od zadłużenia na karcie kredytowej.

MILIARDY DLA UBOGICH

Nieziemsko bogaty inwestor – niczym Charles Dickens w „Opowieści wigilijnej" – zalecał także akcjonariuszom, aby, niezależnie od tego, czy jest się religijnym czy nie, pomagali innym. „Wielkość nie powstaje poprzez zdobycie ogromnych sum pieniędzy, ogromnej popularności czy ogromnej władzy. Pomagając komuś innemu na jeden z tysięcy sposobów, pomagasz światu. Życzliwość nic nie kosztuje, ale jest bezcenna" – napisał Warren Buffett, podkreślając, że nie zna nikogo, kto był życzliwy dla innych i zmarł bez przyjaciół. „Znam za to wiele osób, które miały pieniądze, lecz zmarły, nie mając żadnych przyjaciół, włączając w to członków swojej rodziny".

Jednocześnie inwestor poinformował akcjonariuszy o przekazaniu 2,7 mln akcji Berkshire Hathaway klasy B o wartości ok. 1,3 mld dol. (równowartość ok. 4,75 mld zł) czterem rodzinnym fundacjom. Miliarder wierzy, że troje jego dzieci – obecnie w wieku 72, 70 i 67 lat – mądrze rozdysponuje tak imponujący majątek. Roztropny inwestor już niemal dwie dekady temu zobowiązał się oddać wszystkie swoje akcje Berkshire na cele filantropijne. Był on również – razem ze współtwórcą Microsoftu Billem Gatesem oraz jego żoną Melindą French Gates – współzałożycielem organizacji Giving Pledge. Inicjatywa ta od 2010 r. zachęca najbogatszych ludzi globu, aby przekazywali na działalność dobroczynną większość zgromadzonego w ciągu życia majątku. Dotychczas obietnicę rozdania pieniędzy na rzecz ubogich złożyło już ponad 250 najbogatszych filantropów z 30 krajów. Sam Buffett zdołał już rozdać niemal 65 mld dol.

148,2 mld dol.

TYLE WEDŁUG SZACUNKÓW „FORBESA" WART BYŁ W UBIEGŁYM TYGODNIU MAJĄTEK WARRENA BUFFETTA

A jak wielką fortuną dysponuje obecnie legendarny inwestor? Według szacunków magazynu „Forbes" 12 listopada 2025 r. majątek netto Warrena Buffetta wart był 148,2 mld dol. Tym samym zajmował on 10. miejsce na liście najbogatszych mieszkańców globu. Mimo ogromnego majątku inwestor znany jest ze skromnego stylu życia i tak wielkiego zamiłowania do oszczędności, że nazywany jest nie tylko wyrocznią, lecz także „królem skąpców". „Niezależnie od tego, czy mówimy o skarpetkach czy o akcjach, lubię kupować towary wysokiej jakości, gdy są przecenione" – pisał w liście do udziałowców z 2008 r. Sam miliarder do dziś stroni od luksusów i mieszka w domu kupionym w 1958 r. za 31,5 tys. dol. I wciąż pięć dni w tygodniu karnie zjawia się w pracy.

Dobry przyjaciel Warrena Buffetta Bill Gates wspominał niegdyś publicznie, jak bardzo majętny już wówczas Buffett – słynący z miłości do coca-coli, burgerów, hot dogów i słodyczy – za posiłek w McDonald's zapłacił wyciętymi z gazety kuponami. Bardzo oszczędna jest również 79-letnia druga żona miliardera: Astrid. Media donosiły, jak przed kilkoma laty skarżyła się na kawę kosztującą aż 4 dol. (równowartość 15 zł). Finansowej odpowiedzialności miliarder wymaga również od swych dzieci. Według raportu Benzinga odmówił niegdyś córce pożyczki na remont kuchni.

JAKICH PREZESÓW UNIKAĆ?

W ostatnim liście do akcjonariuszy Warren Buffett odniósł się także do perspektyw swego wehikułu inwestycyjnego. Dziewięćdziesięciopięciolatek oficjalnie przejdzie na emeryturę z końcem obecnego roku. Fotel dyrektora generalnego w Berkshire Hathaway oficjalnie zajmie wówczas Greg Abel. Młodziutki, zaledwie 63-letni inwestor z Kanady przez lata pełnił funkcję wiceprezesa w firmie Buffetta i od dawna był oficjalnie szykowany na następcę Mędrca z Omaha.

Greg Abel nie musi się obawiać, że gdy tylko przekroczy 65. rok życia, zostanie – jak pracownicy w wielu innych firmach – zmuszony do przejścia na emeryturę. Sam Buffett życzył mu bowiem jak najdłuższej kariery na nowym stanowisku. I przekonywał, że „przy odrobinie szczęścia Berkshire powinno potrzebować zaledwie pięciu lub sześciu prezesów w ciągu najbliższego stulecia". Ostrzegł jednocześnie zarząd, aby unikał wyboru w szczególności takich szefów, „których celem jest przejście na emeryturę w wieku 65 lat, chwalenie się wszem wobec swoim bogactwem lub założenie dynastii".

Według legendarnego inwestora w przypadku Berkshire istnieje „mniejsze ryzyko katastrofalnej katastrofy" niż w przypadku jakiejkolwiek znanej mu firmy. Mędrzec z Omaha wierzy również w powrót siły Ameryki, a wraz z nią we wzrost wartości Berkshire.

I to by było na tyle rad Buffetta. Rzeczywiście zostawia po sobie dobrze naoliwioną maszynkę do zarabiania pieniędzy, gotową, by przetrwać wielki giełdowy krach, załamanie na rynku obligacji, recesję czy nawet wojnę. Najważniejsze pytanie inwestorów z Wall Street brzmi jednak obecnie: Co i kiedy z 382 mld dol. w gotówce zamierza zrobić Greg Abel? I jakie dziedzictwo będzie chciał po sobie pozostawić?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl aacf224baf

Kamień widzenia z podglądem na Polskę



Jakub Wozinski

Polska armia w coraz większym stopniu współpracuje z amerykańskimi firmami zbrojeniowymi i technologicznymi, których działalność budzi wiele kontrowersji

Trwająca wojna na Ukrainie oraz zawieszony konflikt na Bliskim Wschodzie stały się w ostatnim czasie wielkim poletkiem doświadczalnym dla potentatów z branży nowych technologii militarnych i szpiegowskich. Najwięcej mówi się wprawdzie o tym, że staliśmy się świadkami wielkiej rewolucji dronowej, ale równie epokowe zmiany na polu bitwy dokonały się w zakresie wykorzystania sztucznej inteligencji w logistyce, rozpoznaniu czy dowodzeniu.

WSPÓŁPRACA Z POTENTATAMI

W tej perspektywie nie dziwi zatem, że polska armia próbuje wzbogacić się o technologie i uzbrojenie, które rewolucjonizują współczesne podejście do kwestii militarnych. Pod koniec października Polska Grupa Zbrojeniowa podpisała porozumienie z amerykańską spółką Anduril Industries, na którego mocy ma zostać uruchomiona produkcja autonomicznych systemów powietrznych dla polskiej armii oraz polskiej wersji pocisku manewrującego Barracuda. Kalifornijska firma to jeden z najbardziej znanych na świecie producentów bezzałogowych systemów powietrznych, a także autonomicznych systemów nadzoru oraz oprogramowania do dowodzenia.

Dużo wcześniej polskie państwo zaczęło współpracę z firmą Palantir, której nazwa została zaczerpnięta od Tolkienkowskich „kamieni widzenia". Pierwsze rozmowy podjęto jeszcze pod koniec 2023 r., następnie 23 grudnia ubiegłego roku podpisano specjalne memorandum, aż wreszcie 25 października w obecności wicepremiera i ministra obrony narodowej Władysława Kosiniaka-Kamysza podpisano specjalny list intencyjny o współpracy w zakresie sztucznej inteligencji, nowych technologii i cyberbezpieczeństwa. Na konkrety dotyczące współpracy z amerykańskim potentatem przyjdzie jeszcze poczekać, lecz już teraz zdradzono, że Palantir ma przyspieszyć wdrażanie narzędzi AI i analityki danych w dowództwach operacyjnych, Centrum Implementacji Sztucznej Inteligencji oraz w obszarze zabezpieczenia logistycznego.

Na rozmowy z wicepremierem Kosiniakiem-Kamyszem pofatygował się do Warszawy sam dyrektor generalny Palantira, Alex Karp, który od lat zapewnia, że stoi na czele najważniejszej firmy informatycznej na świecie. Ów nowojorski biznesmen z żydowskimi korzeniami wzbudził swego czasu konsternację, gdy przy okazji szczytu Światowego Forum Ekonomicznego w Davos w 2023 r. pochwalił się, że jego Palantir niemal w pojedynkę uratował Europę przed przejęciem władzy przez „skrajną prawicę".

PRZEWIDYWANIE PRZESTĘPSTW

Można jedynie domniemywać, co dokładnie miał na myśli Karp, choć według wszelkiego prawdopodobieństwa odnosił się do dostarczanej przez Palantir specjalnej platformy umożliwiającej tzw. przewidywanie przestępstw o nazwie Gotham. Oprogramowanie to, wykorzystywane obficie przez służby w wielu państwach Europy Zachodniej, umożliwia skoordynowaną i natychmiastową analizę danych z internetowych komunikatorów, forów, kamer czy systemów satelitarnych. Tworzone w ten sposób tzw. mapy aktywności podejrzanych jednostek lub całych grup pozwalają podejmować bardzo skuteczne działania uprzedzające.

Alex Karp uchylił niegdyś rąbka tajemnicy, stwierdzając, że oprogramowanie jego firmy pozwoliło zapobiec wielu aktom terrorystycznym, których skala mogła przyczynić się do potężnego niezadowolenia społecznego i w konsekwencji przejęcia rządów przez ugrupowania „populistyczne". Pomimo tego wiele środowisk lewicowych traktuje Palantir jako największego wroga, ponieważ dostarczane przez niego narzędzia są niezwykle skuteczne przy zwalczaniu nielegalnej imigracji. Jedna z amerykańskich organizacji pozarządowych, opowiadających się za szeroko otwartymi granicami, stwierdziła nawet, że umożliwiając Urzędowi Celno-Imigracyjnemu masowe śledzenie imigrantów za pomocą AI, Palantir przyczynia się do ich dehumanizacji. Na potrzeby amerykańskich służb firma zarządzana przez Karpa stworzyła nawet specjalny program o nazwie ImmigrationOS.

Środowiskom lewicowym na Zachodzie bardzo nie podoba się również daleko idące zaangażowanie Palantira w dostarczanie najnowszych technologii dla Izraela. Siły Obrony Izraela korzystają nie tylko z Gotham, lecz także z platformy Foundry, która jest na co dzień powszechnie wykorzystywana w logistyce.

eprasa.pl aacf224baf



FOT. ADOBE STOCK

Najwięcej kontrowersji wzbudza jednak oprogramowanie o nazwie Lavender, które oficjalnie zostało opracowane przez izraelski rząd, lecz z racji zażyłych relacji łączących go z Palantirem powszechnie spekuluje się na temat możliwego współudziału amerykańskiej w firmy w jego doskonaleniu.

LAVENDER I CELE CYWILNE

Według niektórych doniesień prasowych, co do których należy oczywiście zachować ostrożność, Lavender miał przyporządkowywać każdemu mieszkańcowi Gazy ocenę od 1 do 100 w zależności od prawdopodobieństwa przynależności do Hamasu. W oparciu o tę ocenę podejmowano następnie zautomatyzowane ataki za pomocą dronów i pocisków, świadomie dopuszczając znaczne ryzyko pomyłki i zabicia przypadkowych ofiar.

Współudział Palantira w całym procederze nie został jak dotąd niezbicie udowodniony. Pewne fakty przemawiają jednak same za siebie. W styczniu tego roku cały zarząd Palantira wybrał się nawet do Tel Awiwu na wyjazdowe spotkanie w celu zademonstrowania solidarności z Izraelem. Przy okazji ogłoszone zostało strategiczne partnerstwo w zakresie dostarczania nowych technologii. Istnieje więc prawdopodobieństwo, że największy na świecie dostawca oprogramowania AI do celów bojowych, mający dodatkowo od 2015 r. własny oddział w Tel Awiwie i deklarujący pełne oddanie sprawie Izraela, mógłby nie być zaangażowany we współpracę w programie Lavender. Ale jak wielkie jest to prawdopodobieństwo?

Znamienne w tym kontekście były słowa współzałożyciela Palantira, Petera Thiela, które padły przy okazji jego wystąpienia w klubie Cambridge Union w ubiegłym roku. Zapytany wprost o to, czy Palantir jest zamieszany w program Lavender, Thiel nie potrafił początkowo skleić ani jednego sensownego zdania, aż w końcu stwierdził wprost, że jego postawa sprowadza się do ulegania Izraelowi i zakładania, że działa słusznie.

Peter Thiel to postać, która łączy obydwu nowych amerykańskich dostawców polskiej armii. Jako kolega ze studiów Alexa Karpa wykładał pieniądze na założenie Palantira. W 2017 r. miał znaczny wkład w powstanie Anduril Industries, a następnie zainwestował w tę spółkę już co najmniej kilka miliardów dolarów.

Thiel od lat pozostaje jedną z kluczowych postaci Doliny Krzemowej, gdyż brał udział w utworzeniu wielu start-upów, które przerodziły się później w światowych potentatów (m.in. Facebooka, SpaceX czy też PayPal). W swoich licznych wystąpieniach publicznych kreuje się bardziej na filozofa niż biznesmena, a internetowym „wiralem" stał się swego czasu jego wywiad z Rossem Douthatem z „New York Timesa", w którym nie potrafił swemu rozmówcy potwierdzić, czy widzi przyszłość dla rasy ludzkiej.

CIEMNA STRONA ŚWIATA TOLKIENA

Osobiste przekonania właścicieli firm zbrojeniowych nie powinny oczywiście być kluczowym kryterium przy wyborze uzbrojenia dla polskiej armii. Warto jednak zwrócić uwagę, że wraz z nawiązaniem współpracy z firmami Palantir i Anduril nasze wojsko wejdzie w posiadanie systemów całkowicie nowych narzędzi, które nieustannie rewolucjonizują współczesny teatr wojenny. Rewolucja ta dokonuje się już zresztą tuż za naszą wschodnią granicą. Alex Karp nieustannie szczyci się tym, że jego firma ma tak ogromny wkład w działania wojsk Ukrainy.

Jak informował „Time", z oprogramowania Palantira korzysta nie tylko ukraińskie ministerstwo obrony, lecz także gospodarki czy edukacji i inne rządowe jednostki. Palantir dostarczył Kijowowi najnowocześniejsze oprogramowanie, które stało się dla niego jednym z głównych atutów wobec przewagi liczebnej i sprzętowej Rosjan. Alex Karp stwierdził nawet, że jego spółka odpowiada za większość naprowadzania rakiet i pocisków sił zbrojnych Ukrainy. Dotyczy to także amerykańskich systemów HIMARS.

Bardzo ważnym, choć mało znanym faktem w kontekście triumfów święconych przez Palantir, Anduril czy inne firmy z sektora obronnego powiązane z Peterem Thielem jest jego wieloletnia znajomość z wiceprezydentem USA J.D. Vance'em. To właśnie Thiel zatrudnił w 2016 r. obecną drugą osobę w państwie w swoim funduszu Mithril Capital, a następnie wspierał jej biznesową i polityczną karierę. Częściowo pod wpływem Thiela J.D. Vance stał się także z czasem zwolennikiem Trumpa, mimo że wcześniej przyrównywał go nawet czasami do Hitlera. Inwestycja w młodego autora „Elegii dla bidoków" okazała się dla jednego z liderów Doliny Krzemowej bardzo udana, ponieważ obecnie powiązane z Thielem firmy mogą liczyć na stały strumień rządowych zamówień.

Mimo że Peter Thiel wynajduje dla swoich kolejnych przedsięwzięć nazwy z uniwersum J.R.R. Tolkiena posiadające raczej pozytywne konotacje, nie sposób nie odnieść wrażenia, że jego działalność przynosi ze sobą dużo bardziej wątpliwe efekty. We „Władcy Pierścieni" palantiry zostały stworzone przez elfy do dobrych celów, lecz za sprawą Saurona stały się bardzo niebezpiecznym narzędziem umożliwiającym szpiegowanie i przejmowanie kontroli nad innymi. W analogiczny sposób wyposażanie armii i służb w niezwykle zaawansowane narzędzia oparte na sztucznej inteligencji niesie ze sobą ogromną pokusę nadużycia. Czy nawiązanie współpracy z amerykańskimi firmami to kolejna odsłona walki ze „skrajną prawicą"?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aacf224baf



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Udzielne księstwo w Smile

Miasteczko Smiła, położone na południe od Czerkas, na Ukrainie, w XVIII w. stało się stolicą włości kupionych przez księcia Grigorija Potiomkina, kochanka i faworyta carycy Katarzyny II. Był to element jego szeroko zakrojonych planów mających na celu wykrojenie sobie własnego księstwa z terenów Rzeczypospolitej. Potiomkin był potomkiem szlachty smoleńskiej, która choć pozostawała pod carskim panowaniem od połowy XVII w., to jednak zachowała częściowo polskie obyczaje. Jak pisze jego biograf, Simon Montefiore: „Ojciec Potiomkina mógł nosić luźne spodnie, długi żupan polskiego szlachcica i mówić po polsku w domu, ale na zewnątrz musiał zakładać bardziej niemiecki w stylu mundur oficera armii rosyjskiej. Potiomkin wychował się zatem w środowisku w połowie polskim i odziedziczył o wiele bliższe powiązania z Polską niż większość szlachty rosyjskiej. Koneksje te później nabiorą znaczenia: zdobędzie polski indygenat, zabawi się tronem polskim, a chwilami będzie się uważał za Polaka".



RYS. OBA

W 1786 r. książę nabył od księcia Ksawerego Lubomirskiego majątki Smiła i Międzyrzecz na prawym brzegu Dniepru należącym wówczas do naszej Kijowszczyzny. Był to zwarty kompleks dóbr, liczący – jak powiadano – ponad 60 tys. chłopów; po kilku latach, w chwili śmierci księcia liczba ta niemal się podwoiła. Potiomkin jak typowy oligarcha kupił te ziemie za pieniądze z moskiewskiego skarbu, traktując inwestycję jako rozszerzenie rosyjskiej strefy wpływów. Jego celem było przede wszystkim zdobyć sobie jakieś zabezpieczenie poza granicami Rosji, gdyby Katarzyna zmarła i rządy po niej przejął niechętny mu carewicz Paweł, który mógł jednym gestem pozbawić go całej fortuny. Majątek Smiła był zatem odpowiednikiem fortun i nieruchomości nabywanych przez dzisiejszych rosyjskich oligarchów, aby zabezpieczyć się przed nieprzewidywalnością Putina, który – tak samo jak wówczas imperatorowa – w każdej chwili może zagarnąć spółki i własność poddanych. Celem księcia stało się jednak stworzenie z tych ziem udzielnego dominium. Sama Katarzyna wyraziła się kiedyś, że z tych nowo nabytych ziem jej kochanek utworzy kiedyś księstwo niezależne od Polski i od Rosji. Potiomkin z kolei tłumaczył się, że nabył włości na Ukrainie, aby mieć większy wpływ na sprawy w Polsce; nie było zaś tajemnicą, że całe życie marzył o koronie, próbując odsunąć od władzy Stanisława Augusta. Zawiódł się jednak na polskich majątkach, bo zakup Smiły sprawił, że natychmiast uwikłał się w serię spraw sądowych między członkami rodziny Lubomirskich.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Książę sądził jednak, że wykupując polskie ziemie, „dzięki niepodległemu księstwu, zbudowanemu wokół latyfundium w Smile, Rosja będzie mogła opanować spore połacie Europy Środkowej, nie płacąc za nie pozostałym mocarstwom podczas drugiego rozbioru Polski" – pisał Montefiore. Potiomkin miał zresztą w zanadrzu kilka planów rozbiorowych Rzeczypospolitej. Po uchwaleniu Konstytucji 3 maja rozważał powołanie konfederacji złożonej z na wpół niepodległych „hetmanatów", to znaczy włości magnatów, wrogów reform, w pierwszej kolejności Szczęsnego Potockiego i Franciszka Ksawerego Branickiego. W zamian Rzeczpospolita otrzymać miała Mołdawię. Inny plan zakładał wywołanie w Polsce wojny domowej – Potiomkin tworzył w tym celu własną siłę zbrojną w polskich majątkach – cztery szwadrony kozaków zwerbowanych za zgodą Katarzyny już w 1787 r. oraz pieszą i konną milicję. W jego założeniach oddziały te miały dołączyć do armii polskiej i wspólnie z opozycją magnacką obalić Stanisława Augusta. Zastanawiał się także nad wywołaniem kolejnego po Koliszczyźnie buntu ludności prawosławnej; ośrodkami tego powstania miała stać się właśnie Smiła, skąd książę miałby ruszyć na Warszawę jak Bohdan Chmielnicki w 1648 r. Wszystkie te propozycje nie zakładały jednak całkowitej likwidacji Polski, gdyż książę w dziwny i pokrętny sposób uważał się jednocześnie za jej obywatela.

„Gdyby Katarzyna zmarła pierwsza, możliwe, że zostałby polskim magnatem" – podsumowuje jego polskie plany Montefiore. Jak widać, nawet pod koniec XVIII w. kultura polska atrakcyjna była dla rosyjskich możnowładców. ©℗

eprasa.pl aacf224baf

KIA EV4



FOT. JAP

To pierwszy elektryczny samochód tej marki produkowany w Europie (powstaje w fabryce w Żylinie na Słowacji). Ten model to również jeden z finalistów konkursu The Car of the Year (COTY) 2026. Jednocześnie to jeden z nielicznych dostępnych na rynku modeli samochodów elektrycznych z segmentu C, który pozwala beztrosko cieszyć się jazdą bez ciągłego myślenia o topniejącym zasięgu, o włączonej klimatyzacji, ogrzewaniu siedzeń i kierownicy.

Teoretycznie na jednym ładowaniu mierząca 4,4 m długości Kia EV4 w wersji Long Range (z większą baterią) może przejechać nawet 625 km. W praktyce w listopadową pogodę realny zasięg wynosił ok. 500 km, czyli był wystarczający, aby przejechać pół Polski. Tak dobry wynik to m.in. zasługa dopracowanej aerodynamiki (dzięki specjalnym osłonom pod podwoziem, opływowym felgom, automatycznie wysuwanym klamkom, a nawet schowanej pod spojlerem tylnej wycieraczce współczynnik oporu powietrza w tym modelu wynosi zaledwie 0,23). Koreańscy inżynierowie zadbali również o to, aby w trasie nie trzeba było spać przy ładowarce. Podczas testu zapas energii z 14 do 50 proc. zwiększyłem w 30 min (dało mi to 247 km zasięgu). Gdybym poczekał jeszcze 19 min, to wskaźnik naładowania akumulatora sięgnąłby już 80 proc.

Moc 204 KM i dostępny od razu maksymalny moment obrotowy wynoszący 283 Nm sprawiają, że sama jazda jest bardzo przyjemna. EV4 potrafi być dynamiczna. Sprint od zera do 100 km/h trwa zaledwie 7,8 s. Średnie „spalanie" podczas testu w mieście, na drogach krajowych i autostradzie wyniosło ok. 19 kW/100 km. Podwozie zostało przyjemnie zestrojone (nie jest zbyt sztywne, a jednocześnie autem przyjemnie pokonuje się zakręty). Sama podróż jest zaś komfortowa i niemal bezszelestna – nawet przy prędkościach autostradowych w kabinie jest bardzo cicho.

Koreańczycy zadbali również o nowoczesny wygląd kabiny. Materiały są ładnie skontrastowane wizualne (szary z ciemnym), dobrze spasowane i przyjemne w dotyku. Użyto też materiałów z recyklingu (dla mnie wówczas samochód powinien być tańszy, ale być może dla ekofreaka to będzie jakiś argument). Przednie fotele są bardzo wygodne. Na brak miejsca absolutnie nie mogą też narzekać podróżujący z tyłu. Głównym elementem kokpitu jest gigantyczny ekran o przekątnej wynoszącej niemalże 30 cali. Składa się on z 12,3-calowego zestawu cyfrowych zegarów, 12,3-calowej stacji multimedialnej, a także 5,3-calowego panelu klimatyzacji (dzięki temu jest nowocześnie i wygodnie jednocześnie). Do sterowania audio służy m.in. pokrętło głośności. EV4 jest jednocześnie uzbrojona w wiele przydatnych systemów wspierających kierowcę, w tym system autonomicznego hamowania w przypadku wykrycia ryzyka kolizji z innymi samochodami, rowerzystami czy pieszymi. Przydatne są też podpowiedzi dotyczące ruchu poprzecznego przy wyjeździe z tyłu z miejsca parkingowego.

Bagażnik w wersji hatchback ma 435 l pojemności, a po złożeniu tylnej kanapy rośnie do 1415 l.

Najtańsza Kia EV4 w odmianie hatchback z baterią 58,3 kWh kosztuje 173,9 tys. zł, a z akumulatorem 81,4 kWh 193,9 tys. zł.

XIAOMI 15T PRO

Bardzo dobre aparaty fotograficzne, świetny ekran, elegancki design i dobra wydajność – to największe zalety ambitnego średniaka chińskiej marki, który walczy o tytuł najlepszego „zabójcy flagowców" roku 2025.

Na pierwszy rzut oka ten smartfon wygląda jak model klasy premium. Tylny panel z włókna szklanego w połączeniu z aluminiową ramką tworzy elegancki zestaw. Testowany model ma też certyfikat IP68, co oznacza, że można go bez obaw używać podczas jesiennej ulewy. Aby było wygodniej, producent zastosował technologię, która ułatwia obsługę smartfona nawet przy mokrych dłoniach.

Ogromny wyświetlacz AMOLED (z wysokim kontrastem i żywymi kolorami) ma wielkość 6,83 cala i rozdzielczość 1,5 K (2772 x 1280 pikseli). Maksymalna częstotliwość odświeżania wynosi aż 144 Hz, co jest świetnym wynikiem nie tylko wśród średniaków, lecz także wśród flagowców. Smartfon obsługuje technologie HDR10+ oraz Dolby Vision. Dobre wrażenie robi też cienka, zaledwie 1,5-milimetrowa ramka wokół wyświetlacza.

Dużym plusem tego modelu są aparaty fotograficzne z optyką firmy Leica. Główny ma 50 MP (f/1.62), teleobiektyw również 50 MP, a aparat szerokokątny 12 MP. Efekt? Pierwszymi dwoma za pomocą Xiaomi 15T Pro można zrobić naprawdę rewelacyjne zdjęcia. Fotografie wykonane aparatem szerokokątnym są poprawne i nic więcej.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Sercem urządzenia jest procesor MediaTek Dimensity 9400+. Nie jest to co prawda topowy Snapdragon, ale najmocniejszy konkurencyjny procesor. Na wydajność trudno więc narzekać. Nie ma zatem żadnych przycięć ani przy obróbce zdjęć, ani podczas grania (choć wówczas smartfon robi się wyraźnie ciepły).

Bateria o pojemności 5500 mAh sprawia, że smartfon najczęściej wytrzymuje na jednym ładowaniu cały dzień intensywnego użytkowania. Świetny jest też skaner linii papilarnych.

Wady? Dla osób o niewielkich dłoniach ten model może okazać się zbyt duży i zbyt ciężki (waży 210 g). Fabryczna folia chroniąca ekran nie jest najlepszej jakości, więc lepiej dokupić własną. W zestawie próżno też szukać ładowarki.

Mimo tych minusów model Xiaomi 15T Pro ma świetny stosunek ceny do jakości. Wersja z 12 GB pamięci RAM i 256 GB pamięci na dane kosztuje 2999 zł. Wariant 12/512 GB to wydatek 3699 zł, a na 12 GB/1 TB trzeba wydać 3999 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl aacf224baf



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Proste, ale pożywne

Niegdyś kuchnia podkarpacka była również kuchnią nieistniejących już dwóch grup etnicznych: bojkowskiej i łemkowskiej. Bojkowie i Łemkowie po drugiej wojnie światowej zostali wysiedleni do byłego ZSRS lub rozproszeni po całym kraju. Zajmowali się uprawą roli lub hodowlą bydła, szczególnie wołowego. Prowadzili proste życie, a w kuchni stawiali na składniki oparte na lokalnych produktach, takich jak warzywa, ziemniaki, grzyby i kapusta. Niezbyt urodzajna ziemia i ostry górski klimat sprawiały, że ludzie ci często głodowali. Mięso jadano rzadko, a potrawy były jarskie i bardziej mączne, choć bardzo smakowite. Popularne w tamtym rejonie są łemkowskie fuczki, czyli placuszki z kapusty kiszonej, czy haluszki, a od święta zawijano farsz warzywny w liście kapusty i przyrządzano jarskie gołąbki. W kuchni z tamtego rejonu wykorzystywano mąkę żytnią i owsianą, znacznie mniej albo wcale białej mąki pszennej, zamiast mięsa jadano nabiał i jego przetwory oraz jajka. Kuchnia była prosta, wręcz skromna, ale bardzo pożywna. Z owsa robiono kaszę i mąkę owsianą, a z niej wyrabiano chleb. Istotnym elementem tamtejszej kuchni były ziemniaki, inaczej zwane komperami, bandurami czy grulami. Jedzono je na wiele sposobów – od najprostszych, pieczonych w ognisku począwszy, a skończywszy na wymyślnych daniach. Mięso gościło na stole sporadycznie i tylko od święta lub podczas dużej uroczystości rodzinnej. Zazwyczaj była to wieprzowina lub drób. Dużo wykorzystywano grzybów, szczególnie suszonych, i skarbów prosto z lasu.



FOT. ADOBE STOCK

Warto wracać do starych przepisów od czasu do czasu, aby kultywować tradycję i przypominać smaki. Hreczanyki to proste danie z kaszy gryczanej i mielonego mięsa, zazwyczaj podane z sosem grzybowym lub pieczarkowym.

Hreczanyki

• ½ kg mięsa mielonego wieprzowego • 200 g kaszy gryczanej, suchej kaszy palonej, waga przed ugotowaniem • 2 cebule • 1 łyżka masła • 3 jajka • 3 ząbki czosnku przeciśnięte przez praskę • 2 łyżeczki soli • 1 łyżeczka pieprzu • ½ łyżeczki papryki słodkiej mielonej • tłuszcz do smażenia, może być olej, smalec

Sos: • 400 g pieczarek, najlepiej brunatnych • 1 cebula • słodka śmietanka • sól • ¼ kostki masła • 1 łyżeczka mąki • natka pietruszki do dekoracji

Kaszę ugotować na sypko zgodnie przepisem. Cebule pokroić w kostkę, podsmażyć na oleju na złoty kolor razem z czosnkiem. Do miski przełożyć ugotowaną, ostudzoną kaszę, mięso mielone, cebulkę, jajka, przyprawy. Dobrze wszystko wyrobić i uformować kotleciki. Smażyć z każdej strony na złoty kolor. Warto podczas smażenia przykryć pokrywką patelnię, aby dobrze usmażyły się w środku.

Sos: Na masełku usmażyć cebulkę pokrojoną w kostkę, następnie poddusić i dodać pokrojone pieczarki. Wszystko gotować razem ok. 15 minut, na koniec dodać śmietanę wymieszaną z łyżeczką mąki, aby zagęścić sos.

Na talerzu wyłożyć sos pieczarkowy, a na niego ułożyć kotlety i posypać je natką. Smacznego! ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Więcej niż ilustrator

Koziołka Matołka" znają raczej czytelnicy starszego pokolenia, młodsi może słyszeli, ale nie jest to modna obecnie lektura dla dzieci. Ja miałam wszystkie tomy – moi dziadkowie, którzy w latach 30. byli w kwiecie wieku, uważali, że to najlepsza książka dla dziecka. Mieli rację. Dla dorosłych też. Kolejne tomy ukazywały się w wydawnictwie Gebethner i Wolff od roku 1932 aż do wojny.

Nawet jeśli ktoś pamięta nazwiska autorów „Matołka", to raczej Kornela Makuszyńskiego, pisarza mającego na koncie inne przedwojenne bestsellery, niż Mariana Walentynowicza, rysownika. Tę malowniczą postać przypomina doskonała książka Marka Górlikowskiego „Ilustrator. Przygody ojca Koziołka Matołka" (wyd. Znak). Dopisek „Tylko dla dorosłych" zrozumieją ci, którzy doszli mniej więcej do połowy książki, a czyta się to szybko. Raz, że ciekawe, dwa, że dużo ilustracji.

Chciałabym poznać tego chudzielca. Walentynowicz to nie tylko zdolniacha, który wszystko umie narysować, nawet stojąc na lufie czołgu. To okaz dzielności, poczucia humoru, ciekawości świata, no i ten kręgosłup moralny, o ile to określenie mówi coś młodszym rocznikom.

Kiedy on to wszystko narysował, te tysiące rysunków, dowcipów, karykatur? Objechał świat jeszcze przed wojną, polował, wędrował, pływał, fotografował, rysował. Lubił też spożywać to i owo, a towarzystwa nigdy mu nie brakowało. Wojenne losy targały nim od jednej półkuli do drugiej. Jako korespondent wojenny przeszedł front we Francji z największymi okropieństwami. Po wojnie wrócił do Polski. Przetrwał w realiach Polski Ludowej bez utraty godności – „ukąszenie heglowskie", jak widać, nie wszystkich objęło.

Autor książki, Marek Górlikowski, pracował w „Gazecie Wyborczej" i – jak sądzę – jest wychowankiem tzw. szkoły reportażu, która wydała parę znanych nazwisk. Czuje się to w tej książce: dużo konkretu, spojrzenie osobiste, sceny widziane fotograficznie. Solidna robota dokumentacyjna – autor skrupulatnie badał przygody Walentynowicza i jego prace (jednego i drugiego było sporo), które rodzina na szczęście zachowała. Jak przystało na wychowanka „Gazety", pan Górlikowski zajmuje jednak poprawnościowe stanowisko w sprawach, które w latach 30. nie budziły specjalnych kontrowersji. Walentynowicz polował w Afryce na dzikie zwierzęta (dzisiaj nie do przyjęcia), w paru miejscach niezbyt miło wyraża się o Żydach. Każdy, kto zna realia dwudziestolecia, wie, że inaczej wtedy na to patrzono, ale dziś jest moda na potępianie. No i słowo „Murzyn" stało się zabronione. Biedny Goga-Goga. ©℗

eprasa.pl aacf224baf



DEKAMERONKI

Taurydzkie drony

JERZY KARWELIS

Odwiedziłem ostatnio swój rodzinny Dolny Śląsk i od razu wpadłem w kłąb korków na autostradzie A4. Tam się zawsze korkuje, ale obecnie powód był iście dziwaczny, a także dający do myślenia. Otóż w dwa dni, 6 i 7 listopada, dwie różne osoby zgłosiły, że były świadkami upadku z nieba płonących obiektów. W związku z tym służby podjęły interwencję, pola w okolicy autostrady przepatrzono, co spowodowało, nomen omen, kosmiczne korki.

Okazało się, że to prawdopodobnie był efekt opadu roju meteorów Południowe Taurydy. Wcześniej, z czasów, zanim nas zaatakowały tajemnicze drony, gdyby jakiś kierowca zobaczył, że coś spada z nieba, toby pomyślał, że to pewnie meteor jakiś, może by i zadzwonił na służby i mielibyśmy może krótką notkę w lokalnej gazecie. Oczywiście bez żadnej reakcji tychże służb.

Dziś inaczej: zgłaszający na pewno nie myślał o kosmitach, pewnie – naładowany dronowymi newsami zareagował… No właśnie, jak trzeba? Ponadto niedawno służby gdyby się dowiedziały, że coś spadło na pole koło autostrady, nawet by nie kiwnęły palcem, co najwyżej pogoniłyby gościa, żeby nie zajmował linii telefonicznej do ważniejszych spraw. A więc skąd ta zmiana i jaki może być jej efekt?

No, przyczyna jest jasna – jesteśmy w fazie narracji przedwojennej, która wcale wojną skończyć się nie musi, i to nie z powodu naszej, polskiej reakcji. Ale popatrzmy na efekty takiego procesu. Po pierwsze, w takim stanie łatwo nas wpędzić w panikę z zewnątrz. W przypadku ostatniej przygody dronowej nasz system wykazał kompletny brak gotowości, lud spanikował, rząd też, ale raczej tylko na pokaz, bo – tak sądzę – nie poszły za tym konkretne działania. Jeśli zaś wywołują u nas panikę jednocześnie spadające meteory, to rodzi się pewien niebezpieczny splot.

Jak bowiem oddzielimy w przyszłości prawdziwe zagrożenie od przypadku? Gdy nadlecą obiekty od Putina, to wciąż będziemy myśleli (mieli nadzieję?), że to jednak rój nie dronów, ale Taurydy? Jeśli zaś będziemy z rozmysłem ćwiczeni przez kogoś, to pytanie – do czego? Do braku reakcji czy nadreakcji? Obie odpowiedzi są złe, choć obie mogą być prawdziwe. Ale tak to jest, gdy zaniedbania państwa są nadrabiane (jedynie) narracją, która utrzymuje nas w ciągłym wzmożeniu przedwojennym, w obawie przed wojną, która może nigdy nie nadejść, ale w tym czasie ten stan będzie uzasadnieniem do dowolnych działań państwa. Wymierzonych w naszą wolność, jak za COVID, kiedy sprzedaliśmy naszą wolność za ułudę bezpieczeństwa w obawie przed suflowanym rządowo i podkręcanym medialnie zagrożeniem. ©℗



#WARTO

Nie odwracajmy wzroku!

JAN POSPIESZALSKI

W tych dniach ukazał się obszerny raport dotyczący wolności religijnej, opublikowany przez Pomoc Kościołowi w Potrzebie (uwaga: proszę nie mylić tej poważnej, międzynarodowej instytucji z prywatną fundacją Przyjaciel Misji, prowadzoną przez byłego szefa PKwP). Raport odnotowuje smutną prawdę: w 62 krajach, gdzie żyje ok. dwóch trzecich populacji świata, ponad 5,2 mld ludzi nie może cieszyć się pełną wolnością religijną. Otwarte prześladowania – zabójstwa, uwięzienia, wypędzenia, podpalenia, plądrowanie miejsc kultu – występują w 24 krajach. W tej kategorii znalazły się m.in. Indie, Chiny, Afganistan, Nigeria, Korea Północna i Erytrea. W krajach tych mieszka 4,1 mld ludzi – połowa światowej populacji. Akty dyskryminacji, w tym zamachy na wolność myśli, sumienia i religii, występują w 38 krajach. Tu raport wymienia m.in. Azerbejdżan, Rosję, Meksyk, Wenezuelę, Kubę i Haiti, a także Boliwię, Chile, Kolumbię i Honduras. Jednak do najbardziej krwawych prześladowań dochodzi za sprawą dżihadystów w Afryce. W krajach Sahelu nasiliła się ekspansja potężnych organizacji powiązanych z Al-Kaidą, w Afryce Środkowej odradzają się zbrojne oddziały Państwa Islamskiego (ISGS), a Afryka Zachodnia jest terenem działań Boko Haram i dżihadystów spod znaku ISWAP. W lipcu jedna z organizacji powiązana z IS dokonała masakry chrześcijan w Demokratycznej Republice Konga, gdzie podczas nocnego czuwania zamordowano blisko 40 wiernych. Raport opisuje kontynent po kontynencie, zawiera tabele, pokazuje ponurą prawdę o nasilających się prześladowaniach w wielu regionach świata. Znamienne, że w krajach Europy i Ameryki Północnej, m.in. w Kanadzie, Francji, Belgii, Hiszpanii, Grecji i Chorwacji, raport odnotowuje nasilenie aktów agresji, lecz nie wymienia sprawców, posługując się terminem „ekstremiści". Skoro rosnąca agresja wobec chrześcijan występuje tam, gdzie dotarła fala migracji z krajów islamskich, to wnioski same się nasuwają. Tylko w roku 2023 Francja odnotowała ok. 1 tys. ataków na kościoły i miejsca kultu, w Grecji było to ponad 600 przypadków. Obszerny rozdział poświęcony jest rosnącej w krajach Zachodu presji aborcyjnej i eutanazyjnej, co stanowi atak na wolność sumienia personelu medycznego. Odnotowuje też represje wobec duchownych w Belgii, odmawiających wynoszenia kobiet do godności diakona. Konkluzje raportu są ponure, smutne jest też poczucie bezsilności, jednak nie może to owocować wyparciem problemu i ucieczką w niewiedzę. Solidarność z prześladowanymi niech wyraża się przynajmniej, w gotowości poznania przez nas tej groźnej rzeczywistości. ©℗

eprasa.pl aacf224baf



ĆWIERKOT

Wariactwa pana Waldemara

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Film był kiedyś dla młodzieży „Szaleństwo Majki Skowron", teraz natomiast grają serial raczej dla dorosłych „Wariactwa pana Waldemara". Stop. Po spektakularnym niepowołaniu 46 sędziów prezydent Karol Nawrocki w specjalnym wystąpieniu powiedział: „Przestrzegałem sędziów, żeby nie ulegali tym wariactwom, które wyprawia minister sprawiedliwości […]. Przez najbliższe pięć lat żaden sędzia, który kwestionuje konstytucyjne uprawnienia prezydenta, konstytucję i polski system prawny, nie może liczyć na nominację". Stop. Najpierw minister Żurek zaszlochał przed kamerami, że jak to tak prezydent może, żeby w kolejnym odcinku „Wariactw pana Waldemara" przebrać się w jakieś łachy i pokazać, że drewno rąbie siekierą. Stop. Panie Żurek, o co właściwie panu chodzi, bo niełatwo o egzegezę, analizę, interpretację tego odcinka…

Adam Szłapka, rzecznik rządu i czyrak intelektu, po odmowie nominowania sędziów przez Karola Nawrockiego znów zadziwił Drogę Mleczną i okolice, powiadając: „Oświadczenie prezydenta o odmowie nominacji 46 sędziów świadczy o próbie uzurpacji uprawnień". Stop. Panie Szłapka, ale o co panu chodzi? Prezydent skorzystał z prerogatywy zawartej w art. 179 konstytucji.

Sobie tak czasem mówię: to się nie dzieje, to niemożliwe przecież, żeby premier Donald Tusk okłamywał Polaków w żywe oczy, wiedząc, że przecież natychmiast jego słowa będą zweryfikowane, a jednak, a jednak. Stop. Donald Tusk po zjedzeniu popcornu napisał na portalu X: „Tak, jak mówiłem, Polska nie będzie przyjmować migrantów w ramach Paktu Migracyjnego. Ani płacić za to. To już decyzja. Robimy, nie gadamy". Stop. Złośliwi i – nazywajmy rzeczy wprost – wredni internauci natychmiast „wyjaśnili" (taki modny, nieoficjalny zwrot) premiera, że Polska może na razie jedynie o to poprosić, że nie wiadomo, jaki będzie wynik głosowania, a odsunięcie decyzji może być jedynie o rok. Stop. Jakiś złośliwiec zmienił nawet Tuskowi hasło: z „Robimy, nie gadamy" na „Kłamiemy, nie robimy", co – naszym zdaniem – zdecydowanie podpada pod język nienawiści, ale urokliwa to nienawiść.

Trochę prywaty, a także chciałbym się podzielić z państwem prywatnymi wrażeniami: otóż byłem na Marszu Niepodległości i widziałem na własne oczy te setki tysięcy niebezpiecznych faszystów z biało-czerwonymi flagami, całe normalnie zadowolone rodziny widziałem. Stop. Najniebezpieczniejsi wydali mi się ci skryci w wózkach dla dzieci i te piękne kobiety. Stop. Dodam, że także śpiewałem, a nie powiem tu co, gdyż cenię sobie wolność, a donosami i autodonosami się brzydzę. Stop. ©℗



SPODE ŁBA

Kiedy króluje występek

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Zdumiewające skandale wstrząsają właśnie brytyjskim nadawcą publicznym – BBC. Do dymisji podali się dyrektor generalny koncernu oraz szefowa kanału BBC News. Rezygnacja ich była wynikiem krytycznego raportu dotyczącego programu „Panorama", który wyemitowano tydzień przed ostatnimi wyborami prezydenckimi w USA. Program zawierał montaż dwóch wypowiedzi Donalda Trumpa, w rzeczywistości oddzielonych od siebie 50 minutami przemówienia, brutalnie manipulujący jego rzeczywistymi słowami. Widzowie mogli odnieść wrażenie, że prezydent wzywał swych zwolenników do siłowego wkroczenia na Kapitol, kiedy w rzeczywistości nic podobnego nie mówił. Jak ogłosił autor raportu: „Sposób, w jaki zmontowano te wiadomości w »Panoramie«, kompletnie wprowadzał widzów w błąd".

Odchodząca dyrektor BBC News, Deborah Turness, przyczyny dymisji wyjaśniła współpracownikom w specjalnym liście. „Podjęłam trudną decyzję, że nie będzie już moją rolą przewodzenie w realizacji wspólnej wizji – poszukiwania prawdy, bez żadnych uprzedzeń. Ciągłe kontrowersje wokół wydania »Panoramy« o prezydencie Trumpie osiągnęły już taką temperaturę, że zaczynają niszczyć BBC".

Trudno jej niestety nie przyznać racji. Wizerunek BBC, po latach zdecydowanie lewicowego przechyłu tej stacji, jest już tylko cieniem dawnej świetności. Słuszne są też zapewne oceny brytyjskich komentatorów, że poświęcono jedynie kilka „kozłów ofiarnych", a polityczne sympatie publicznego koncernu pozostaną niezmienne. Jak pisał francuski literat: „Hipokryzja to hołd składany cnocie przez występek", i brytyjskie elity hołd ten składają po mistrzowsku.

Jakże odmiennym, znacznie szczęśliwszym losem cieszą się w Polsce ci, którzy nasze media publiczne doprowadzili, zbiorowym wysiłkiem obu rywalizujących obozów politycznych, do równie głębokiego upadku. Gdyby każdy zmanipulowany w montażu, podczas kampanii wyborczej, program skutkować miał dymisjami dyrektorów, to budynki TVP przy Woronicza przedstawiałyby obraz opuszczenia i rozpadu niczym ruiny Wilczego Szańca pod Kętrzynem. U nas jednak, jak zawsze, nikt do winy się nie poczuwa. Ci, którzy niszczą wiarygodność mediów publicznych dzisiaj, robią to pod życzliwym parasolem rządzącej sitwy. Ci, którzy niszczyli je za rządów poprzedniej „ekipy", cieszą się dziś wdzięcznością i zaufaniem jej lidera. Poziom naszej debaty osiągnął już niestety ten poziom, że nawet hipokryzja, w której pławi się właśnie BBC, stanowi dla polskich mediów publicznych wyzwanie nieosiągalne. ©℗

eprasa.pl aacf224baf



GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Od deski do deski!

Sześćdziesiąt lat temu polscy biskupi napisali do biskupów niemieckich w słynnym liście orędziu: „Udzielamy wybaczenia i prosimy o nie". W powszechnej opinii historyków zajmujących się dziejami relacji polsko-niemieckich w XX w. list z 18 listopada 1965 r. powinien być uważany za początek drogi do pojednania polsko-niemieckiego.

Jednak autorzy orędzia nie używali słowa „pojednanie". Mówili o „dialogu", który – jak zaznaczał kard. Stefan Wyszyński, prymas Polski i jeden z głównych współautorów listu – z pewnością nie będzie łatwy. Przede wszystkim dlatego, że zło, które popełniły miliony Niemców w latach drugiej wojny światowej, nie zniknęło wraz z klęską militarną Rzeszy Niemieckiej w 1945 r. „Tli się ono wciąż jeszcze w nastrojach i zwyczajach ogromnej masy niemieckiego narodu" – mówił prymas Polski w Gnieźnie na początku roku milenijnego, kilka tygodni po opublikowaniu listu biskupów polskich do biskupów niemieckich.

Dialog polsko-niemiecki, który proponowali 60 lat temu polscy biskupi, nie miał więc polegać na bezrefleksyjnym przyjmowaniu niemieckiej narracji o dokonanym nad Renem „przezwyciężeniu złej przeszłości" (Vergangenheitsbewältigung). Ta „zła przeszłość" naszych zachodnich sąsiadów, jak podkreślali polscy biskupi w swoim liście skierowanym do swoich niemieckich współbraci, nie ograniczała się li tylko do 12 lat rządów partii narodowosocjalistycznej (1933–1945).

Tylko czytając cały tekst orędzia, można natrafić i na ten fragment, w którym jego autorzy rysują genealogię zła toczącego świat niemieckiej kultury i polityki. Pierwsze stadium degrengolady to Krzyżacy określeni w liście jako „kompromitujący ciężar dla europejskiego chrześcijaństwa, dla jego symbolu – krzyża, a także i dla Kościoła, w którego imieniu występowali". A potem już było tylko gorzej. W dokumencie inaugurującym trudną drogę dialogu polsko-niemieckiego czytamy: „Z terenów, na których osiedlili się Krzyżacy, zrodzili się następnie ci Prusacy, którzy doprowadzili do powszechnego skompromitowania na ziemiach polskich wszystkiego, co niemieckie. W dziejowym rozwoju reprezentują ich następujące nazwiska: Albert Pruski [Albrecht Hohenzollern], Fryderyk zwany Wielkim, Bismarck i wreszcie Hitler jako punkt szczytowy".

Dopiero po przeczytaniu całego listu można zrozumieć, dlaczego komuniści zdecydowali się na zorganizowanie ogólnopolskiej kampanii nienawiści wobec jego autorów, a zwłaszcza wobec prymasa Polski

Polscy prekursorzy dialogu polsko-niemieckiego, chociaż pisali o wzajemnym wybaczaniu, doskonale wiedzieli, kto zaczął ostatni światowy konflikt zbrojny i jaki był jego cel. Nazwa „druga wojna światowa" była – jak podkreślali autorzy listu z 1965 r. – eufemizmem, ponieważ w istocie był to przemyślany i systematycznie realizowany od września 1939 r. „akt totalnego zniszczenia i wytępienia narodu polskiego". Cierpienia tzw. zwyczajnych Niemców były więc konsekwencją podjęcia przez Rzeszę Niemiecką takiej właśnie polityki. Przypomniano również, że decyzję o wysiedleniu milionów Niemców z ziem utraconych przez upadłą Rzeszę na wschodzie podjęły w 1945 r. na konferencji w Poczdamie zwycięskie mocarstwa.

Dopiero po przeczytaniu całego listu można zrozumieć, dlaczego komuniści zdecydowali się na zorganizowanie ogólnopolskiej kampanii nienawiści wobec jego autorów, a zwłaszcza wobec prymasa Polski. Całe orędzie jest bowiem jednym wielkim głosem sprzeciwu wobec suflowanego przez komunistyczną propagandę przekazu o budowie „nowej, socjalistycznej Polski" i o tym, że wszystko, co najlepsze, przyszło do nas ze Wschodu. Biskupi przypominali, że kulturowo od początku naszych dziejów jesteśmy związani z Zachodem, a chrześcijaństwo w zdecydowany sposób przyczyniło się do uformowania polskiej kultury i nadało koloryt naszej obyczajowości.

Władysław Gomułka i towarzysze uważnie przeczytali i ten fragment listu, w którym polscy biskupi, odnosząc się do zakończonej 20 lat wcześniej wojny, pisali, że „z tego masowego mordowania wyszła ona [Polska] nie jako zwycięskie, lecz krańcowo wyczerpane państwo". A przecież każdego 9 maja obchodzono „Dzień Zwycięstwa", przypominano, że „Ludowe Wojsko Polskie wraz z Armią Czerwoną zdobywało Berlin".

Tak, trzeba przeczytać cały ten list, żeby zrozumieć także to, dlaczego jego treść spotkała się z daleko idącą wstrzemięźliwością u jego adresatów. ©℗

eprasa.pl aacf224baf

ZNIKANIE



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Z seriali telewizyjnych pokazywanych na platformach typu Netflix znikają zboczeńcy spod tęczowych sztandarów. Od przyszłego sezonu ich po prostu nie będzie. Tu i tam pewnie zostanie pojedyncza babka, która ogląda się za innymi babkami, zamiast znaleźć sobie faceta, ale ogólnie zjawisko ma zniknąć z telewizji, bo ludzie mieli tego dość. Hollywood przesadził, ludzie przesady nie lubią, przestali oglądać i ogólnie do Ameryki wrócił zdrowy rozsądek, więc producenci telewizyjni się dogadali po cichu, że „znikną" niektórych bohaterów. Szczególnie tych drugoplanowych, których wcześniej wciskali na siłę tylko po to, by wyrobić parytet tęczy.

Każda litera z ciągu l-g-b-t… musiała się zaprezentować na ekranie. Na siłę. Inaczej niż w normalnym życiu. Przykład: serial o kancelarii adwokackiej, historie same w sobie ciekawe. Ale czemu w tej kancelarii każdy mecenas to zbok? Jeszcze żeby wszyscy byli skrzywieni w jedną stronę, toby się dało wytłumaczyć, że się dobrali zgodnie z dziwacznym upodobaniem, ale w tej kancelarii nikt do nikogo nie pasował, bo trzeba było wyrobić parytet i pokazać każdą z możliwości. Skoro w tęczowym świecie istnieje ponad 50 płci, a my w serialu mamy tylko 30 postaci, to brakuje nam jeszcze 20 do zaprezentowania pełnego wachlarza. Dobra, to co robimy? Nagle postaci drugoplanowe oraz statyści zaczęli się z nami dzielić informacjami, które w ogóle nie pasowały do scenariusza. Babka przynosi herbatę i w serialu 20 lat temu by wyszła i zamknęła za sobą drzwi, i to byłby koniec jej roli w tym filmie, ale teraz zanim wyjdzie, musi nam pokazać, co lubi robić nocą. Fuj!

***

Poza tęczą były jeszcze do wyrobienia parytety rasowe i inne (koszmarna nadwaga, ktoś na wózku) oraz np. Związek Zawodowy Aktorów Karłów (nie pamiętam, jak się oficjalnie nazywa, pewnie bardziej elegancko niż „Karłów"). Ci ludzie wcześniej grali sporadycznie – gdy w filmie potrzebny był karzeł – ale stopniowo zaczęli grać wszędzie na siłę, bo pojawił się parytet.

Powstawały seriale, których nikt nie był w stanie oglądać. Film historyczny z czasów królowej Elżbiety I i w starej Anglii w roli arystokracji dworskiej Murzyni, Hindusi, Azjaci i Maorysi. Serial historyczny, który wygląda jak opowieść fantasy, przestaje być ciekawy.

***

Parytet na dziwaków i zboczeńców się właśnie skończył. To chyba efekt Trumpa. Hollywood zorientował się już dawno, że wciskanie dziwaków w każde możliwe miejsce zniechęca publiczność, ale ludzie Hollywoodu nie wiedzieli, jak się z tego sprytnie wycofać. Teraz Trump jest dla nich pretekstem lub usprawiedliwieniem. Nie wiadomo tego na pewno, bo nie podali powodów, a jedynie zawiadomili, że od przyszłego sezonu wiele dziwnych postaci zwyczajnie poznika z seriali. Niektórych się uśmierci, zabije, zamorduje, a gdyby te rozwiązania nie pasowały do konkretnego scenariusza, to postać zniknie bez wytłumaczenia – tak jakby jej nigdy nie było. Widzowie odetchną z ulgą i nie będą zgłaszać pretensji, że ta zboczona babka od podawania herbaty wyszła w poprzednim sezonie i już nigdy nie wraca.

***

Pewności nie mam, ale wiele wskazuje na to, że to jednak jest efekt Trumpa. Najpierw zlikwidowano parytety w administracji rządowej. Zakaz zatrudniania z rozdzielnika DEI, a w to miejsce powrót do zatrudniania z powodów merytorycznych – szukamy dobrego księgowego do Urzędu Skarbowego, a nie księgowego, który umie kochać inaczej. Zaraz potem parytety zlikwidowano w wojsku, zmieniono nazwę z Ministerstwa Obrony na Ministerstwo Wojny oraz wywalono z roboty facetów ubierających się w damskie ciuchy. Takie postaci osłabiały armię. Facet z brodą ubrany w spódnicę, a na pagonach gwiazdki generalskie. Fuj! Armia pod takim dowództwem cierpiała na brak ochotników. Rekrutacja spadła do tak niskiego poziomu, że w koszarach zaczęło brakować wojska. Wywalenie świrów i zboków – które zrobiono hucznie i na oczach kamer, a nie wstydliwie i po cichu – odwróciło ten proces i aktualnie amerykańskie koszary pękają w szwach, a do szkół wojskowych stoją kolejki i są zapisy na listę oczekujących.

***

Tęczowe kolory osłabiały wyniki oglądalności seriali i bardzo osłabiły kilka potężnych korporacji. Amerykanie lubią piwo i lubią swoje tradycyjne reklamy piwa. W tych reklamach występowali umorusani faceci, ich pick-upy i ciężarówy, ich piły łańcuchowe lub kosiarki, pot na czole, sport, no i piwo z flaszki. A potem jedna z wiodących firm dała do reklamy faceta, który uważa, że jest kobietą. Ta firma do dzisiaj nie odrobiła tamtych strat. Wycofali reklamę z transwestytą, wypuścili kilka kolejnych normalnych reklam, ale w ludziach pozostał niesmak – gdy sięgają po swoje ulubione piwo, co jakiś czas przypomina im się tamten uszminkowany facecik. Fuj!

We wszystkich sprawach opisanych powyżej zwyciężył budżet. Kapitalizm w zdrowej formie pokonał chorą ideologię. Niektórych rzeczy ludzie nie kupią i tyle. Przez jakiś czas można im coś wciskać na siłę, podkładać w pakiecie z czymś innym, ale ostatecznie rzecz niechciana ląduje w koszu na śmieci.

***

W USA właśnie skończył się najdłuższy w historii okres, gdy rząd federalny nie miał finansowania. Demokraci w Kongresie blokowali podpisanie budżetu przez 43 dni. Chcieli wymusić przekazanie pieniędzy z podatków na finansowanie nielegalnych imigrantów. Przegrali. Nielegalni imigranci mają sami płacić rachunki za swoje leczenie, a przede wszystkim mają się wynosić z powrotem do swoich krajów. Doktryna zdrowego rozsądku działa.

A w Polsce TV Republika donosi, że ofiary powodzi w jednej z gmin w województwie olsztyńskim nie dostaną należnego im odszkodowania, jeśli gmina nie zgodzi się na Centrum Integracji Cudzoziemców – szantaż ze strony rządu. ©℗

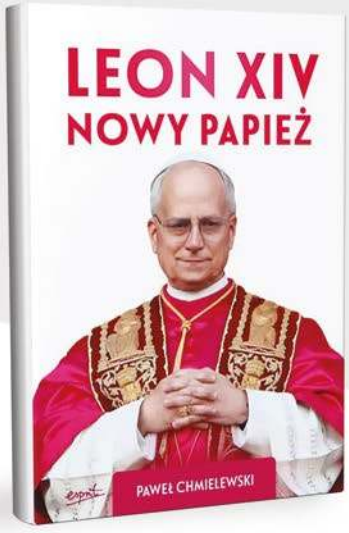
eprasa.pl aacf224baf

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAWEŁ CHMIELEWSKI: „LEON XIV. NOWY PAPIEŻ"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<s>725 ZŁ</s>

306,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 419 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl aacf224baf

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.



WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl aacf224baf